GROŹNA ZABAWA APOSTAZJĄ

Piotr Semka o polskim Kościele w epoce Dawida Podsiadły

Ziemkiewicz o sprytnym wciągnięciu USA do sporu z UE o elektrownię atomową w Polsce

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 45/501 7–13 LISTOPADA 2022

CENA 9,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

WOJCIECH CEJROWSKI RADZI SWOIM CHRZEŚNIAKOM

Leszek Żebrowski ze stałym felietonem w „Do Rzeczy”

Bill Gates znów urządza świat

PO SZCZEPIONKACH NA COVID-19 CHCE NAM SERWOWAĆ BEZMIĘSNE „MIĘSO”

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829

Nakład: 54 000 egzemplarzy

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

TYLKO U NAS!

Benito Mussolini wobec Żydów!

Jan Jacek Bruski – **Pakt Piłsudski-Petlura**
Grzegorz Janiszewski – **Polacy w Kijowie**
Piotr Zychowicz – **Zdrada w Rydze**
Sławomir Koper – **Rubinstein i kobiety**
Jakub Ostromęcki – **Madziaryzacja Słowacji**
Keith McCloskey – **Horror na Przełęczy Diatłowa**
Mikołaj Iwanow – **NKWD kontra AK**
Rafał A. Ziemkiewicz – **Historia do negocjacji**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 4708cd516e

W RZECZY SAMEJ

Majaczenia delegalizatorów

PAWEŁ LISICKI

Na zwolenników delegalizacji PiS można patrzeć ze wzruszeniem ramion, pukając się w czoło i odsyłając ich do domu wariatów. Rzeczywiście, im bardziej próbuję na poważnie śledzić rozumowanie opozycyjnych profesorów i publicystów, tym bardziej jestem przekonany, że mamy do czynienia ze zjawiskiem, które lepiej opisuje psychiatria, a właściwie psychopatologia życia społecznego, niż polityka. Proszę, oto garść najlepszych cytatów.

Profesor Uniwersytetu Warszawskiego, o dziwo Wydziału Psychologii, Maciej Górecki ogłosił, że PiS najpierw trzeba zdelegalizować, potem pozbawić majątku, a następnie skazać jego „funkcjonariuszy". „Rozliczenie z PiS należy przeprowadzić w 2 etapach. Pierwszy, szybki, to delegalizacja partii, konfiskata jej majątku, odebranie subwencji (posłowie zachowują mandat, tracąc afiliację). Drugi, bardziej żmudny etap to indywidualne procesy konkretnych przestępców z PiS" – napisał na swoim Twitterze. Do złudzenia przypomina to projekt denazyfikacji czy dekomunizacji – w praktyce zresztą nigdy niewprowadzony w życie.

Profesor, jak przeczytałem na stronie uniwersytetu, zajmuje się „zachowaniami wyborczymi, systemami wyborczymi, politologią porównawczą, metodologią badań społecznych". Nie wiem, co mają wspólnego z metodologią i nauką frustracja, kompleks niższości i niespełnione marzenie o zemście, które profesor zaspokaja, snując marzenia o poniżeniu PiS, ale, jak widać, Uniwersytetowi Warszawskiemu tacy wykładowcy nie przeszkadzają. Być może powinna tam powstać katedra badań na temat zasięgu lotu czarownic na miotle lub na temat metodologii konfliktów społecznych na Marsie – prof. Górecki byłby idealnym kandydatem. Nie chodzi zresztą o jednorazowy wybryk. Niedawno pisał, że „debata to element demokracji, a PiS to partia antydemokratyczna. Należy ją odsunąć od władzy, zdelegalizować, majątek skonfiskować, funkcjonariuszy surowo ukarać. Później, już w demokratycznym towarzystwie, będziemy sobie debatować". Czy podobne mądrości przekazuje studentom na zajęciach?

Nie tylko prof. Górecki wypisuje podobne androny. Parę dni temu podobne tezy postanowił ogłosić inny profesor, Radosław Markowski. „W Polsce władza zgnoiła polską konstytucję. Uważam, że jak zostanie w Polsce przywrócona praworządność, należy zainicjować proces delegalizacji PiS, co oczywiście będzie należało do niezależnego sądu". Jego rozumowanie rozwinął publicysta „GW" Paweł Wroński. Najpierw zadał pytanie o to, czy w Polsce można tolerować istnienie partii neototalitarnej – a za taką uważa on PiS – a następnie, snując długie i osobliwe analogie, zasugerował, że z PiS należy zrobić to, co w Niemczech stało się z neonazistowską NPD: odebrać mu finanse publiczne.

Żaden z tych autorów, podobnie jak żaden ze wspierających ich w Internecie sympatyków, nie zauważył absurdalności całej debaty. Przecież gdyby faktycznie w Polsce panował antydemokratyczny, neototalitarny (tu można wpisać dowolne słowo) reżim, panowie nie gawędziliby ze sobą publicznie o delegalizacji reżimu na łamach największych gazet i portali, ale siedzieliby w łagrach lub więzieniach. Co więcej, podobnych postulatów względem opozycji – trzeba zdelegalizować PO – nie przedstawiła żadna istotna postać obozu władzy.

Idźmy dalej. Delegalizacja PiS oznaczałaby przecież delegalizację demokracji, o której tyle mają do powiedzenia trzej autorzy, z czego dwóch mieni się profesorami. Domagają się oni przecież wykluczenia z życia politycznego co najmniej jednej trzeciej społeczeństwa! Jak ktoś o zdrowych zmysłach może porównywać skrajną NPD z rządzącą Polską od siedmiu lat formacją, która została wielokrotnie wybrana w ramach demokratycznych procedur? Ba, która w 2007 r. oddała władzę, bo przegrała wybory, i podobnie po roku 2019 podzieliła się władzą z opozycją, która ma większość w Senacie. Dzieli się z nią zresztą wszędzie tam, gdzie rządy sprawują samorządowcy z PO. Dlatego autorzy mówiący o delegalizacji PiS majaczą. Jednak, i na tym polega problem, majaki te mogą pociągać za sobą całkiem poważne konsekwencje.

Pierwsza jest oczywista: z góry już można przewidzieć, że opozycja nie zaakceptuje wyników wyborów do Sejmu. Ogłosi, że zostały sfałszowane albo że były niedemokratyczne. Albo cokolwiek. Pytanie, jak na to zareagują opozycyjni frustraci. Czy skończy się jedynie na krzykach? Czy pobudzeni przez głosy profesorów i publicystów sięgną po bardziej radykalne środki? To tworzenie podglebia dla przemocy politycznej.

Ale również w przypadku wygranej opozycji takie rozważania są szkodliwe. To po prostu zapowiedź rozpętania wojny domowej. Dążenie do delegalizacji największej wtedy partii opozycyjnej (a w takiej roli występowałby po ewentualnej porażce PiS) byłoby faktycznie działaniem dyktatorskim i na pewno pociągałoby za sobą dramatyczny konflikt społeczny. Jedyne, co mnie pociesza, to to, że im głośniej odgrażają się zwolennicy opozycji, tym trudniej uwierzyć w ich sukces. ©℗

eprasa.pl 4708cd516e

TEMAT TYGODNIA

14 JERZY KARWELIS
SZTUCZNE MIĘSO, PRAWDZIWY PROBLEM
Czeka nas upadek cywilizacji?

KRAJ

20 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
WOJNA ATOMOWA
Polski zysk, unijna strata

23 PIOTR SEMKA
KATOLICY W EPOCE DAWIDA APOSTATY

26 JAKUB WOZINSKI
FUNDUSZ DŁUGU NIEKONTROLOWANEGO

28 ZUZANNA DĄBROWSKA
CHRONIĆ ŻYCIE

30 ŁUKASZ ZBORALSKI
FURASY

KULTURA

32 ROZMOWA Z MICHAŁEM KONDRATEM
CZTERNAŚCIE LAT Z ŻYCIA PRYMASA TYSIĄCLECIA
Film o kardynale Stefanie Wyszyńskim

34 PIOTR GOCIEK
POWIEDZIEĆ WSZYSTKO

NIE PRZEGAP

36 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

42 TYMOTEUSZ PAWŁOWSKI
JAK ROSJA MOŻE UŻYĆ BRONI JĄDROWEJ?
Nuklearny potencjał

44 ŁUKASZ WARZECHA
NAIWNE MARZENIA

46 LORÁND ISTVÁN SZAKÁLI, PATRÍCIA IVANOVA
TRÓJZĄB ZAMIAST TURULA?

48 WOJCIECH GOLONKA
OPACTWO ŚWIĘTEJ KONOPI

HISTORIA

50 MACIEJ ROSALAK
1522. SULEJMAN POD RODOS
Bój o wyspę

ŚWIAT

56 MACIEJ PIECZYŃSKI
PUTIN AKBAR
Ramzan Kadyrow i jego tiktokowa armia

58 ROZMOWA Z PROF. BERNARDEM LUGANEM
FRANCUZI STRZELILI SOBIE W OBIE STOPY

62 TOMASZ ROWIŃSKI
NIEWYGODNY KARDYNAŁ JOSEPH ZEN

64 PIOTR WŁOCZYK
CZWARTY ROK WYROKU

EKONOMIA

66 JACEK PRZYBYLSKI
ĆWIERKAJĄCY MARSJANIN
Wolność słowa za osiem dolarów?

69 ROZMOWA Z JANUSZEM KOWALSKIM
BITWA O CIEPŁO

STYL

74 JOANNA BOJAŃCZYK
PRZEDSIĘBIORSTWO ROZRYWKOWE, MODA
Wybiegi, biznes, celebryci

FELIETONY:

SEMKA (6), GMYZ, GOCIEK (7), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), ŻEBROWSKI, KOPER (54), PRZYBYLSKI (61), GABRYEL, WARZECHA (72), KOMUDA (77), POSPIESZALSKI, KARWELIS (79), JASTRZĘBOWSKI, WOŁCZYK (80), KUCHARCZYK (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl 4708cd516e

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Życzenia

Droga redakcjo, w związku z 500. wydaniem tygodnika „Do Rzeczy" chciałbym serdecznie pogratulować tego wspaniałego wyniku. Jesteście jedynym tygodnikiem, w którym można przeczytać różne, czasami rozbieżne opinie, dając czytelnikowi własny osąd spraw, o których piszecie. Cieszę się, że na polskim rynku jest taki rzeczowy tygodnik. Jestem czytelnikiem od numeru 0 i życzę, aby o kolejne „pięćsetki" tygodnik się rozwijał i powiększał liczbę wiernych czytelników.

PS Wtorkowe i czwartkowe rozmowy Panów P. Lisickiego i R. Ziemkiewicza są kapitalne.

Pozdrawiam
Krzysztof Staszan, Morąg

„Samotny wśród swoich", Piotr Semka, „DRz" nr 44/2022

[...] Trudno nie zgodzić się z cytowanym w artykule tweetem Jana Śpiewaka: „Tomasz Lis ofiara kultu zapierdolu, którą sam stworzył. Symbol patologii 3 RP. Życzmy mu powrotu do zdrowia i zamkniętych drzwi do powrotu na scenę publiczną". [...] A że został sam „wśród swoich" – czy jestem zaskoczony? Wcale. Trochę jak u bolszewików – potknij się, a reszta wesoło przemaszeruje po twoich plecach dalej, ku nowej, „lepszej" przyszłości. ***Czytelnik***

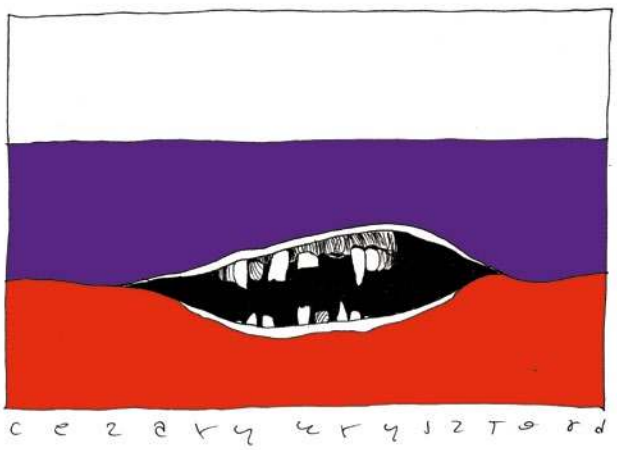

NEKROLOG

30 października zginęła tragicznie

ŚP.

Lucyna Wiśniewska

poseł na Sejm RP (2005–2007),
wiceprezes Prawicy Rzeczypospolitej,
lekarz oddany całym sercem swoim pacjentom.

Jej życie było wypełnione miłością do Kościoła i do Polski, do bliskich i do ludzi, którym pomagała. Oby pamięć o niej była dla wszystkich natchnieniem do bezinteresownej służby, oby Bóg nagrodził jej wszystko dobro, które czyniła!

Łącząc się w bólu i modlitwie z jej rodziną, składamy wszystkim Bliskim Lucyny najserdeczniejsze wyrazy współczucia

przyjaciele z Prawicy Rzeczypospolitej

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Małgorzata Wołczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska, Kamila Gala, Zofia Magdziak, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Łukasz Żygadło.**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Andreas Gebert/Reuters/Forum**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

PMPG POLSKIE MEDIA SA
spółka notowana na GPW
POLSKI WYDAWCA

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Agnieszka Jabłońska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

FIRMA RODZINNA

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, tel.: 539 953 631; **Joanna Gosek,** tel.: 508 040 664, pon-pt w godz. 10.00-16.00

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829, Nakład 54 000 egzemplarzy

NAKŁAD KONTROLOWANY
ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA: **Prenumerata realizowana przez RUCH SA:**
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

eprasa.pl 4708cd516e

NA PIERWSZY OGIEŃ

Rewolucyjną zupą w van Gogha

PIOTR SEMKA

W ostatnich tygodniach aktywiści klimatyczni oblewają zupą pomidorową czy purée ziemniaczanym najsłynniejsze dzieła malarstwa. Naiwnie wydawało mi się, że takie akty barbarzyństwa nie znajdą w Polsce obrońców. Myliłem się. W obronie zamachów na dzieła mistrzów wystąpił publicysta Krytyki Politycznej Galopujący Major. Zaczyna on od stworzenia nastroju grozy. „Dosłowność katastrofy klimatycznej zaczyna być niemal namacalna. Właśnie podano, że na Wszystkich Świętych w niektórych miejscach w Polsce temperatura ma wynosić 20 stopni powyżej zera. Tak, 20 stopni. Niektórzy będą odwiedzać zmarłych w krótkich koszulkach i szortach. W świetle takiej dosłowności trudno mi się więc oburzać na aktywistów, co pomidorówką czy purée ziemniaczanym oblewają znane obrazy, skryte, co też ważne, za bezpiecznymi pancernymi szybami. Aktywiści bowiem jako jedni z niewielu wzięli słowa o katastrofie na poważnie".

No cóż, nie mierzyłem temperatury w dniu Wszystkich Świętych. Rzeczywiście, dzień jak na niektóre dawne listopady był ciepły, ale nikogo w szortach i trykotach na cmentarzu nie widziałem. Ale idźmy dalej, czytając Galopującego Majora: „Szokującym absurdem dla tych, co biorą katastrofę na poważnie, jest więc zestawianie troski o obraz za szybą z brakiem troski w sprawie katastrofy klimatycznej. Jeśli w ciągu ostatniego roku bardziej oburza cię to, że szyba z van Goghiem w środku przyjęła pomidorówkę, od tego, że w USA dramatycznie okrojono plan walki z katastrofą klimatyczną, to już wiesz, że taka akcja została przeprowadzona także z twojego powodu. I także ty jesteś jej zarówno bohaterem, jak i adresatem".

Zawsze, gdy cytuję i wskazuję na pojawiające się na portalu Krytyki Politycznej niepokojące teksty, bywam przywoływany do porządku argumentami, że Krytyka Polityczna to portal dziwaków z lewicy, którzy mają ograniczony wpływ na rzeczywistość. Nie zgadzam się z takimi uspokajającymi poglądami. Krytyka Polityczna ma coraz większy wpływ na młode pokolenie i warto traktować ją serio. A opublikowany na jej stronie manifest Galopującego Majora to przykład powrotu ideologii, która głosi, że w imię przyszłego szczęścia można posuwać się do dowolnie skandalicznych czynów. Bo skoro powaga zagrożenia klimatycznego usprawiedliwia oblewanie zupą unikalnych dzieł malarstwa, to czemu w imię zwiększenia efektu protestu nie przyjść do galerii z karabinem maszynowym i nie wystrzelać połowy widzów? Albo wysadzić galerię w powietrze? Przecież na tym polegała krwawa łaźnia rewolucji rosyjskiej, że bolszewicy w imię przyszłego szczęścia przyznali sobie prawo wymordowania setek tysięcy ludzi. A z czasem liczba ofiar zaczęła być liczona w milionach. Zawsze jest jakaś wizja przyszłości, która może skłaniać rewolucjonistów do negowania porządku tu i teraz. I zawsze ci podpalacze głoszą, że przyszłość ich usprawiedliwi.

A gdy już się okazuje, że była to bzdura, to się usprawiedliwia ex post podpalaczy i morderców wytłumaczeniem, że chcieli dobrze. Na razie z rąk wojowników o walkę z kryzysem klimatycznym ponoszą szkodę wyłącznie obrazy. Ale od tego do podkładania bomb jest już niedaleko. Idea o wymuszeniu siłą na ludzkości przyszłej szczęśliwości, jak widać, ma się nieźle. ©℗

FOT. TOMASZ WASZCZUK/PAP

POWSTAJE NOWA ZAPORA NA GRANICY Z ROSJĄ

– Podjąłem decyzję o budowie tymczasowej zapory na granicy z obwodem kaliningradzkim – ogłosił w ubiegłym tygodniu na konferencji prasowej minister obrony i wicepremier Mariusz Błaszczak. Saperzy budowę zapory złożonej z trzech rzędów drutu ostrzowego rozpoczęli w pobliżu miejscowości Żerdziny w gminie Dubeninki. To miejsce, gdzie stykają się trzy granice: polska, rosyjska i litewska. Całość ma mieć liczyć ok. 200 km. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl 4708cd516e

dwaj panowie g

FOT. ROBERT CARDZIŃSKI

Ciekawe wieści w sprawach międzynarodowych. Dotyczą one kwestii, o której pisaliśmy parę miesięcy temu, ujawniając, że mimo polskich nacisków nasi amerykańscy bracia nie chcą nam sprzedawać broni tak szybko, jak byśmy chcieli. Otóż po podpisaniu umów z Koreańczykami aluzja została odebrana właściwie, gdyż Amerykanie doskonale rozumieją język wolnej konkurencji. I nastąpiło gwałtowne ocieplenie.

Niektórzy zadają pytanie, czy trzecią elektrownię atomową w Polsce zbudują Francuzi. Odpowiadamy: mogliby, ale nie jest to jeszcze przesądzone. Na pytanie, co o tym zdecyduje, wiewiórki odpowiadają: „Polityka transakcyjna". Tak się bowiem składa, że na razie Francuzi nie za bardzo pomagają. Ani Warszawie, ani Kijowowi. „No tak – odpowiada inna wiewiórka – ale jeśli nie zbudują, to zamiast nie pomagać, będą po prostu szkodzić".

Tymczasem w Polsce objawił się atomowy geniusz Adam Szejnfeld z PeŁo, który uważa, że budowanie elektrowni atomowych jest bez sensu, bo buduje się je latami, a wiatraki stawia się w 20 godzin. Proponujemy bardziej radykalne rozwiązanie. Gdyby poseł Szejnfeld wskoczył na rower i podpiął do niego dynamo, mógłby rozpocząć wytwarzanie energii natychmiast. A gdyby dołączyli do niego inni politycy Eine Totalopposition, to kto wie, może daliby radę pospołu zasilać tramwaj do Wilanowa.

A teraz jesteśmy w kropce. Bo nie wiemy, jak pisać o naszym bohaterze. Choć w tym wypadku słowo „bohater" jest nieco na wyrost. A chodzi o wiceszefa Żandarmerii Wojskowej. Jako wiceszef występuje pod pełnym nazwiskiem, ale ma również status podejrzanego, czyli znany jest też jako gen. Robert J. Na tym nie koniec problemów. Otóż mimo zarzutów facet wciąż pełni funkcję wiceszefa Żandarmerii i nie jest nawet zawieszony. Nie mówiąc o tym, że po przedstawieniu zarzutów powinien stracić dostęp do informacji niejawnych, a nadal go ma. Pewnie chcielibyście, byśmy wam ten fenomen wytłumaczyli. Musimy się ze wstydem przyznać, że sami tego nie pojmujemy.

Uwaga! W tym tygodniu zostaną skierowane jeden bardzo ciekawy akt oskarżenia, jeden pozew i jedno zawiadomienie do prokuratury. Tyle na razie możemy ujawnić. No dobrze, ujawnijmy jeszcze, że wszystkie te dokumenty będą dotyczyć jednego z najważniejszych polityków Platformy. A kto wie, może nawet najważniejszego. Dodajmy, że na dodatek chwilowo nie chroni go żaden immunitet.

Ciekawe rzeczy będą się działy w środę. Do Polski przybywa pewna rodzina arystokratów, by przekazać państwu srebra II RP ocalone przez ich przodka w Hiszpanii tuż po drugiej wojnie światowej. Historia sama w sobie jest sensacyjna, ale zbyt długa, by opowiedzieć ją w naszej rubryce. Znamy jednak możliwy finał. Jak usłyszeliśmy z pewnych ważnych ust, najlepiej byłoby z tych sreber zjeść dobry obiad w Pałacu Prezydenckim. Czy to żarcik czy plan? Ze wstydem znów przyznamy, że trudno powiedzieć.

Apropos Pałacu Prezydenckiego. Niektórzy zdumieni są faktem awansu niejakiego Marcina Kędryny do Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji w charakterze doradcy Marzeny Paczuskiej. My nie. Otóż Kędryna, niegdyś szef biura prasowego u prezydenta Andrzeja Sebastiana, był ostatnio znów zadziwiająco często widywany w pałacu. A tak się składa, że Andrzej Sebastian bardzo interesuje się pracami tego zacnego ciała.

Mamy dla was wspaniałą wiadomość. Otóż Piotr Kraśko wraca do roboty. A skąd o tym wiemy? Otóż jeden z panów G. spotkał się z nim oko w oko przed gabinetem lekarskim. I to lekarza medycyny pracy. Wrodzona nieśmiałość nie pozwoliła nam zapytać, czy to badania wstępne czy okresowe. Nigdy tego nie zdradziliśmy, ale jednego z panów G. z Kraśką łączą szczególne więzi. Studiowali na tym samym Wydziale Wiedzy o Teatrze i obaj są dziennikarzami. A czemu cieszy nas, że Kraśko wraca do pracy? Bo znów będzie płacił podatki!!! Przyznacie, że to dowcip tak czerstwy, że mógłby go opowiadać sam Karol Strasburger.

Apropos roboty. Jak wiadomo, masowo mają ją stracić ludzie w koncernie Agora. Nie szydzimy, bo i nas parę razy w życiu zwalniano. Ale chcemy się wypowiedzieć w kwestii praw pracowniczych. Otóż apelujemy do nowej twarzy kampanii w obronie praw pracowniczych, by włączyła się w negocjacje. Ta twarz to Donald Tusk. Wyobraźcie sobie: Tusk negocjujący z Michnikiem w obronie ludzi pracy. To lepsze niż Szejnfeld zasilający tramwaj na Wilanów. ©℗

Przeprosiny.

Przepraszamy Pana Tomasza Misiaka za to, że w artykule pt. „Zatrzymanie Tomasza M. wywołało wśród polityków głębokie poruszenie", opublikowanym w nr. 42/2022 tygodnika „Do Rzeczy" oraz w dniu 16 października 2022 r. na portalu dorzeczy.pl, stwierdzono, że Pan Tomasz Misiak dysponuje archiwum nielegalnych taśm z nagraniami rozmów osób publicznych oraz że jest członkiem „układu wrocławskiego" o charakterze przestępczym, czym naruszyliśmy dobre imię Pana Tomasza Misiaka.

Wskazujemy, że sformułowane zarzuty były nieprawdziwe i zbyt daleko idące.

Orle Pióro Sp. z o.o. – wydawca „Do Rzeczy" oraz portalu dorzeczy.pl

eprasa.pl 4708cd516e

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Balcerowicz potrzebny

W niegdysiejszym mateczniku balcerowiczowskiej ortodoksji, spółce Agora, dzieją się rzeczy dla kogoś, kto pamięta czasy świetności „Gazety Wyborczej", szokujące. Branżowe media donoszą o „rekordowym zainteresowaniu" wstępowaniem do związków zawodowych. Związki się cieszą i zapowiadają, że będą protestować przeciwko zapowiedzianym przez zarząd spółki zwolnieniom, mającym objąć niecałe 6 proc. personelu. Zupełnie nie przyjmują do wiadomości, że przecież „zwolnienia mają na celu podniesienie efektywności procesów funkcjonujących w spółce oraz redukcję kosztów działalności", mało tego, domagają się jeszcze, by zarząd sam sobie obciął wynagrodzenia!

Mówiąc językiem, którym „Gazeta Wyborcza" zwykła takie zachowanie określać przez wiele lat, jej pracownicy „wykazują się postawą roszczeniową". „Nie poradzili sobie w transformacji ustrojowej", „nie sprostali wymogom wolnego rynku" i zamiast uznać obiektywną konieczność dostosowania się do wymogów nowoczesnej gospodarki, usiłują wymuszać szkodliwe społecznie decyzje. A już na pewno z najwyższym potępieniem spotkałby się w dawnej „Wyborczej" skrajny populizm, którym jest odwoływanie się do pseudosprawiedliwości społecznej, do bolszewickiej „urawniłowki", i negowanie tej oczywistości, że wysoko wykwalifikowany menedżment zarabia więcej od zwykłych pracowników, bo mu się to po prostu należy.

No cóż, łatwo się było kiedyś paniczykom z gazety mądrzyć i naigrawać ze zwalnianych „roboli", z mieszkańców upadłych PGR-ów, pouczać ich, że zamiast się lenić, narzekać, a zwłaszcza protestować, powinni podnosić swe kwalifikacje, zmieniać niepotrzebne w transformacji zawody na nowe, obniżać oczekiwania płacowe. Uczciwość każe przyznać, że w większości nie byli to ci sami paniczykowie – tamci, którzy tak się wtedy nadymali i mądrzyli, przeważnie nachapali się na akcjach i zdążyli skonsumować pożytki z załapania się na dobry układ. Dziwne jednak, że tak nie zadbali o moralny pion następców. Zdecydowanie powinien do Agory udać się prof. Balcerowicz i wyjaśnić jej pracownikom, jak niestosownie się zachowują. ©℗

MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

„Donald, idź w zaparte!"

Premierowi Tuskowi nie zarzucam, że prowadził politykę prorosyjską. Myślę, że kampania plakatowa „Nie robimy polityki" była jedną z najbardziej szczerych, naprawdę tożsamościowych akcji jego rządu. Tusk nie prowadził polityki, ale wspierał prorosyjską politykę Niemiec i Unii Europejskiej. Podobnie jak Mikołajczyk nie prowadził polityki prosowieckiej, jedynie wspierał w czasie drugiej wojny światowej prosowiecką politykę Amerykanów i Brytyjczyków.

Gdy rząd Tuska uznawał, że kryzys w strefie euro jest większym zagrożeniem niż wyrzutnie rakietowe pod Królewcem, po prostu płynął w „głównym nurcie polityki europejskiej". W jego liberalnych przekonaniach zdolność, dryf i konformizm urosły do rzędu wartości. Kierując się nimi tak płynnie, porzucił consensus wojtyliański, tak że zapomniał nawet o istnieniu oficjalnej Deklaracji Ideowej PO, którą przed laty sam ogłosił.

Dlaczego jednak nie mógłby po prostu powiedzieć, że się mylił – no niech mu będzie – „z całą" Europą? Tak jak powiedział to jeden z głównych autorów polityki „całej" Europy, prezydent Niemiec Frank-Walter Steinmeier. Żeby to zrozumieć, trzeba uświadomić sobie dokonującą się mutację demokracji. Wyznanie Steinmaiera to jedno z coraz rzadszych ech demokracji klasycznej. Ta polegała na tym, że politycy byli w stanie (wewnętrznie) się zgodzić na arbitraż większości i byli zdolni przyjmować argumenty, więc również – wycofywać się z błędów. Nowoczesna demokracja sprowadza się do konkurencji karier, gdzie poglądy się udaje (po starannym zbadaniu zapotrzebowań politycznego rynku), a wszystkie argumenty giną w otchłani oddzielającej izolowane „narracje". Po kładce między nimi przecież mógłby przejść wróg! Nowoczesna demokracja ze zdolności niesłuchania argumentów uczyniła cnotę. A umiejętność ich zakrzyczenia jej liderzy uznali za najwyższy przejaw wytrwałości i męstwa funkcjonariuszy swych wyborczych przedsiębiorstw. ©℗

eprasa.pl 4708cd516e

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O rodzajach demokracji

Komuniści wprowadzili satrapię, którą nazwali demokracją socjalistyczną, czyli taką, w której demokracji nie ma. Traktujące o niej dzieła naukowe, piętnujące tzw. demokrację burżuazyjną, wprawiały w osłupienie, budziły wesołość i bezsilną złość.

W demokratycznej (burżuazyjnie) Italii lewicowi studenci zdominowali największy uniwersytet w Europie „La Sapienza" i od lat nawiązują do największej poza powszechną biedą zdobyczy komunizmu: zamordyzmu.

Studenci prawicowi (gatunek wymierający) zaprosili na uniwersytet deputowanego Fabia Roscaniego z partii nowej premier Giorgii Meloni Bracia Włosi, która w wyborach otrzymała najwięcej głosów, i popularnego dziennikarza Daniele'a Capezzone'a (umiarkowana prawica). Lewicowi studenci, ponad 2 tys., chcieli wedrzeć się do auli i w ramach walki z faszyzmem spotkanie rozpędzić. Wezwano policję. Przed wejściem do budynku murem stanęli policjanci. Ruszyła szarża kontestatorów. Policjanci utrzymali pozycje kosztem pięciu rannych. Nazajutrz większość włoskich mediów i komentatorów lamentowała, że w Rzymie policja na uniwersytecie pałuje młodzież. A młodzież rozpoczęła okupację uniwersytetu.

Słowem – demokracja kontestacyjna: czerpiemy garściami ze zdobyczy demokracji, ale ani myślimy się do jej zasad stosować. Przecież jeśli komuś zaproszeni goście się nie podobali, to mógł przyjść na spotkanie i wyłożyć swoje racje. Tyle że nie chodziło o dyskusję, a o zamknięcie ust myślącym inaczej. Postępowi studenci uzurpowali sobie prawo decydowania o tym, kto jest faszystą, a przy okazji prawo do fizycznej agresji, mimo że nikt ich nie atakował.

Kilka lat temu zaprosili sobie na spotkanie Valeria Morucciego z Czerwonych Brygad, który brał udział w porwaniu i zamordowaniu Aldo Moro, dwukrotnego premiera Włoch. Wadził im natomiast Benedykt XVI. W 2008 r. z powodu dzikich protestów papież swoją wizytę na „La Sapienza" odwołał. Tak właśnie rozumuje i działa postępowa część włoskiej studiującej przyszłości narodu. Zgroza. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl 4708cd516e

ZUZANNA DĄBROWSKA

GWIAZDOBZDUR

STARA JAK EDZIA

Od ilu lat są państwo na planecie Ziemia? Od 30, 40, 50? Słabo. Edyta Górniak wyznała bowiem, że – licząc czasem linearnym – żyje na Ziemi od 4 tys. lat! To jednak nie koniec. Racząca nas już wcześniej wyznaniami o swoich reptiliańskich konotacjach Edzia wspomniała o poprzednich wcieleniach w tej wielowiekowej wędrówce. – Co do wcześniejszych wcieleń, poprosiłam o aktywację wyłącznie nabytych umiejętności i wiedzy, bez aktywacji pamięci zdarzeń – tak wokalistka odpowiedziała na pytanie jednego z instagramowych obserwatorów.

Bardzo sprytnie – Edzia wie, że żyje od 4 tys. lat, ale o szczegóły nie pytajcie.

BLONDYNI NA CENZUROWANYM

Skoro mowa o takich, którzy nie dają o sobie zapomnieć. Aktor Andrzej Nejman, czyli Waldek ze „Złotopolskich", przypomniał o sobie w dość zaskakujący sposób. W wywiadzie dla „Wprost" pochyla się nad kondycją polskiego społeczeństwa. „Zastanawiałem się, co działoby się w naszym kraju np. z blondynami, gdyby się rozeszło, że »blondyni w nocy zjadają dzieci«?" – zagaja filozoficznie. „Przecież wystarczy, że pan Kaczyński stanie w Pile czy Włodawie, na jakiejś ambonie, powie coś takiego, a połowa narodu będzie po nocach z pałami ganiała blondynów" – przekonuje Nejman. Na razie prezes PiS blondynami nie straszy, ale aktorami to faktycznie mógłby...

UCIŚNIONY W CZARNEJ DZIURZE

Podobnie kiepskie zdanie na temat Polski ma Michał Szpak. Długowłosy wokalista wyznał, że nasz kraj to dla niego „czarna dziura". Ale na tym nie koniec. Dziura ta, jak wyjaśnia Szpak, „zasysa wszystko, co ma swoje światło, i próbuje je zassać do jakiejś próżni". W przeciwieństwie do Waldka ze „Złotopolskich" muzyk był nieco łaskawszy dla swoich współobywateli. – Z drugiej strony wydaje mi się, że ogół społeczeństwa jest demonizowany na maksa – powiedział w rozmowie z Moniką Olejnik. Żeby jednak nie było za miło, Szpak dodał, że Polacy nie potrafią korzystać z wolności. – Jesteśmy wolni, ale jak jesteśmy za bardzo wolni, to już zaczyna się robić problem. Ale na szczęście to jeszcze nie jest problem, że jest ingerencja na zasadzie hajlowanie za coś – stwierdził. No, czyli coś tam, coś tam.

FOT. PAWEŁ WODZYŃSKI/EAST NEWS

KOLEŻANKA KOLEŻANCE

Wracając do problemów bardziej przyziemnych niż czarna dziura. Jedna z polskich WAGs, Sara Boruc, powiedziała, co myśli o koleżankach „z branży". A dokładniej o tej najpopularniejszej, czyli „Lewej". Zapytana o zmianę stylu Anny Lewandowskiej wyznała, że zatrudnienie stylisty było dobrym krokiem. – To jest kwestia gustu i personalnego stylu. Nie lubię oceniać takich rzeczy. Natomiast dobrze, że Ania zainwestowała w stylistę, bo to na pewno jej pomogło i przez to widać progres na tym polu – odpowiedziała Boruc, która sama jest projektantką. Sympatycznie, prawda?

PRZYJAŹNIE Z INSTAGRAMA

Świat żon i dziewczyn piłkarzy to bardzo skomplikowana sprawa. Tak więc oberwało się również Marinie, czyli ukochanej Wojciecha Szczęsnego. – Mamy w życiu totalnie inne cele i podejście do życia – wyjaśnia Sara Boruc, opowiadając o zaprzepaszczonej przyjaźni. Panie miały kontakt na Instagramie, ale coś nie zagrało. Jak dodała, sama nie wie, „jakim cudem" mogła mieć fajną relację z Mariną. No cóż, całe szczęście wszyscy uczymy się na błędach. ©℗

eprasa.pl 4708cd516e

Stopy na świecie ostro w górę

Komitet Polityki Pieniężnej Banku Anglii (siedziba BoE na zdjęciu) zdecydował o podwyżce głównej stopy procentowej aż o 75 punktów bazowych, do poziomu 3 proc. To najostrzejszy tego typu ruch od 33 lat, a jednocześnie już ósma z rzędu podwyżka stóp procentowych ogłoszona przez brytyjskiego odpowiednika polskiej Rady Polityki Pieniężnej.

Mimo że stopy procentowe w Wielkiej Brytanii są już na najwyższym poziomie od 2008 r., analitycy spodziewają się dalszych podwyżek. We wrześniu inflacja CPI w Wielkiej Brytanii wyniosła bowiem aż 10,1 proc. i była najwyższa od czterech dekad. To nie koniec złych informacji z Wielkiej Brytanii. Brytyjscy bankierzy ostrzegli bowiem, że recesja, w której już znajduje się brytyjska gospodarka, może być najdłuższą w całej historii prowadzenia tego typu statystyk.

W ubiegłym tygodniu decyzję o czwartej z rzędu podwyżce stóp o 75 punktów bazowych ogłosiła również amerykańska Rezerwa Federalna. Była to jednocześnie już szósta podwyżka w tym roku, która wprowadziła główną stopę procentową do przedziału 3,75–4,0 proc. Prezes Fedu Jerome Powell zaznaczył zaś, że widzi jeszcze przestrzeń do dalszych podwyżek.

FOT. ADOBE STOCK

Tydzień wcześniej stopy procentowe – także o 75 punktów bazowych – podniósł zaś Europejski Bank Centralny. Stopy procentowe w strefie euro są już więc na najwyższym poziomie od 2009 r. ©℗ ***(jap)***

NETANJAHU ZNÓW WYGRAŁ W IZRAELU

Prawicowa koalicja, pod wodzą byłego premiera Beniamina Netanjahu, wygrała wybory parlamentarne w Izraelu – ogłosiła już oficjalnie izraelska Centralna Komisja Wyborcza.

W sumie zwycięska koalicja będzie miała w liczącym 120 miejsc Knesecie aż 64 mandaty. Najwięcej, bo aż 32 miejsca, zdobyli przedstawiciele partii Likud, a więc ugrupowania Beniamina Netanjahu. Formacje ortodoksyjne Zjednoczony Judaizm Tory oraz Sefardyjska Partia Strażników Tory otrzymały 18 mandatów, a członkowie nacjonalistycznego sojuszu Religijny Syjonizm będą mieli 14 głosów. Koalicja rządzącego dotąd w Izraelu premiera Ja'ira Lapida, lidera centrowej partii Jesz Atid (hebr. Jest Przyszłość), zdobyła 51 mandatów.

Lapid pogratulował już Netanjahu zwycięstwa. Z gratulacjami pospieszył również prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski, który wyraził nadzieję na rozpoczęcie nowego rozdziału w stosunkach ukraińsko-izraelskich. Zaniepokojenie wynikami wyborów wyraziła z kolei działająca w USA żydowska organizacja Liga przeciw Zniesławieniom, zwracając uwagę, że do nowego rządu mogą wejść religijni „ekstremiści". ***(jap)*** ©℗

REKLAMA

LECZENIE I REHABILITACJA

OBIEKT BEZPIECZNY HIGIENICZNIE
Stosujemy się do zaleceń

POBYTY: Zdrowy Kręgosłup, Dla Aktywnych, Antystresowy, Kardiologiczny z diagnostyką.

Szwedzki stół, 15 albo 20 zabiegów na 7 dni pobytu
- Wstęp na basen z atrakcjami do 90 minut dziennie
- Diagnostyka fizjoterapeutyczna i laboratoryjna*
- Specjalistyczne konsultacje lekarskie*

*możliwa dopłata

tel. 54 416 70 00
www.podtezniami.pl
Pobyty: 07.11 - 20.12.2022r.

Turnus Świąteczny 20.12 - 27.12.2022 oraz Noworoczny 27.12.2022 - 03.01.2023

Klinika Uzdrowiskowa „Pod Tężniami" im. Jana Pawła II, ul. Warzelniana 7, 87-720 Ciechocinek

eprasa.pl 4708cd516e

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, Ziobrowski resort sprawiedliwości domaga się, iżby w Kodeksie karnym znalazło się przestępstwo polegające na „zdradzie ojczyzny". Of kors nie podoba nam się taki pomysł, i to na wielu płaszczyznach.

Po pierwsze: mamy XXI w., czas przestać mówić w kontekście związków o zdradzie. Nie po to normalizujemy w przestrzeni publicznej dyskurs o związkach poliamorycznych, decydowaniu o własnym ciele, aby teraz nagle mówić o zdradach. Rzeczywistość związków jest bardzo skomplikowana, powiedzielibyśmy, iż nawet płynna, dlatego też nie możemy traktować zmian partnerów zero-jedynkowo. A w dodatku przypominamy, iż związek z ojczyzną jest najczęściej narzucony.

Po drugie: mówimy o zdradzie ojczyzny. A więc mamy XXI w i wciąż jeszcze pokazujemy, i to na gruncie prawa karnego, przywiązanie do średniowiecznego konceptu ojczyzny, którą oczywiście traktujemy lepiej niż inne kraje. I nie nazywamy jej „matronowizną" – czyli nadal legitymizujemy patriarchat i wynikającą z niego językową opresję.

No i wreszcie po trzecie: co będzie oznaczało taką zdradę ojczyzny? Dla nas patriotyzm to sprzątanie kupy po psie (szczególnie kiedy nie mamy psa – polecamy to rozwiązanie), kasowanie biletów, płacenie podatków (ale lokalnych, iż płacenie innych to wzmacnianie władzy, a więc Kaczafiego) i wrzucanie śmieci do koszy na ulicach, a nie na chodnik.

A w PiS-owskiej ustawie to pewnie będzie tak, iż jak używasz feminatywów, nie chodzisz do kościoła, jesteś wege, nie robisz grilla w majówkę, nie słuchasz Zenka i nie lubisz Lewandowskiego, to nie będziesz mógł się nazywać Polakiem i zdradzasz swoją ojczyznę z lewackimi ideologiami. Dlatego będziemy uważnie monitorować tę sytuację, iżby w odpowiedniej chwili móc uciec za granicę.

À propos zdrady ojczyzny, to blisko niej byłby Henry Cavill, gdyby tylko był Polakiem. Otósh aktor grający wiedźmina Geralta z Rivii zrezygnował z wcielania się w tę rolę w kolejnych sezonach serialu.

W Polsce taka decyzja mogłaby zostać odebrana jako policzek wymierzony kolczastą rękawicą w twarz polskiej kultury, dorobku i dziedzictwa narodowego.

Jednak jako że serial o Wiedźminie jest produkowany przez Netflix, to Polacy oczywiście nie ogarniają fabuły zaproponowanej przez tzw. showrunnerów i skarżą się, narzekają i labiedzą na niezgodność serialu z książkami i grami. Dlatego też decyzję Cavilla przyjęli ze zrozumieniem.

Warto jednak zauważyć, iż to kolejny raz, kiedy próbujemy zawłaszczyć sobie popkulturę – mając jakieś tam wyobrażenie, jak powinien wyglądać Wiedźmin, Polacy nie są w stanie wytrzymać zmian, które nanieśli autorzy z Netflixa. A skoro nanieśli, to oznacza, iż były one konieczne, a oryginał miał swoje, powiedzmy, problemy.

Dlatego tesh naszym zdaniem Cavill okazał się mentalnym Polakiem i niczym się dla nas nie różni od Janusza z wąsem, który w serialu widzi wątki feministyczne i rzuca w telewizor kapciem xD ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

COVID żyje?

Adam, zrób coś. Bo słabo jest.
Ale że co się dzieje, Mati?

No jak: co się dzieje? Z inflacją jesteśmy nie powiem gdzie, kasy z Unii nie ma, Zbychu pode mną ryje wspólnie z Jackiem, notowania lecą na łeb.
Ale co ja ci mogę na to poradzić? W służbie zdrowia też do niczego, nagle zawałowców mamy od cholery, nie wiem czemu...

Nieważne. Weź ty jakoś reanimuj COVID.
Ale jak? Wszyscy to już mają gdzieś. Wchodzę ostatnio do siebie do sekretariatu i tak rzuciłem testowo: „Sąsiad złapał COVID, umierający jest". A te, rozumiesz, pokiwały tylko głowami i potem słyszę, a one znowu o tej Cichopak czy jak jej tam. Tej, która męża rzuciła.

Ty, a może zrobić nową kampanię z celebrytami, że COVID żyje? I wziąć tę Cichopyk?
Mati, ty to masz łeb! ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Strzyżenie frajerów i dojenie kasy. Oto cel".

TOMASZ LIS, *publicysta, na Twitterze o ogłoszeniu przez rząd planu budowy elektrowni jądrowych w Polsce*

eprasa.pl 4708cd516e

BUDUJEMY KONCERN **MULTIENERGETYCZNY**

Połączony potencjał i kompetencje Grupy ORLEN oraz PGNiG to rozwój nowych, czystych źródeł energii, stabilność i bezpieczeństwo dostaw, a także lepsza oferta dla milionów Klientów. Silny, europejski koncern to nasza odpowiedź na wyzwania przyszłości. **Razem zapewniamy bezpieczeństwo energetyczne.**

ORLEN

PGNiG GRUPA ORLEN

eprasa.pl 4708cd516e

Sztuczne prawdziwy problem

Jerzy Karwelis

Sprawa produkcji sztucznego mięsa wskazuje kształt przyszłego świata, do którego zdążamy. Wkrótce staniemy się niewolnikami swoich wyborów

Maszyna porusza się szybko, jak każda drukarka 3D. Dysze suną sprawnie, wypuszczając na przemian to czerwone, to białe włókna. Struktura jest nierówna, przypadkowa, to też trudne. Efekt ma być nieregularny, bo oglądamy eksperymentalną produkcję sztucznego mięsa. Pokrojone mięso prawdziwe nie układa się przecież w symetryczne wzory, w końcu to losowa mieszanina mięśni i powięzi oraz tłuszczu. Nie może więc wyglądać sztucznie. Na razie.

ZLATUJĄ SIĘ BILLE

Od pewnego poziomu obrotów w danym sektorze pojawiają się Bille. W tradycyjnej hodowli mówimy o 326 mln ton mięsa co roku, jej wartość to obecnie 1 bln dol. rocznie, a w roku 2040 ma to być 1,8 bln dol. Ale ciekawa jest ta przyszła struktura: 25 proc. „mięsa" będzie pochodziło z roślin, a 35 proc. to będzie mięso wytworzone bez udziału zwierząt. To są grube miliardy rocznie i to są kwoty dla Billów.

Mówimy o rocznym rynku wielkości, w samych USA, 32 mln sztuk bydła, 9 mld kur i 241 mln indyków, czyli jakichś 75 mld dol. rocznie. Sam, obecnie jeszcze raczkujący, rynek sztucznego mięsa to 15 mld dol. rocznie. To wygląda na mało, ale liczy się dynamika – inwestuje się w rosnące rynki, a tu prognozy pokazują, że do 2030 r. rynek ten wzrośnie dziesięciokrotnie. Dlatego duzi inwestują, w końcu to nie może być tak, że taki interes omija wielkie korporacje, rozproszony na rozdrobnione rolnictwo i miliony właścicieli. Przejęcie interesu sztucznego mięsa to ograniczenie rolnictwa tradycyjnego i wejście na jego miejsce.

Aby przejąć cały interes, wystarczy tylko zablokować obecny model oraz wprowadzić swoje monopolistyczne rozwiązania

Dlatego takich rzeczy nie mógł przegapić ktoś taki jak Bill Gates. Jest to dla niego wręcz modelowy rynek. Obszar zatomizowany na wiele podmiotów, łatwy do uregulowania, nastroje społeczne dotyczące przemiany – gotowe. Aby przejąć cały interes, wystarczy tylko zablokować funkcjonujący model duetem regulacji i narracji oraz wprowadzić swoje monopolistyczne rozwiązania. Wtedy wszyscy będą musieli przyjść do

eprasa.pl 4708cd516e

mięso,

FOT. ADOBE STOCK

jedynej budki z mięsem, wszystko będzie znormalizowane, a więc przewidywalne, czyli sterowalne.

Dlatego Gates inwestuje w ten interes wraz z wieloma miliarderami. Na razie w mięsne start-upy, ale już są zbierane pieniądze na pierwsze reaktory do produkcji dziesiątek tysięcy ton sztucznego mięsa. Na razie udział Gatesa w tym nowym biznesie nurzany jest w sosie sensacji, kiedy Internet obiegły kadry z pożaru, rzekomo należącej do Gatesa, fabryki mięsa w holenderskim Almelo. Nie ma jeszcze takich fabryk, ale z tematem nie tylko łączy Gatesa to, że jest współwłaścicielem tej firmy opartej na żywności New Age, lecz także to, że pożar przytrafił się akurat w trakcie zamieszek w wykonaniu holenderskich rolników, którzy protestowali przeciwko klimatycznym decyzjom władz, mającym nie tylko zmniejszyć pogłowie ich bydła o połowę, lecz także otworzyć drogę do ekspansji sztucznego mięsa, w które zainwestował Gates.

Z CZYM TO SIĘ JE?

Słyszymy, na razie nie widzimy, ale o tym dlaczego – potem, coraz więcej o sztucznym mięsie. W tej chwili wzbudza to jedynie same sensacje, ale wciąż nie wychodzi poza wymiar ekstrawaganckiego eksperymentu. Jednak pod warunkiem, że nie wyjdziemy poza newsy o zajmujących przejawach postępu technologicznego. Bo w innym kontekście kwestia sztucznego mięsa jest znakomitym przykładem, w którym skupiają się nie tylko zagadnienia technologiczne, lecz także kulturowe, co dopiero… polityczne, i to na skalę światową. Kwestia sztucznego mięsa bowiem, obok coraz bardziej oczywistych kulturowych konsekwencji interakcji technologii i społeczeństwa, wskazuje także kształt przyszłego świata, do którego zdążamy.

Z punktu widzenia technicznego sprawa wydaje się prosta. Pobiera się od zwierząt tzw. komórki macierzyste, potem, dodając sole, aminokwasy, białka cukry i hormony, w specjalnych reaktorach namnaża się ten „zaczyn" w (teoretycznie) dowolnych ilościach.

Cała sprawa jest nowa. Pomijając sygnały od futurologów, zaczęła się od australijskich bioartystów (tak, istnieje taka dziedzina „sztuki"), którzy w 2003 r. zaprezentowali sztucznego burgera, którego cena produkcji wyniosła wtedy 250 tys. dol. Po 10 latach prof. Mark Rost, guru sztucznego mięsa, zaprezentował swój Frankerburger Rost, którego produkcja kosztowała już znacznie mniej.

eprasa.pl 4708cd516e

Dziś restauracje w Singapurze oferują już takie mięso, a cena jest osiągalna dla przeciętnego zjadacza. W 2020 r. zaczęto od produkcji drobiowych nuggetsów, a – jak to zwykle bywa w przypadku rozwijających się nowych technologii – cena detaliczna sztucznego mięsa spada.

Z punktu widzenia fizyczno-chemicznego wszystko jest więc jasne, jednak cała sprawa – poza kwestią (nie)zdrowej sensacji ma wielowymiarowe konsekwencje.

JAK TO SIĘ OPOWIADA?

Jak się argumentuje chęć wprowadzenia sztucznego mięsa? Mamy dwie drogi narracji: moralną i ekologiczną. Moralna jest jasna – zwierzęta w hodowli cierpią, hodowane są na śmierć, wręcz do niej powoływane na świat. Ich życie to droga przez mękę, na której końcu mają być bezlitośnie i okrutnie mordowane. Po drodze poddawane wszelkim technikom zwiększającym ich użyteczność w produkcji rolnej, aż do niedawno odkrytego przez ekologów procederu gwałcenia krów. To kwestie wrażliwości moralnej, która wielu osobom odbiera chęć do spożywania mięsa. Wegan mamy tak ok. 10 proc. ludzkości, co stanowi szybko rosnącą frakcję. Najbardziej skrótowo określił ten trend były premier Izraela – Beniamin Netanjahu, który po konsumpcji sztucznego befsztyku stwierdził, że jest on „pyszny i wolny od poczucia winy".

W kwestii sztucznego mięsa mamy ostatnio uzasadniającą perypetię taktyczną. Nieoczekiwanie związaną z… COVID. Tak, tak – sztuczne mięso i COVID mają wiele wspólnego. Chodzi o to, że propagandyści nowych zwyczajów żywieniowych utrzymują, że sztuczna produkcja mięsa uchroni nas od ryzyka tej zwierzęcej choroby, bo to przecież od zwierząt się wziął (tak?) przeskok chorób odzwierzęcych na człowieka. Taki nietoperz z Wuhan to niebezpieczeństwo powtórki na innych wariantach innych wirusów i zwierząt. Jeśli będziemy produkować mięso w próbówkach o wymiarach hal sportowych, to takie niebezpieczeństwo zniknie.

MIĘSO, CZYLI ZAGŁADA ŚWIATA

Kluczowy jest jednak argument ekologiczny. Jest nas coraz więcej i do tego konsumpcja mięsa rośnie, a hodowla zwierząt to jeden z większych czynników obciążających klimat Ziemi. Hodowla ma odpowiadać za 15 proc. emisji gazów cieplarnianych, 30 proc. zużycia gruntów i 8 proc. wody, powoduje wycinkę drzew pod pastwiska i uprawę pasz. Do organizmów ludzi dostają się antybiotyki używane przez hodowców do zabezpieczenia się przed chorobami zwierząt. Najgorsza jest przyszłość: eksperci przewidują, że jeżeli nie zredukujemy o 90 proc. hodowli wołowiny (wołowina jest tu najgorsza), to za 10 lat czeka nas katastrofa. A trend jest alarmistycznie odwrotny – rosnąca liczba ludzi, których coraz częściej stać już na mięso, ma spowodować do 2050 r. wzrost na jego zapotrzebowanie o 20 proc.

Stąd już idą proste kalkulacje: przejście na sztuczne mięso może zredukować emisję gazów cieplarnianych o 76–96 proc., energochłonność o 7–45 proc., zużycie wody o 82–96 proc. Przedziały, jak widać, są spore, a to głównie dlatego, że kalkulacja zużycia zasobów przy produkcji sztucznego mięsa jest wciąż kwestią otwartą. I rosnącą w kosztach.

No bo jak to liczyć? Zacznijmy od bazy, czyli jak jest z efektywnością tradycyjnej hodowli. Profesor Rost, ten od wspomnianego burgera, powołuje się na pojęcie biokonwersji, czyli ile trzeba przetworzyć kilogramów białka roślinnego, by uzyskać białko zwierzęce. Wychodzi mu, że na 15 gramów białka zwierzęcego „marnuje się" 100 gramów białka roślinnego. Wygląda to słabo, ale tak nie jest. W końcu można przyjąć, że krowa na pastwisku jest – technicznie rzecz biorąc – maszyną do przetwarzania białka roślinnego w zwierzęce i skuteczność 15-procentowa może wyglądać na zatrważająco niską. Ale ta krowomaszyna przerabia na białko zwierzęce białko roślinne, które nie nadaje się do konsumpcji przez człowieka. Dopóki jeszcze nie nakłoniono nas (na razie?) do jedzenia trawy, słomy czy otrębów. A więc jest to przetwórstwo o wiele bardziej skuteczne – z niczego w coś.

Kluczowym argumentem przy wskazywaniu na ekologiczną szkodliwość hodowli jest kwestia wody. I tu robi się ciekawie. Mamy bowiem w obiegu argument statystyczny, że na jeden kilogram wołowiny zużywa się 15 tys. litrów wody. Wygląda przerażająco. Ale co to znaczy „zużywa się"? Co się dzieje z tą wodą? W końcu z takiej porządnej krowy to jest kilkaset kilogramów mięsa, z czego gros to woda, co prawda, ale i te kilka, nie kilkaset ton wody na kilogram mięsa i tak zje konsument. Łatwo policzyć, że

Sztuczne mięso na razie wykonywane jest tak, żeby wyglądem przypominać to prawdziwe FOT. ADOBE STOCK

ta woda – jak praktycznie każda zresztą – wraca do środowiska. Nie jest więc zużywana, ale – używana do produkcji zwierzęcej. Poza tym do hodowlanego bilansu wody dodaje się „zużycie" zawartej wody w paszach, które spożywają zwierzaki, co ma stanowić ok. 90 proc. zużycia. Tak samo jest z liczeniem gazów cieplarnianych, które ma powodować hodowla. To nie tylko, za przeproszeniem, pierdzenie i bekanie krówek, ale doliczanie do tego całego śladu węglowego wynikającego np. z transportu i przechowywania. A więc to może być wszystko. Tak jak w każdej innej dziedzinie.

Na przykład… produkcji mięsa sztucznego. Bilans porównawczy nie wypada najlepiej. Duża konsumpcja szczególnie czystej wody, niewiadomy, ale coraz wyższy ślad węglowy wynikający z bardzo dużej konsumpcji energii. Sporo chemikaliów używanych do dezynfekcji, dużo wody zużywanej do mycia linii produkcyjnych. Symulacje energochłonności nowego przemysłu wskazują, że może on osiągnąć poziom o 55 proc. wyższy,

eprasa.pl 4708cd516e

niż ma przemysł samochodowy. A skoro jesteśmy przy samochodach jako punkcie odniesienia, to spójrzmy porównawczo, jak obie branże, ze szczególnym uwzględnieniem „ekologicznego" przemysłu samochodów elektrycznych, mają się do siebie.

SAMOCHODY A MIĘSO

Aby wykonać jeden akumulator do samochodu elektrycznego, trzeba: 11 kg litu, 27 kg niklu, 19 kg manganu, 13 kg kobaltu, 90 kg miedzi oraz 181 kg aluminium. Dla wydobycia surowców do produkcji jednego akumulatora potrzeba przesunięcia 260 ton ziemi, zużycia do tego hektolitrów paliwa. Kopalnia wydobywająca 66 tys. ton węglanu litu (surowca do energochłonnego odzysku samego litu) zużywa 12,2 tys. litrów wody na… sekundę. W sumie ślad węglowy samochodu elektrycznego to 12 ton CO_2, co sprawia, że – by zrównoważyć ślad węglowy samochodu konwencjonalnego – samochód elektryczny musiałby (nie licząc już nawet pochodzenia użytego dla niego prądu) przejechać o wiele więcej kilometrów niż te, na które jest zaplanowany.

Czemu tu piszę o mięsie i jednocześnie o samochodach? To przykład na to, że w wielu przypadkach dotyczących „uzieleniania" naszego świata jest to kwestia nie różnic technologicznych czy ekologicznych, ale narracyjnych. Woda „zużyta" przez krowę to woda bardziej szkodliwa niż ta zużyta w kopalniach kobaltu, potrzebnego do produkcji elektryków. A to przecież taka sama woda. Woda zużyta przy produkcji mięsa to woda lepsza (faktycznie musi być czystsza) od tej, którą „marnują" kury. Właśnie – marnują. Ta, która „przechodzi" przez krowę, w statystykach wygląda na utraconą bezpowrotnie, a ta użyta do produkcji zieloności (samochody elektryczne, sztuczne mięso, wiatraki i fotowoltaika) – cudownie wraca z powrotem. Tak samo ze śladem węglowym – u krówek wielgachny, w nowych zielonych technologiach – nieistniejący.

I tu się zbiega pierwsza rzecz. Promująca narracja i pieniądze. Łatwo zauważyć, że jedno poprzedza drugie. Ze sztucznym mięsem powtarzamy drogę innych ekologicznych narracji. Najpierw pojawia się kwestia odpowiedzialności za Ziemię, wzbudza się społeczne poczucie problemu, najpierw na poziomie sygnalizacyjnym, potem panikarskim. Wytwarza się bazę do społecznej akceptacji przyszłych rozwiązań. Istnieje taka figura jak „okno Overtona", która pokazuje kolejne etapy przechodzenia od społecznego odrzucenia danego pomysłu do jego szerokiej akceptacji (à propos – ta figura była kiedyś tłumaczona na przykładzie przejścia od społecznego odrzucenia kanibalizmu do jego akceptacji i szerokiego stosowania; dziś już mamy głosy, że mięso zmarłych się marnuje i w końcu trzeba zutylizować ludzki ślad węglowy). Promocja zachowań wegańskich jest już w pełnym rozkwicie.

PO IDEI – PRZYMUS

I zaraz po pierwszych fazach zasiania procesu akceptacji idzie faza przymusu – regulacyjnego i finansowego. Tak było z OZE, jest z elektrykami. Tu idą dwie ścieżki. Preferencje finansowe dla nowej technologii i kary za używanie starej. Rosnący przemysł sztucznego mięsa to na razie domena inwestycji korporacyjnych. Państwo tu za dużo nie dokłada. Wiodący producenci mięsa w zagrożeniu swych „starych" biznesów widzą szansę na ucieczkę do przodu. Inwestują w produkcję sztucznego mięsa. Mięsa tradycyjne, uznane za szkodliwe dla klimatu, wedle opisanej powyżej metody zostaną coraz bardziej opodatkowane.

Co do regulacji, to Unia Europejska już planuje obowiązek dla każdej restauracji, by w jej menu znalazła się co najmniej jedna pozycja wege. Potrawy ze sztucznego mięsa serwowane w nielicznych restauracjach są jeszcze o ok. 20 proc. droższe, ale tak zaczynała każda nowa technologia. Potem, by promować korzystne rozwiązania dla klimatu, wprowadzano nożyce – kary dla użytkowników starych technologii i nagrody w postaci dopłat dla nowych użytkowników. Przemysł sztucznego mięsa jest jeszcze zbyt mały, na razie na poziomie konsumenckiej ciekawostki, ale gdy osiągnie odpowiednią skalę, na pewno zostanie dotowany, tak było z samochodami elektrycznymi. Były drogie, cena była mitygowana przez dotacje, wielu nakupiło tego ile wlezie, i teraz mają problem już nie tylko z zielonością swych zachowań, lecz także z ceną za nie.

eprasa.pl 4708cd516e

Ciekawy jest aspekt promocyjny całego zjawiska związanego z konsumpcją nowego typu mięsa. Zaczyna się od słów – jak zwykle. Po słabych próbach typu „mięso in vitro" wylądowaliśmy w przystani oceniającej: mamy „czyste mięso". Czyli tamto jest „brudne". W ewidentnej propagandzie chodzi o zmianę nawyków żywieniowych. O wege już nie ma co mówić – jest wśród nas. I narracja „czystego mięsa" idzie tak jak z wege: celem jest przekonanie młodego pokolenia – starsi są dla nowych zachowań straceni, tak mają mieć kulturowo ugruntowane swoje żywieniowe zwyczaje. I to tam jest skierowana propaganda.

Ale gdzież tam – straceni. Dla starszych, a to rynek nie do pominięcia, tu taktyka jest ewolucyjna. Mimikra. Udajemy, że to mięso. Dlatego mieszamy losowo i programujemy komputerowo (nawet można zaprojektować fakturę) sztuczne mięso czerwone z białymi żyłkami. Samo sztuczne mięso nie ma koloru czerwonego, a więc by przybliżyć je do wyglądu mięsa, dodaje się czerwony barwnik, udający krew, czyli wyznacznik świeżości mięsa „starego". Ostatnio wybuchła w Unii ideologiczna zadyma, by zaprzestać tego procederu, na co zwrócili uwagę ekstremiści ideologiczni: nie wolno na wegeprodukt mówić „kiełbaska", kształtować to w formy kiełbasopodobne, bo to wprowadza w błąd konsumenta. Ten ma być świadom, że je produkt roślinny. Dość udawania. Ma się wstydzić za potrzebę takich erzaców. Tak samo jak z nazywaniem napojów fałszywych mianem mleka. Ale tu też mamy wyjątek – bo tak nastawiona na prawdę ideologia w przypadku sztucznego mięsa nazywa go „mięsem", którym przecież nie jest.

JEDZENIE JAKO CHEMIA

Zaczyna się od ciekawego podejścia. Tak właściwie, z punktu widzenia chemicznego, to wszystko, co jemy, to miks jakichś tam elementów. Można, jak widać, skonstruować chemiczny odpowiednik każdej potrawy, w końcu to skończona liczba jakichś elementów. Można to wszystko pomieszać w jakiś komponent, np. proszek, i dodać wody i wyjdzie na to samo. Zmielony indyk wygląda jak papka, a jest tam przecież ten sam indyk. A gdyby to nie był indyk, a np. larwa mącznika? Skład białkowo-energetyczny zacny – zdrowy i pożywny. Tylko ta kultura przeszkadza. A właściwie przesądy, że robaki. Ale co to ma za znaczenie, inne niż estetyczne? Bo smakowe to można już poprawić. Ba – można uzyskać nowe smaki, dotąd nieznane naturze. Tak jak odkrył je w swym produkcie – sztucznym mięsie hodowanym na bazie szpinaku – Stanisław Łoboziak z Centrum Nauki Kopernik.

Bill Gates zapowiada, że od 2040 r. będzie inwestował w roślinną frakcję sztucznego mięsa jakieś 450 mln dol. rocznie

W takim kontekście można już próbować wszystkiego. To dlatego w setkach szkół holenderskich dzieci konsumują larwy mącznika podawane im przez nauczycieli. To dlatego w holenderskim Haarlemie zakazuje się reklam mięsa. To dlatego na opakowaniach porcjowanego mięsa w Nowej Zelandii umieszcza się zdjęcia cielaczków, które właśnie zjadasz. Te patrzą na ciebie okrągłymi oczyma z niemym pytaniem: Dlaczego? Jak to dlaczego – po to, by bogaci byli jeszcze bardziej bogaci, a ty jeszcze bardziej winny. Jak wspomniałem, duże mięsne korporacje kręcą się przy interesie. Jedne po to, by się do (nowych) przyłączyć, skoro „nie można ich zwyciężyć".

DUZI INWESTUJĄ

W takiej taktyce „porządkowania" wolnego i rozdrobnionego rynku specjalizuje się demiurg dzisiejszych czasów – Bill Gates. Od dawna zainteresowany sztucznym mięsem. Gates jednak ma inne podejście. Zaprosił do współpracy podobnego kolegę, Bezosa z Amazona, i zainwestowali w sztuczne mięso, ale o innej technologii. Chodzi o wspomniane podejście chemiczne, czyli jeśli chcecie proteiny, to niekoniecznie musicie je brać z komórki macierzystej od biednego zwierzaka.

Wystarczy, że namnożymy bogate w proteiny grzybki Fusarium flavolapis, i mamy produkt w składzie podobny (nawet podobno 50 proc. bogatszy w proteiny) do mięsa. Teraz – tu mimikra – możemy go ukształtować w dowolny produkt kotletopodobny i doprawić tak dodatkami, że będzie smakował, jak kto chce. Tak więc w kwestii zawartości wyjdziemy na swoje i pozbawimy się – ewentualnych – niekorzystnych cech produkcji sztucznego mięsa opartego na komórkach macierzystych. Bill zapowiedział, że od 2040 r. będzie inwestował w roślinną frakcję sztucznego mięsa jakieś 450 mln dol. rocznie.

MIĘSNA WIZJA PRZYSZŁOŚCI

Jak widać, nowa technologia w kwestii swego głównego uzasadnienia nie posiada cech, które przemawiałyby za nią. Ani zdrowotnie, ani ekologicznie, ani kosztowo nie przedstawia sobą obiecywanych efektów. Ma za to szerokie spektrum potencjalnych szkodliwych skutków.

Pierwsze to socjalne – w rolnictwie i jego obsłudze pracuje z połowa ludzkości. Szczególnie w krajach biedniejszych. Odcięcie ich od podstawowego (jedynego?) źródła utrzymania, a czasami przeżycia, bo hodują dla siebie, to katastrofa cywilizacyjna. Ale globalizm utrzymuje, jak bohater „Shreka", że jest to poświęcenie, które jest w stanie ponieść dla dobra sprawy. Cały bilans społeczny całej zielonej rewolucji upstrzony jest takimi „kosztami społecznymi", jakoś dziwnie niekalkulowanymi, a co najmniej niepokazywanymi przez ekspertów. I kwestia problemów społecznych nie dotyczy wyłącznie hodowli. Bo jeśli będzie można sztucznie wyprodukować mięso, to czemu nie można by wyprodukować sztucznie pszenicy? I po co nam wtedy będzie rolnik?

Drugi, może ważniejszy aspekt, jeżeli może być coś ważniejszego niż postawienie cywilizacji na skraju upadku, to kwestia polityczna. Taka Unia to się jeszcze przed sztuczną hodowlą broni, co jest wynikiem wciąż silnego lobby rozproszonego rolnictwa. Ale i ten bastion padnie. Widać to na całym świecie. Mamy do czynienia z trendem przesuwania się produkcji z rozproszonej gospodarki w kierunku oligopolizacji. Coraz więcej przestrzeni dla małego biznesu przejmuje biznes korporacyjny. Rolnictwo jest tego pokazowym przykładem. Za pomocą miksu straszenia ludu i jednoczesnej presji regulacyjnej lansuje się polityki prowadzące do zaniku rozproszonego, a więc bezpiecznego co do dostępności, rolnictwa i przekazuje się w monopolistyczną strukturę wielkich korporacji. Jeżeli stara technologia zostanie zabroniona, to pozostanie tylko nowa. Tym razem w rękach oligarchów nowego kapitalizmu, którzy – gdy przejmą gros rynków – będą mogli już bezkarnie dyktować ceny, jakość i zachowania konsumenckie. I wtedy staniemy się niewolnikami nie swoich wyborów. I to nie tylko w kwestii schabowego.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4708cd516e

Już za tydzień

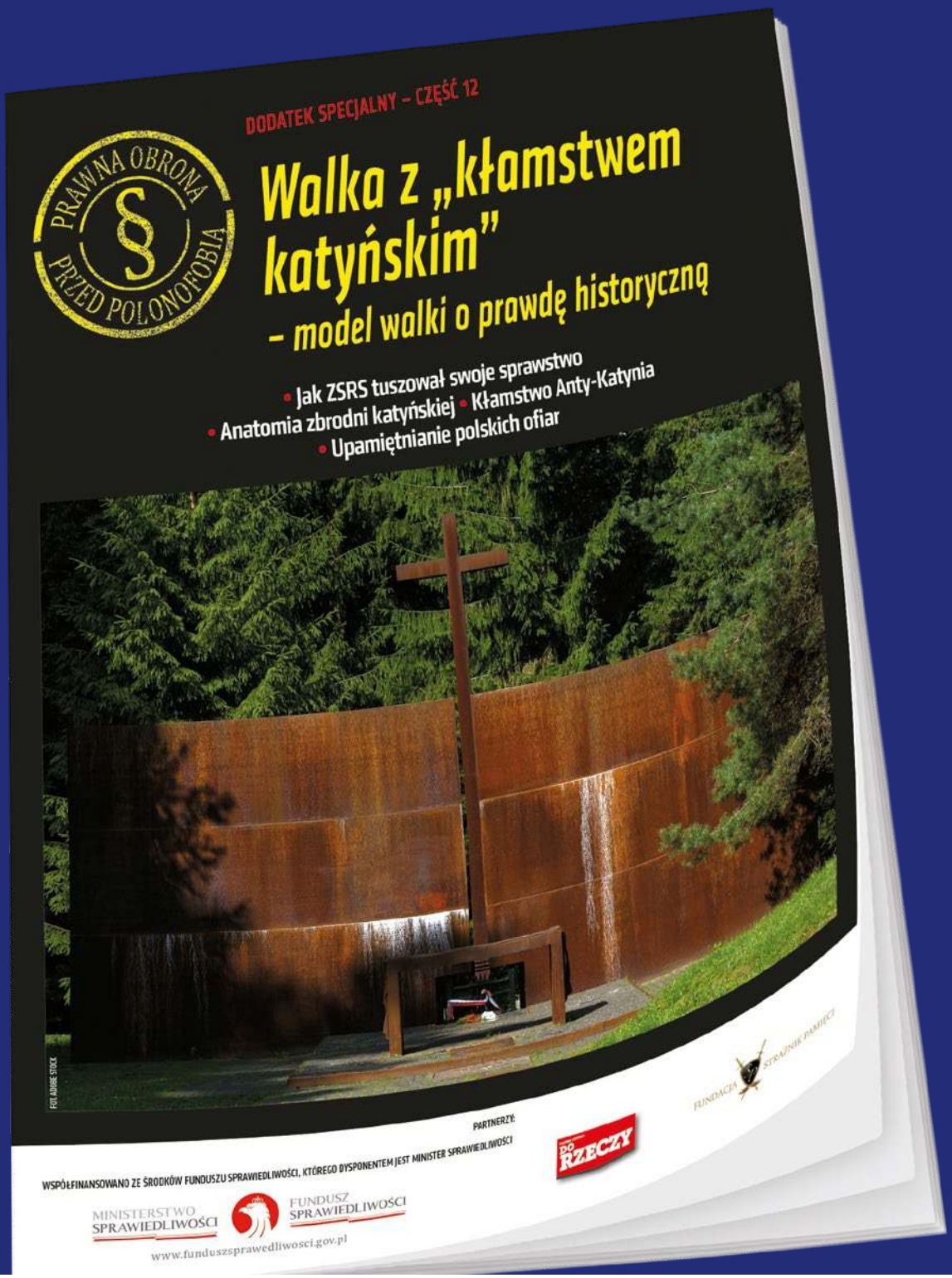

WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI

FUNDUSZ SPRAWIEDLIWOŚCI

www.funduszsprawiedliwosci.gov.pl

eprasa.pl 4708cd516e

FOT. LESZEK SZYMAŃSKI/PAP

Wojna atomowa

Rafał A. Ziemkiewicz

Rząd zdecydował o budowie dwóch, a docelowo trzech wielkich elektrowni atomowych w Polsce. Czeka nas zatem nieuchronna wojna polityczna z Unią Europejską

Jest to, powiedzmy od razu, jedna z najlepszych decyzji, jakie rząd Zjednoczonej Prawicy odważył się podjąć od dawna. Po z górą 20 latach jałowego gadania o potrzebie rozwijania w Polsce energetyki jądrowej i zmarnowaniu licznych funduszy na pozorowanie prac nad jej rozwijaniem przyszły wreszcie konkretne decyzje i zobowiązania. Dlaczego nie wcześniej? W tym akurat wypadku przyczyny były głębsze niż, jak zapewne skłonny jest przeciętny Polak uważać, ogólna niemożność wszystkiego, „imposybilizm" prawny, urzędniczy i decyzyjny wpisany w przyjęte w Magdalence założenia ustrojowe państwa postkomunistycznego. To znaczy, wszystkie te nasze słabości zostały tu wykorzystane, ale istotę sprawy stanowiła zdecydowana polityczna wola kręgów rządzących Unią Europejską: w Polsce, tak jak docelowo w całej Europie, ma nie być żadnej elektrowni atomowej, bo jest to sprzeczne z pryncypiami walki o klimat.

eprasa.pl 4708cd516e

Nie jest łatwo wyjaśnić, dlaczego Unia skonstruowała swe „klimatyczne" pryncypia w sposób urągający ustaleniom nauki, prawom ekonomii i zdrowemu rozsądkowi. Jedynym wyjaśnieniem wydają się słowa, którymi kiedyś premier Morawiecki tłumaczył się z niekorzystnych dla Polski ustępstw w sprawie „Zielonego Ładu": w tych sprawach Unii nie można się sprzeciwić, ponieważ „polityka klimatyczna" jest dziś w niej „religią panującą".

Dogmaty religijne zaś niekoniecznie muszą być logiczne. Religia „klimatyzmu" w wydaniu europejskim wychodzi z tego samego założenia, które przyjęto na regularnie odbywanych – ostatnio w Glasgow – klimatycznych soborach pod auspicjami ONZ-owskiego komitetu UNFCCC: że zmiany klimatyczne są skutkiem działalności gospodarczej człowieka, a konkretnie emisji dwutlenku węgla wywołanej spalaniem węglowodorów.

ATOM RATUNKIEM DLA PLANETY

Gdyby cały budowany wokół „ratowania klimatu" ruch miał rzeczywiście na celu powstrzymanie katastrofy, logiczną konsekwencją tego założenia byłoby zaprzestanie spalania węglowodorów. Jedynym zaś znanym ludzkości sposobem produkowania dużych ilości energii bez spalania jest reakcja jądrowa (ilości uzyskiwane kosztem wielkich szkód ekologicznych i społecznych z tzw. odnawialnych źródeł energii można pominąć). A więc, logicznie, „ratowanie planety" powinno polegać na odchodzeniu od spalania paliw kopalnych i budowaniu reaktorów jądrowych.

Religia klimatyzmu nie jest jednak religią objawioną, a skonstruowaną przez polityków i magnatów biznesu dla osiągnięcia konkretnych celów, więc logika, narzucona miliardami dolarów włożonych w „klimatyczną" propagandę i ustawionymi pod te cele uchwałami kongresów oraz szczytów, jako sposób na ratowanie planety podsuwa zastąpienie spalania jednych węglowodorów innymi oraz przesuwanie emisji CO_2 (jak i innego rodzaju szkód ekologicznych) z krajów Zachodu do krajów rozwijających się, głównie do Azji.

W ortodoksji europejskiej (bo są i inne, jak w każdym ruchu parareligijnym) oznacza to konkretnie przejście ze spalania węgla, wydobywanego w poszczególnych krajach, na spalanie gazu ziemnego, wydobywanego w Rosji i dystrybuowanego przez Niemcy, które w tym celu połączyły się, jako wielki „hub" Gazpromu, ze złożami rosyjskimi bezpośrednią rurą, nie przypadkiem położoną pięć razy większym nakładem kosztów po dnie Bałtyku, a nie po lądzie, gdzie musiałyby przebiegać przez kraje w planach „pogłębionej integracji" przeznaczone na Europę „drugiej prędkości". Warto tu zwrócić uwagę, że w parareligijnej „taksonomii" ekologiczność gazu nie zależy od jego składu (który jest mniej więcej taki sam wszędzie), ale od pochodzenia: ten rosyjski dystrybuowany przez Niemcy jest dobry i uratuje planetę, a ten północnoafrykański, który próbowała wprowadzić na europejski rynek Hiszpania, nie jest i dlatego budowa rurociągu z południa została przez Unię zatrzymana.

Aby dopełnić obrazu, należy wspomnieć o powtarzanych przez Unię zapewnieniach, że rosyjski gaz jest tylko „paliwem przejściowym", docelowo bowiem cała energetyka Unii Europejskiej ma zostać oparta na wodorze. Także rosyjskim – ów wodór będzie bowiem produkować Rosja ze swojego gazu i przesyłać z użyciem tej samej infrastruktury.

Tylko z pozoru ratuje to „klimatyczny" sens przedsięwzięcia: wodór, jakkolwiek mało wydajny energetycznie, nie wytwarza podczas spalania dwutlenku węgla, ale parę wodną (inna sprawa, że jest ona odpowiedzialna za „podgrzewanie" klimatu w znacznie większym stopniu niż CO_2). Natomiast jego produkcja z gazu ziemnego bądź innego węglowodoru powoduje taką emisję, że całe przedsięwzięcie traci sens. Mówiąc krótko, produkując z gazu wodór, by następnie użyć go jako paliwa, wytwarzamy kilkakrotnie więcej dwutlenku węgla, uzyskując mniej energii, niż gdybyśmy po prostu od razu ten gaz (czy inny węglowodór) spalili. A przy okazji wydobycie gazu i jego przetwarzanie powoduje uwalnianie do atmosfery ogromnych ilości metanu, który, podobnie jak para wodna, jest znacznie bardziej „cieplarniany" od dwutlenku węgla. W przeciwieństwie do pary wodnej metan jest nawet w religii klimatyzmu potępiony, ale nie ten produkowany przy okazji uwodorowiania gazu, a wyłącznie ten, który wytwarzany jest przez zwierzęta hodowlane – tu bowiem klimatyzm splótł się z inną parareligią, potępiającą spożywanie mięsa i obiecującą miliardowe zyski z produkcji białkowych substytutów.

Owszem, używanie wodoru, mimo jego wad (poza niską wydajnością jest on także trudny do przechowywania, ale przynajmniej, w przeciwieństwie do prądu, w ogóle daje się na większą skalę przechowywać), miałoby sens, gdyby przemysłowo wytwarzać go z wody, w drodze elektrolizy. To jednak wymaga ogromnych ilości prądu. Prądu, który na taką skalę i w cenie nieczyniącej przedsięwzięcia niemożliwym można uzyskać tylko z reaktorów atomowych.

STRASZENIE NA RZECZ ROSJI

Ale w religii klimatyzmu, a zwłaszcza w jej wersji europejskiej, energia jądrowa jest równie zła, jak ta z węgla i ropy. Mimo że jest najczystsza ekologicznie ze wszystkich, mimo że praktycznie nie powoduje żadnych odpadów („przepracowanego" paliwa jest tak niewiele, że jego składowanie, choćby w nieczynnej kopalni, nie jest żadnym problemem ani zagrożeniem). Energetyka jądrowa w planach UE przeznaczona została do zniszczenia – przodująca w niej kiedyś Francja wyłączyła już większość posiadanych elektrowni. Niemcy, które wyznaczyły sobie za cel zamknięcie ostatnich siłowni w roku 2022, rozpaczliwie starają się go wypełnić mimo wszystkiego, co dzieje się na światowym i europejskim rynku energii. Z jakim ideologicznym obłędem i zarazem obłudą mamy do czynienia, dowodzi to, że aby mimo wszystko ostatnie siłownie atomowe wyłączyć, woleli Niemcy w energetycznym kryzysie uruchomić odkrywkę węgla brunatnego („najbrudniejszego" z paliw), ba, aby móc to zrobić, zdecydowali się usunąć wiatraki „farmy wiatrowej", będące wszak jednym z najważniejszych fetyszów klimatyzmu!

Proszę wybaczyć, że tak obszernie omawiam tu absurdy tego, co premier Morawiecki trafnie nazwał w przypływie szczerości „religią Unii Europejskiej", ale chodzi o to, by nie mieli państwo wątpliwości, że „polityka klimatyczna" UE jest jednym wielkim absurdem na miarę urojeń oficjalnej doktryny Związku Sowieckiego. Nic tutaj nie trzyma się kupy, dlatego do narzucania tego splotu nonsensów trzeba używać narzędzi cenzorskich („negacjonizm klimatyczny" eliminuje z zachodnioeuropejskiej debaty publicznej równie skutecznie, jak „homofobia" czy „cis-hetero-patriarchalny-biały-supremacjonizm") oraz histerycznej propagandy, opartej na przekazach czysto emocjonalnych, której krańcowym osiągnięciem jest kreowanie na autorytety zindoktrynowanych nastolatków.

eprasa.pl 4708cd516e

Niezrozumiałe, z punktu widzenia logiki, potępienie energetyki atomowej odwołuje się głównie do strachu przed bombą atomową. Dla przeciętnego Europejczyka – niebawem zobaczymy, czy także dla Polaka – reaktor atomowy to coś takiego, jak pracująca pod kontrolą bomba. I jako taki może, tak jak bomba, wybuchnąć. Przecież wybuchł w Czarnobylu, czyż nie?

Jest to przejaw ciemnoty i nieuctwa współczesnych zachodnich społeczeństw, ale na ich usprawiedliwienie trzeba powiedzieć, że poddane były w tej kwestii przez wiele dziesięcioleci niezwykle silnej propagandzie, inspirowanej przez ZSRS i całą jego rozległą agenturę wpływu oraz jeszcze liczniejszych „pożytecznych idiotów". Zatrzymanie na Zachodzie, a szczególnie w Europie, rozwoju energetyki jądrowej było jednym ze strategicznych celów ZSRS, z tych samych przyczyn, dla których dziś starają się ją zablokować w Europie Środkowej Niemcy: ponieważ posiadanie przez mniejsze państwa własnych źródeł taniej i masowo wytwarzanej energii ogranicza możliwości ich podboju. Ruchy „zielonych", straszące atomem, i wszelkie upowszechniające lęk przed nim przedsięwzięcia były jedną z najlepszych inwestycji ZSRS, z których korzyści do dziś czerpie Rosja putinowska.

Siła, z którą narzucany jest współczesnemu Zachodowi „klimatyzm", wynika z tego, że dostarcza on religijnej sankcji dla przebudowy świata w kierunku proponowanym przez nową, światową oligarchię. Na spotkaniach w Davos, w wystąpieniach hołubionego przez mogołów korporacyjnego biznesu Harariego, mówi się to otwarcie: oświecona elita musi – musi! – przejąć kontrolę i pozbawić masy wolności, bo masy te zniszczą planetę. Jest to ten sam rodzaj wszechrozgrzeszenia, jakiego komunistom dostarczała „historyczna nieuchronność walki klasowej" wskazana przez Marksa, a nazistom postdarwinowski imperatyw doskonalenia ludzkości przez eliminację ras niższych.

W swej odmianie europejskiej, unijnej, „klimatyzm" stanowi też parareligijną sankcję „pogłębionej integracji", czyli centralizacji Europy. A tej polityce oddana jest bez reszty cała wyhodowana w ostatnich dziesięcioleciach warstwa zarządzających Unią „zawodowych Europejczyków". Bez ciągłego pogłębiania integracji ich bizantyjskie przywileje nie mają racji bytu. Co więcej, w tym punkcie dążenia eurooligarchii spotykają się z nowym niemieckim imperializmem, używającym Unii Europejskiej jako swojego politycznego egzoszkieletu.

Ogłoszenie decyzji o budowie trzech elektrowni jądrowych to jasna deklaracja, że Polska zamierza budować swoją podmiotowość

NASZ POLICZEK DLA UE

Ogłoszenie przez Polskę decyzji o budowie trzech wielkich siłowni jądrowych, w dodatku bez odwołania planu upowszechnienia w Polsce technologii małych, „modułowych" reaktorów, stanowi otwarte wyzwanie – by nie rzec, policzek – dla Unii i jej federalizacyjnych planów. Jest to po prostu element wymówienia wspólnej przyszłości i jasna – przynajmniej dla rządzących UE – deklaracja, że Polska zamierza zachować niezależność i budować swoją podmiotowość.

Dlatego wcale nie jestem skłonny przyłączać się do powszechnego potępienia, które spotkało Leszka Millera za udzielony na gorąco komentarz do podpisania przez polski rząd umów z Westighouse i konsorcjum południowokoreańskim: „Polska będzie miała przez to ogromne kłopoty z Komisją Europejską". Bez względu na to, gdzie w tym sporze lokuje się sam były postkomunistyczny premier (raczej nie po stronie polskiego interesu narodowego), jego zapowiedź jest całkowicie prawdziwa. Unia Europejska nie pogodzi się z tymi inwestycjami i użyje wszystkich możliwości, żeby je zablokować. Planowane uruchomienie pierwszej siłowni nastąpić może najwcześniej za 10 lat. Do tego czasu wiele może się zdarzyć.

Siłą Polski jest w tej nadchodzącej wojnie to, że aby wypowiedzieć ją nam, Bruksela musi wypowiedzieć wojnę Ameryce. Nie umiem, proszę mi wybaczyć, powstrzymać się od uwagi, że tak oto (między innymi oczywiście) w zaledwie trzy miesiące po odesłaniu do wydawnictwa mojej „Wielkiej Polski" zaczynają się spełniać jej prognozy co do skutków geostrategicznej zmiany, spowodowanej próbą odbudowy rosyjskiego imperium w oparciu o Chiny oraz przebudzeniem narodowym Ukrainy, której bohaterski i skuteczny opór skutkuje determinacją Ameryki, by ostatecznie „odmocarstwowić" Rosję.

Przy wszystkich swych wadach, przełamując atomową niemożność, rząd PiS okazuje się stać na wysokości zadania, które wynika dla nas z tej geostrategicznej zmiany. Być może, jak twierdzą niektórzy, amerykańska technologia nie jest najbardziej obiecująca – ale politycznie USA, wraz z ich najbliższym azjatyckim sojusznikiem, są dla nas partnerem dającym największe szanse na powodzenie. Chwalić rząd należy także za to, że sprawę wyboru partnera do budowy trzeciej elektrowni pozostawia w zawieszeniu – co jest wyraźną ofertą dla Francji. Osobiście nie sądzę, aby kuszenie to się powiodło, przynajmniej dopóty, dopóki Francją rządzi Macron. Co prawda, dąsa się ona ostatnio na Niemców, przy których coraz bardziej schodzi do roli junior partnera, ale jej establishment jest zbyt zrośnięty z europejską oligarchią, zbyt zideologizowany i zbyt oddany planom stworzenia „europejskiego państwa", by dokonać zwrotu w polityce wobec Polski, choćby nie wiem, jakie to miało dać korzyści samej Francji. Co oznacza, że trzecią elektrownię również będą u nas budować Amerykanie. Ale z uwagi na przyszłość dobrze, że taka oferta (jeśli dobrze odczytuję sytuację) pojawiła się na stole.

Pomniejszą korzyścią, którą ma z tej decyzji PiS, jest perspektywa rozbicia frontu niechętnych sobie mediów. Widać to już było w pierwszych dniach po podpisaniu listu intencyjnego: flagowe medium antypisu, TVN, z powodów właścicielskich zmuszone było zająć odmienne pozycje od pozostałych, kolekcjonujących już argumenty przeciwko „energetycznym urojeniom" PiS i nawołujących, by zamiast elektrowni atomowych stawiać wiatraki.

Możemy być pewni, że tych argumentów będzie przybywać w postępie geometrycznym: PiS chce wymordować Polaków opadem promieniotwórczym, PiS wyrzuca pieniądze na gigantomanię, zamiast wydawać je na Polaków (choć gdy je wydaje na Polaków, to przecież też źle), a co z mieszkańcami wyznaczonych na inwestycję okolic – doprawdy, repertuar środków, po które sięgną zwolennicy opcji „europejskiej", jest bardzo szeroki i od dawna znany.

No i na pewno pojawi się niebawem narracja, że budowa elektrowni skłóca nas z Unią i prowadzi do polexitu. Co istotne, choć z powodów politycznych rząd będzie musiał zaprzeczać – to akurat jest prawdą. I właśnie dlatego dobrze, że ta decyzja wreszcie zapadła.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4708cd516e

Katolicy w epoce Dawida apostaty

Piotr Semka

Wystarczy, że gwiazda muzyki powie coś złego o Kościele, a już tłum księży bije się w piersi i przyznaje rację. To właśnie widzieliśmy, gdy znany piosenkarz ogłosił chęć apostazji

Dawid Podsiadło to obecnie jedna z największych gwiazd muzyki rozrywkowej w kraju. Od wielu lat dzięki ogromnemu talentowi, a także bardzo umiejętnej polityce promocyjnej zdobywał coraz lepszą pozycję na polskim rynku. Piosenki nie wychodziły poza typowe teksty rockowe – o miłości czy problemach młodych ludzi – aż do jego niedawnej płyty „Lata dwudzieste". Pochodzący z niej utwór „Post", który stał się bardzo szybko przebojem, zawiera bardzo zjadliwy wizerunek polskich katolików. Ludzi, którzy wścibsko sprawdzają, kto z kim sypia, czy mają tatuaże, nienawidzą Niemców, Harry'ego Pottera, „tęczowych" rowerów. W refrenie Podsiadło kąśliwie deklaruje: „A ja tu poszczę, bo piątek, bo rybę mam na obiad, i zemszczę się, pomszczę". Nie zabrakło oczywiście skondensowanej wizji polskiego katolika, który uważa, że kobieta nie powinna pyskować i ma tylko rodzić i prać. Jest i posądzenie o skłonność do przemocy: „Rzucam kamieniem prosto w twoją twarz, nic o mnie nie wiesz, a ja ciebie znam, w niebieskim niebie nie otworzą bram, Pan Bóg da zbawienie, ale tylko nam".

To wejście Podsiadły na terytorium sporów światopoglądowych przywitane zostało przez liberalne media entuzjastycznie, choć jeszcze nie wywołało większych emocji, gdyż piosenkę można było uznać za quasi-satyryczny pastisz. Wszelako już wtedy niektórzy przypominali, że Podsiadło bardzo zdecydowanie poparł Strajk Kobiet jesienią 2021 r. Jednak ta piosenka okazała się swoistym wprowadzeniem do informacji, którą Podsiadło podzielił się publicznie w czasie wizyty w programie Kuby Wojewódzkiego i Piotra Kędzierskiego.

Piosenkarz zapowiedział, że chce dokonać apostazji, czyli formalnego wypisania się z ksiąg Kościoła katolickiego, w którym został ochrzczony. „Nie chcę zaburzać statystyki, korzystać z przywilejów organizacji, z którą niewiele mnie łączy. Mam problem z instytucją, a nie z wiarą. Wszyscy widzimy kolejne mnożące się przypadki pedofilii, wtrącanie się w sprawy polityczne, światopoglądowe. Nie piętnuję wiary, tylko hipokryzję. »Post« był reakcją na głęboko umoralniające, właśnie w kontekście wartości wiary, postawy prezentowane przez różne osoby, które na co dzień same mają braki w moralności" – powiedział.

APOSTATYCZNY ENTUZJAZM

O ile piosenka była uznawana za ciekawostkę, która ucieszyła antyklerykałów, o tyle informacja o apostazji stała się hitem Internetu. Portale medialne, telewizje i duża część gazet rozpisywały się na ten temat (w zdecydowanej większości w sposób entuzjastyczny).

Zaraz potem posypały się informacje, że gdy Podsiadło ogłosił, iż zaprasza na samodzielny koncert na Stadionie Narodowym, to bilety rozeszły się w ciągu kilku minut. Stadion Narodowy ma ok. 58 tys. miejsc. Czy sprzedaż tylu tysięcy biletów w parę minut jest możliwa? No, ostatecznie można uznać, że bilety wyprzedały się stosunkowo szybko, co jest miarą pozycji Dawida Podsiadły jako muzycznej megagwiazdy.

Czy jednak wszystko to układało się w jakąś kampanię marketingową? Do takiego wniosku doszła Zuzanna Dąbrowska, moja koleżanka po piórze z „Do Rzeczy", która zwięźle skomentowała całą sprawę: „Nowa płyta, koncert, apostazja. Wszystko w tym samym czasie, przypadek?".

Apostazja Dawida Podsiadły może mieć bardzo duży wpływ na młodą generację. Już wcześniej zdarzali się artyści deklarujący chęć odejścia od Kościoła, ale byli oni dosyć niszowi – np. Nergal czy aktorzy Artur Barciś, Renata Dancewicz, Agnieszka Włodarczyk. Na scenie rockowej jedynie stosunkowo popularna piosenkarka Margaret zapowiedziała trzy lata temu, że „niedługo dokona aktu apostazji". Podsiadło to jednak inna liga. Nic więc dziwnego, że liczne media liberalne zaczęły zastanawiać się, ile decyzji apostazji wśród młodych ludzi pociągnie za sobą deklaracja gwiazdora.

W tekstach o tej decyzji nie pojawiały się pytania o możliwe marketingowe podłoże sprawy. Przykładowo w „Polityce" Joanna Podgórska pisała: „Polityka i spory ideowe w polskim wydaniu mają to do siebie, że potrafią wytrącić z dystansu nawet osoby tak powściągliwe jak Dawid Podsiadło". I dalej: „Niby to tylko jedna apostazja. Ale tu chodzi o artystę, który zagrał największy koncert

eprasa.pl 4708cd516e

w historii polskiej muzyki, gromadząc na Stadionie Śląskim 65-tysięczny tłum; chodzi o artystę, którego ludzie uważnie słuchają. Dla wielu, którym chodzi po głowie myśl o apostazji, jego deklaracja może stać się w końcu impulsem, by w końcu to zrobić".

„Gazeta Wyborcza" natychmiast zamieściła wywiad z Damianem Maliszewskim, aktorem, który rok wcześniej dokonał aktu apostazji. Deklarował w nim: „To jedna z najmądrzejszych decyzji w moim życiu".

Dawid Podsiadło ma dziś w Polsce status muzycznej megagwiazdy
FOT. ŁUKASZ GĄGULSKI/PAP

POSZUKIWANIE ZAGUBIONEJ OWCY

„Jestem pewien, że mam więcej pretensji do ludzi Kościoła katolickiego niż Dawid Podsiadło. Też więcej goryczy i argumentów przeciwko ludziom KK. Nie oceniam go, ale oceniam rozgłos jego apostazji. Moda na bezrozumne traktowanie swojego chrztu" – napisał na Twitterze o deklaracji Podsiadły konserwatywny ksiądz Daniel Wachowiak. I wskazywał: „Im mniej byle jakich katolików, tym lepiej. Skończą się I komunie bez wiary w Chrystusa, śluby na pokaz i chrzty dla rodzinnej imprezy. Skończą się też fałszywe powołania kapłańskie. Za kilka dekad będziemy mieli znów Kościół, w którym są ludzie świadomi piękna swej wiary w Boga".

To był bodaj jedyny głos krytyczny wobec Podsiadły ze strony kapłanów. O wiele częstsze i tym samym bardziej nagłośnione były głosy, które widziały deklarację Podsiadły jako okazję do rachunku sumienia dla katolików. Postępowy jezuita Grzegorz Kramer ogłosił: „Bo zawsze, jak ktoś odchodzi – znaczy to, że nie znalazł we wspólnocie, którą tworzę, wystarczająco dużo miłości, by zostać". Czyli wniosek był prosty. To Kościół zawiódł i dał Podsiadle zbyt mało miłości.

Z kolei biskup pomocniczy krakowski Damian Muskus napisał na Facebooku: „Wobec deklaracji faktycznych aktów apostazji jako ludzie Kościoła możemy zrobić tylko tyle i aż tyle: dać poczucie, że droga powrotu jest zawsze otwarta. Odchodzącego trzeba uważnie wysłuchać, wsłuchać się w jego motywacje i argumenty, nawet jeśli są one dla nas bolesne".

Biskup Muskus swoją wypowiedzią sugerował potrzebę wsłuchania się w argumenty Podsiadły. Problem w tym, że te zostały sformułowane bardzo lapidarnie i nie zawierały pogłębionej refleksji, lecz raczej odbicie tego, co o Kościele mówi się w mass mediach. Biskup zareagował jednak tak, jakby Podsiadło napisał jakiś dogłębny manifest teologiczny.

Niejako na marginesie dyskusji o apostazji pojawił się też wątek piosenki „Post". I tutaj też pojawiły się głosy przedstawicieli Kościoła otwartego, które zżymały się na reakcję, że piosenka Podsiadły jest tworzeniem stereotypowego wizerunku „strasznych katolików". Na łamach „Więzi" ks. Andrzej Dragula pisał: „Czy przebój Dawida Podsiadły wyraża prawdę o katolikach? Moim zdaniem nie. Ale ten obraz nie bierze się znikąd".

Jeszcze dalej posunął się jezuita o. Andrzej Drozd, który stwierdził, że „utwór nie atakuje ani Kościoła, ani też Ewangelii, a raczej to, co wyrosło na wierze, chociaż nie ma z nią nic wspólnego". Argumentacja ks. Drozda jest dość charakterystyczną reakcją na zjadliwy antyklerykalizm. Zachęca do szukania prawdy o przewinach Kościoła nawet w najbardziej naznaczonych złą wolą utworach. Na podobnej zasadzie jakiś pełen samokrytyki duchowny prawosławny w latach 20. w Związku Sowieckim mógłby zachęcać do pozytywnego podejścia do antyreligijnych plakatów, wskazując, że przecież zdarzali się popi zaangażowani głównie w zdobywanie dóbr ziemskich czy tacy, którzy posiadali niezgłoszone dolary. Nie zmieniało to jednak faktu, że takie wrogie religii plakaty służyły głównie kreowaniu stereotypów. A piosenka Podsiadły te stereotypy doskonale utrwala.

KWESTIA PROPORCJI

Można powiedzieć, że jezuita Grzegorz Kramer zastanawiający się, czy Podsiadło nie zaznał zbyt mało miłości od Kościoła, albo bp Muskus zachęcający do szacunku dla wolności decyzji drugiej osoby reprezentują bardzo cenny w katolicyzmie wątek ciągłej samorefleksji nad skutecznością oddziaływania wspólnoty wiernych na każdego pojedynczego człowieka. Problem w tym, że to właśnie takie wypowiedzi dominują dziś

eprasa.pl 4708cd516e

wśród osób duchownych udzielających się w mediach. Przeglądając rozmaite portale, szukając wypowiedzi księży, którzy odnieśliby się krytycznie do decyzji Podsiadły, odkryłem jedynie wspomnianą już wypowiedź ks. Wachowiaka oraz ks. Jakuba Bartczaka – notabene kapłana rapera – który postawił tezę, że artyście może chodzić o uzyskanie taniego rozgłosu. Większość pozostałych wypowiedzi kapłanów podchodziła do sprawy na zasadzie dogmatu: Podsiadło odchodzi, bo my wszystko zepsuliśmy.

Rzecz w tym, że wrażenie dominacji takich głosów ze strony księży i zakonników wynika z tego, iż to media liberalne w największym stopniu nagłaśniają tego typu samokrytyczne wypowiedzi. Tak zresztą bywało już bardzo często od 1989 r. Doskonale pamiętam, jak z pomocą postępowych księży dyskredytowano postulaty Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego reprezentowane przez Wiesława Chrzanowskiego czy Marka Jurka, zapraszając do studia księży z Kościoła otwartego. Widok w studiu kapłana w koloratce, który ośmiesza argumentację katolickiego polityka, był na tamte czasy majstersztykiem manipulacji. Dzisiaj dzieje się podobnie. Opinie ks. Andrzeja Draguły czy ks. Grzegorza Kramera służą do wyraźnej sugestii: oburzanie się na Podsiadłę jest śmieszne, bo ten, kto to robi, chce być bardziej papieski od papieża.

A jednak Dawid Podsiadło powinien być poddawany normalnej ocenie, jak każda inna osoba, która prezentuje publiczną deklarację na tematy światopoglądowe. Podsiadło oburza się na – jak to określił – wtrącanie się w sprawy polityczne i światopoglądowe, ale sam korzysta ze swej uprzywilejowanej roli w popkulturze do lansowania swoich poglądów politycznych i światopoglądowych. Dlatego popierał Strajk Kobiet, który miał wyraźne ostrze polityczne, i dlatego publicznie ogłosił swoją apostazję, wiedząc, że jest dla setek tysięcy nastolatek wzorem.

W całej dyskusji wokół gwiazdora muzyki zabrakło też trzeźwych głosów osób świeckich, niekoniecznie będących jakimiś wzorowymi katolikami. Na tyle jednak uczciwych, by zauważyć, że działania Podsiadły mogą sprawiać wrażenie marketingowego planu. W tę rolę wszedł jedynie Mariusz Cieślik na łamach „Rzeczpospolitej". Jak wskazał: „Każdy ma prawo wierzyć lub nie wierzyć w to, co mu się tylko żywnie podoba [...]. W sumie nie byłoby sensu tego komentować, gdyby nie przedstawiona przez Podsiadłę argumentacja. Jest ona bardzo charakterystyczna dla pewnego kręgu, proszę wybaczyć, panie Dawidzie, ćwierćinteligentów uważających się za elitę. By nie być gołosłownym, przywołam choćby wypowiedź żony byłego kandydata na prezydenta RP, która oświadczyła, że nie puściła syna do pierwszej komunii, bo Kościół nie zdał egzaminu, gdy PiS atakował sądy czy prawa kobiet. Cóż można na to odpowiedzieć? Jeśli ktoś jest katolikiem, to powinien dbać o zbawienie duszy własnego dziecka, a jeśli nie jest katolikiem, to po co miałby posyłać potomstwo do pierwszej komunii?".

Cieślik rozprawił się też z argumentem, że skoro w Kościele są przypadki pedofilii, to trzeba opuścić tę instytucję. I pisze: „Uzasadnienie zaprezentowane przez muzyka jest absurdalne. Bo skoro na przykład wśród nauczycieli zdarzają się przypadki pedofilii, to czy należy bojkotować instytucję szkoły?". Dziennikarz „Rz" litościwie pominął, że w środowisku show-biznesu oskarżenia o pedofilię zdarzają się również stosunkowo często, ale nie o to chodzi, problem w tym, że stoimy dziś w sytuacji, w której każde zdanie wypowiedziane przez gwiazdora muzyki rockowej, gdy ten wchodzi w odpowiedni ton poprawności politycznej, traktowane jest tak, jak kiedyś traktowano deklaracje przywódców Kościoła. Z nabożnym szacunkiem i bez żadnej dyskusji.

Tego typu deklaracje zaczynają niemal na kolanach przyjmować także biskupi czy poszczególni księża. A ten, kto korzysta z przywileju domniemania, że jego słowa określają rzeczywistość, ten rządzi naszą wyobraźnią zbiorową. I w tym pojedynku Dawid Podsiadło oprócz satysfakcji z wykupionego Stadionu Narodowego może być też w pełni zadowolony z wypowiedzi bp. Muskusa, o. Kramera czy dominikanina Andrzeja Drozda. Na swój sposób oni też zachowali się jak bezkrytyczni fani autora piosenki „Post".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4708cd516e

Fundusz Długu Niekontrolowanego

Jakub Wozinski

Pod rządami Mateusza Morawieckiego skala wydatków pozabudżetowych pozostających poza kontrolą Sejmu i nieograniczonych konstytucyjnymi regułami wzrosła w bardzo niebezpieczny sposób

Zniesienie konstytucyjnego limitu zadłużenia to odwieczne marzenie wielu polityków. Większość Polaków nie jest niestety świadoma tego, że nasi rodzimi politycy lubią je sobie spełniać w dużo większym zakresie niż politycy w innych krajach na kontynencie. Służy im do tego aż 126 funduszy pozabudżetowych, których wydatki nie są objęte regułą wydatkową. W Unii Europejskiej aż 20 z 27 państw w ogóle nie posiada jednostek pozabudżetowych, lecz w Polsce nie dość, że ich liczba stale rośnie, to na dodatek dysponują coraz większymi kwotami. Jeszcze 12 lat temu wszystkie jednostki pozabudżetowe odpowiadały za 223,2 mld zł, lecz w ustawie budżetowej na 2023 r. zapisano, że ich wydatki wyniosą łącznie aż 487 mld zł (dla porównania: wydatki całego Skarbu Państwa w tym samym okresie to 672,7 mld zł). Co prawda, większa część tej sumy to środki pozostające do dyspozycji Funduszu Ubezpieczeń Społecznych (361 mld zł), ale i tak ponad pozostałe 126 mld zł to kwota niebagatelna.

SZARA STREFA BUDŻETU

W praktyce zasadne jest stwierdzenie, że w ciągu ostatnich lat obok oficjalnego budżetu państwa wyrosła „budżetowa szara strefa". Zapewnia ona rządzącym odpowiednią swobodę działania oraz możliwość szybkiego uruchomienia znacznych środków finansowych z pominięciem zwykłych procedur, lecz tworzy niezliczoną wprost liczbę okazji do nadużyć. Istnienie każdej z jednostek pozabudżetowych, do których zalicza się agencje wykonawcze, fundusze celowe, państwowe osoby prawne i instytucje gospodarki budżetowej pociąga za sobą określone koszty administracyjne i płacowe. Część z nich, jak choćby Fundusz Przeciwdziałania COVID-19, nie posiada nawet konieczności comiesięcznego raportowania swojej działalności. Dodatkowo zaś, podczas gdy cała reszta jednostek budżetowych działa w oparciu o transparentne zasady umożliwiające kontrolę i obserwację ich poczynań, dysponujące największymi sumami jednostki pozabudżetowe funkcjonują w prawnym „martwym polu".

Najlepszym przykładem chaosu, który wiąże się z przesuwaniem tak ogromnych środków do „budżetowej szarej strefy", było choćby niedawne przeznaczenie 11,5 mld zł z Funduszu Przeciwdziałania COVID-19 na rzecz dopłat w wysokości 3 tys. zł dla gospodarstw domowych na zakup węgla. Patologiczność tego wydarzenia najłatwiej zrozumieć, wyobrażając sobie, co by się stało, gdyby nagle Ministerstwo Zdrowia postanowiło sfinansować jedno z zadań, którego wykonanie pozostaje w zakresie kompetencji Ministerstwa Klimatu i Środowiska. Tego typu anomalii jest niestety więcej, gdyż środki z Funduszu Przeciwdziałania COVID-19 przesunięto także m.in. na rzecz Funduszu Wsparcia Mieszkalnictwa. Wielką zaletą tradycyjnego budżetu państwa jest to, że wymusza na rządzących maksymalny wysiłek w zakresie roztropnego podziału środków – w jednostkach pozabudżetowych panują już niestety niebezpieczne rozprężenie i marnotrawstwo.

EFEKT UBOCZNY COVID-19

Prawdziwym punktem zwrotnym w niechlubnej historii puchnięcia jednostek pozabudżetowych była rządowa odpowiedź na pojawienie się koronawirusa. To właśnie wtedy w Banku Gospodarstwa Krajowego powstał Fundusz Przeciwdziałania COVID-19, a Polski Fundusz Rozwoju uruchomił serię tzw. tarcz antykryzysowych. W 2020 r. podmioty te wyemitowały obligacje o wartości 166,1 mld zł, których spłata gwarantowana jest przez Skarb Państwa. Dodatkowo przy BGK powstał także Fundusz Wsparcia Sił Zbrojnych, który ma posłużyć jako główne źródło finansowania modernizacji i rozbudowy polskiej armii. Ministerstwo Finansów podzieliło się niedawno swoimi prognozami, które wskazują, że zadłużenie Funduszu Sił Zbrojnych ma wzrosnąć z obecnych 15,2 mld zł do 194,2 mld zł w 2026 r. W przypadku Funduszu Przeciwdziałania COVID-19 zadłużenie wzrośnie do 249,9 mld zł.

Oczywisty skutek tych zabiegów będzie taki, że wedle prognoz MF do 2026 r. dług publiczny liczony metodologią unijną (a więc z uwzględnieniem wydatków pozabudżetowych) wzrośnie do poziomu 2243 mld zł. Według ułomnej metodologii krajowej zadłużenie będzie wynosić zaledwie 39,9 proc. PKB, podczas gdy rzeczywiście wzrośnie do 53,8 proc. – o ile oczywiście w tym czasie

eprasa.pl 4708cd516e

FOT. ADOBE STOCK

rząd nie postanowi uruchomić kolejnych specjalnych funduszy. Przykład Niemiec pokazuje, że być może i polskie państwo będzie chciało niebawem utworzyć nową jednostkę do walki ze skutkami kryzysu energetycznego.

Podstawowa przyczyna, dla której rząd tak chętnie zadłuża nasz kraj u progu wielkiej demograficznej implozji, jest taka, że zmobilizowanie dodatkowych środków na wszystkie dodatkowe zadania wymagałoby dokonania odważnych cięć po stronie wydatków, w szczególności w obszarze socjalnym. Wówczas jednak na jaw wyszłoby to, że obecna władza zmarnowała pierwsze lata swoich rządów, gdy koszty zadłużania się polskiego państwa były na historycznie niskim poziomie, finansując konsumpcję i zaniedbując dużo ważniejsze obszary. Dokonując wielkiej reorganizacji listy wydatków, rządzący musieliby przyznać się do porażki programu, który wciąż uważają za swój bodajże największy sukces. Obecnie zaś braki w różnych obszarach rząd musi nadrabiać przy pomocy specjalnych funduszy i nadzwyczajnych środków, których efekty są niestety opłakane dla portfeli zwykłych Polaków.

OJCIEC CHRZESTNY INFLACJI

Palący problem „budżetowej szarej strefy" jest o wiele bardziej namacalny, niż mogłoby się wydawać i nie sprowadza się jedynie do kwestii zaksięgowania wydatków w tej czy innej rubryce. Konstytucja wyraźnie zabrania finansowania deficytu przez Narodowy Bank Polski, lecz w przypadku tarcz antykryzysowych czy Funduszu Przeciwdziałania COVID-19 dodatkowe środki pieniężne zostały wykreowane w 2020 r. w znacznej mierze właśnie poprzez zakupy obligacji dokonywane przez bank centralny. Okazało się to jednym z głównych czynników napędzających wzrost inflacji, która jest bez wątpienia największą gospodarczą porażką tego rządu i prawdziwą zmorą dla wszystkich Polaków. Za niegospodarność rządu i stosowaną przez niego kreatywną księgowość płacimy tym samym coraz wyższy podatek inflacyjny.

Ogromnym powodem do niepokoju jest również to, że w działaniach rządu nie widać jakiejkolwiek dyscypliny ani planów ograniczenia całego zjawiska. Wręcz przeciwnie, pomimo rekordowego przyrostu środków pozostających do dyspozycji funduszy pozabudżetowych w 2020 r. ekipa Morawieckiego stale rozbudowuje ich zadania i wydatki. W ten sposób finansowane są kolejne transze tarczy antyinflacyjnej, pomoc dla uchodźców z Ukrainy, wypłaty 14. emerytury czy też dodatki na inne źródła ciepła.

Zapytane przez „Do Rzeczy" o ewentualne plany ograniczenia liczby jednostek pozabudżetowych i ich budżetów w celu uzyskania większej przejrzystości finansów publicznych Ministerstwo Finansów unika jednoznacznej odpowiedzi, wskazując jedynie, że przejrzystość gwarantują roczne plany finansowe dołączane do projektu ustawy budżetowej. Przyjmując tę logikę do jednostek budżetowych, można by wyprowadzić właściwie dowolną kwotę i utrzymywać, że nic się nie stało, ponieważ zachowane są wszelkie standardy raportowania. Oznacza to ni mniej, ni więcej, że żadnych planów rozwiązania narastającego problemu nie ma, a rządzącym najwyraźniej nie przeszkadza panujący bałagan.

Trzeba sobie powiedzieć wprost, że obecny rząd wypychając coraz większą część swoich wydatków do jednostek pozabudżetowych, dopuszcza się dewastacji zasad rządzących od lat finansami publicznymi. Po dojściu do władzy Zjednoczona Prawica szczyciła się tym, że zdołała stosunkowo szybko ograniczyć działalność mafii żerujących na systemie podatkowym i zwiększyć tym samym wpływy do budżetu, ale zamiast wprowadzać lepsze standardy, zastąpiła je swoimi własnymi, pozostawiającymi równie wiele do życzenia. Ewentualna likwidacja wytworzonego w ostatnim czasie bałaganu będzie wymagała wieloletniego wysiłku.

Obecne nadużycia rządu powinny jak najszybciej znaleźć swój finał w uszczelnieniu i doprecyzowaniu konstytucyjnych zasad fiskalnych. Bez tego kolejne rządy będą w stanie jeszcze bardziej naciągać zasady ku szkodzie wszystkich obywateli. Co prawda, w Unii Europejskiej pod egidą Francji i Włoch trwa wciąż wielka kampania na rzecz poluzowania dotychczasowych reguł fiskalnych. Ale czyż od formacji wyrażającej ambicje pójścia pod prąd głównego nurtu nie powinniśmy oczekiwać odważnego przeciwstawienia się panującym modom?

Pewnym naturalnym hamulcem dla wzrostu zadłużenia jednostek pozabudżetowych może się okazać coraz większa trudność w zadłużaniu polskiego państwa. Planowana przez BGK pierwsza emisja obligacji na rzecz Funduszu Wsparcia Sił Zbrojnych musiała zostać całkowicie wstrzymana, najprawdopodobniej ze względu na rosnącą w dramatyczny sposób rentowność. Beztroskie czasy zadłużania się na korzystnych warunkach nie wrócą zbyt szybko.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4708cd516e

Zuzanna Dąbrowska

Chronić życie

Fundacja Życie i Rodzina chce ukrócić proceder namawiania do aborcji i pomagania w jej przeprowadzaniu. Ruszyła zbiórka podpisów pod obywatelskim projektem „Aborcja to zabójstwo"

Przestępstwo polegające na pomocy w aborcji zostało określone w art. 152 § 2 Kodeksu karnego. Pomoc w aborcji i nakłanianie kobiety do zabicia dziecka są zagrożone karą trzech lat więzienia. Według aktywistów pro-life to za mało. 27 września marszałek Sejmu Elżbieta Witek zatwierdziła powstanie komitetu obywatelskiej inicjatywy ustawodawczej. Od tego dnia liczą się trzy miesiące, które fundacja Kai Godek ma na wniesienie projektu do parlamentu. Musi zebrać pod nim minimum 100 tys. podpisów.

Projekt przewiduje powiązane ze sobą zmiany w ustawie o planowaniu rodziny, ochronie płodu ludzkiego i warunkach dopuszczalności przerywania ciąży oraz w Kodeksie karnym. Zasadniczą zmianą, proponowaną przez pomysłodawców, jest wprowadzenie kary do dwóch lat więzienia za publiczne propagowanie działań dotyczących możliwości przerwania ciąży oraz nawoływanie do aborcji. Co istotne, karalne miałoby być także informowanie o możliwości zabicia dziecka nienarodzonego w przypadkach innych niż te zapisane w prawie. Ponadto zabronione ma się stać nakłanianie kobiety do przerwania ciąży. To uściślenie obowiązujących przepisów, ponieważ czyn ten jest karany już teraz, jednak tylko w przypadku aborcji dokonanej z naruszeniem przepisów ustawy.

Zbiórka podpisów ruszyła dwa lata po przełomowym orzeczeniu Trybunału Konstytucyjnego. W październiku 2020 r. TK orzekł, że dokonywanie tzw. aborcji eugenicznej, czyli związanej z wrodzoną wadą dziecka, jest niezgodne z ustawą zasadniczą. Wniosek o zbadanie tej kwestii wnieśli do Trybunału posłowie Prawa i Sprawiedliwości.

DUMNI Z ZABIJANIA

Tymczasem Fundacja Życie i Rodzina wskazuje, że grupy proaborcyjne stają

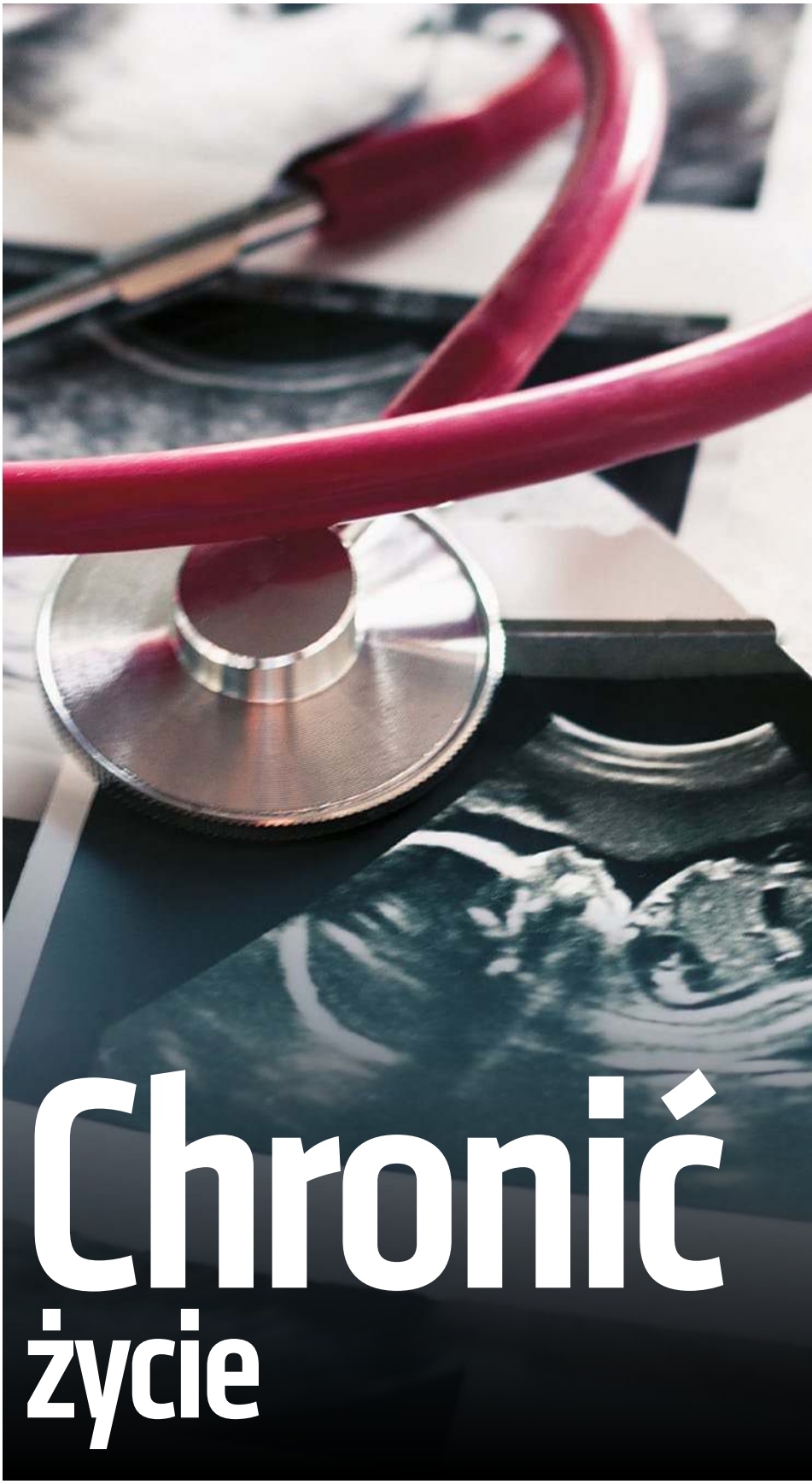

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl 4708cd516e

się coraz bardziej zuchwałe – mimo że orzeczenie TK kreuje bardziej przyjazne życiu uwarunkowania prawne, aborcjonistki bez żadnych oporów, przy aplauzie części mediów, chwalą się kolejnymi „osiągnięciami" na polu zabijania nienarodzonych. I tak np. Aborcja bez Granic w drugą rocznicę przełomowego wyroku TK poinformowała, że w ostatnim roku pomogła zabić dziecko 44 tys. kobietom. To o 10 tys. więcej niż w pierwszym roku po wyroku. „W ciągu tych dwóch lat Aborcja bez Granic pomogła 78 tys. osób w dostępie do bezpiecznej aborcji" – szczyci się Aborcyjny Dream Team, jedna z najbardziej radykalnych organizacji proaborcyjnych, wchodząca w skład Aborcji bez Granic. Chyba najbardziej szokującym przykładem działań anty-life, będących jednocześnie ewidentnym naruszeniem prawa, jest informacja, która pojawiła się w lutym na profilach ADT. Aborcjonistki ogłosiły z dumą, że pomogły w zabiciu dziecka w 37. tygodniu ciąży. Fundacja Życie i Rodzina zwraca uwagę, że zgodnie ze standardami opieki położniczej dziecko w tym wieku uznaje się za gotowe do przyjścia na świat, a poród w 37. tygodniu ciąży jest traktowany jako poród o czasie.

„Państwo nie może tolerować sytuacji, w której prawo to jest albo wprost naruszane, albo obchodzone przy wykorzystaniu luk w przepisach. Prowadzi to bowiem do sytuacji, w której pomimo teoretycznych gwarancji ochrony określonej wartości wartość ta jest lekceważona" – czytamy w uzasadnieniu obywatelskiego projektu.

– Działamy, bo giną dzieci nienarodzone. W perspektywie krótkiej chodzi o uszczelnienie przepisów prawa tak, aby chronić dzieci przed nielegalną aborcją. Nie do pomyślenia jest sytuacja, w której sądzi się za pojedyncze sprawy aktywistki pomagające w aborcji, a jednocześnie toleruje np. istnienie infolinii z poradami, jak zabijać nienarodzonych – mówi „Do Rzeczy" Krzysztof Kasprzak, członek zarządu Fundacji Życie i Rodzina, pełnomocnik inicjatywy Aborcja to Zabójstwo. Jak dodaje, w perspektywie długofalowej projekt ma pomóc uchronić Polskę przed losem takich krajów jak np. Irlandia czy Argentyna. – W tych krajach istniało dobre prawo antyaborcyjne, ale zostało zniszczone przez środowiska feministyczne i lewicowe. Zniszczone przede wszystkim dlatego, że tamtejsi konserwatyści przespali sytuację i byli bierni. Mieli dobre prawo i skoncentrowali się na pomocy kobietom, ale nie potrafili tego prawa obronić kolejnymi rozwiązaniami legislacyjnymi. Nam w tej chwili chodzi o to, aby uratować dzieci, które są zabijane, a to zabijanie zorganizowane jest w sposób systemowy. Aborterzy nawet specjalnie nie kryją się ze swoimi działaniami, można zatem łatwo stwierdzić, które miejsca w przepisach wymagają uzupełnienia – wskazuje Kasprzak.

ODCZŁOWIECZANIE

Propozycja Fundacji, choć jest dopiero na etapie zbierania podpisów, wywołała wściekłość aborcjonistów. Z jednej strony obserwujemy kolejną już falę personalnych, często obrzydliwych i chamskich ataków na Kaję Godek, która jest w Polsce największym wrogiem organizacji aborcyjnych. Z drugiej, padają oskarżenia o próbę zamknięcia ust tym, którzy prezentują inny światopogląd niż ten pro-life.

– Nasi krytycy nie wierzą w człowieczeństwo dzieci nienarodzonych. Dla nich to nie ludzie, nie wiem co, ale na pewno nie ludzie. Zapewne jacyś „untermensche" – podludzie. Gdyby uważali dzieci nienarodzone za ludzi, to nie chcieliby debatować o tym, czy można je zabić. Przecież nie prowadzi się debat, czy można zabijać niemowlaki czy przedszkolaki. Jeśli ktoś zainicjuje taką debatę, to powinniśmy mu dać czas w mediach i zapraszać na konferencję czy zorganizować bliskie spotkanie z prokuratorem? – pyta retorycznie Krzysztof Kasprzak.

Pytanie, co zrobi obóz władzy, gdy projekt trafi już do Sejmu. Zgodnie z deklaracją PiS projekty obywatelskie nie są odrzucane w pierwszym czytaniu, ale trafiają do prac w sejmowej komisji. To jednak absolutnie nie daje gwarancji, że propozycja będzie procedowana w możliwym do określenia terminie. Projekt może bowiem „leżeć" w takiej komisji przez długie miesiące, co w przypadku obywatelskich inicjatyw dotyczących ochrony życia nienarodzonych już się działo. – Projekt zwraca uwagę na problem, którym jest obchodzenie przepisów dotyczących ochrony życia. Jednak dałoby się go rozwiązać na gruncie obowiązującego prawa, gdyby było konsekwentnie stosowane – ocenił poseł Bartłomiej Wróblewski, jeden z inicjatorów wniosku do TK w sprawie tzw. aborcji eugenicznej. Z perspektywy obecnej władzy wszczynanie w roku wyborczym awantury o kwestię aborcji, która – jak pokazał rok 2020 – jest tematem wywołującym skrajne emocje i agresję, nie jest opłacalne. PiS boryka się przecież z innymi problemami, które dotyczą zdecydowanej większości społeczeństwa – jednym z nich jest galopująca inflacja.

CZEKAJĄC NA PRZEŁOM

Wydaje się, że nieco większą szansę na bardziej szczelną ochronę życia i faktyczne stosowanie prawa daje trwający proces Justyny W., aktywistki Aborcyjnego Dream Teamu. Chodzi o wydarzenia z 2020 r. Działaczka ADT jest oskarżona o pomoc przy dokonaniu aborcji. Prokuratura Okręgowa w Warszawie wszczęła postępowanie w odpowiedzi na zawiadomienie złożone przez ojca dziecka (według relacji mediów lewicowo-liberalnych stosował wobec żony przemoc), które miało zostać uśmiercone. Matka chciała dokonać aborcji w zagranicznej klinice wbrew woli ojca. Mężczyzna nie zgadzał się na zabicie wspólnego dziecka. Miał zapowiadać, że jeśli kobieta przekroczy granicę z ich pierwszym synem, to zgłosi porwanie na policję. Ciężarna zwróciła się o tabletki do Aborcji bez Granic. Ze względu na pandemiczne opóźnienia nie dotarły. Wtedy pigułki poronne przekazała jej pocztą Justyna W. Ojciec dziecka, dowiedziawszy się o przesyłce, postanowił wezwać policję, z którą czekał na powrót żony z kopertą. I tak w konsekwencji W. zasiadła na ławie oskarżonych. Grozi jej do trzech lat więzienia. Sama ciężarna nie złamała prawa, w sprawie jest świadkiem.

Wbrew oczekiwaniom trzecia rozprawa, która odbyła się 14 października, nie zakończyła się wyrokiem. W sądzie nie stawili się kluczowi świadkowie, czyli ojciec dziecka oraz Anna, której przekazała tabletki aktywistka ADT. Pełnomocnik Justyny W. przekonywał, że kobieta może bać się stawić na tak głośnej rozprawie, ponieważ na sali sądowej będą omawiane jej osobiste, delikatne sprawy. Wnioskował o wyłączenie jawności na czas jej zeznań. Kolejną rozprawę zaplanowano na styczeń. Gdyby sąd uznał, że działanie Justyny W. było niezgodne z prawem i doszłoby do prawomocnego skazania, mielibyśmy do czynienia z precedensem. Zwłaszcza że dotychczas wymiar sprawiedliwości, mimo wpływających zawiadomień, nie wszczynał postępowań w sprawach dotyczących pomocnictwa w zabijaniu dzieci nienarodzonych. Czy w końcu dojdzie do przełomu?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4708cd516e

Furasy

FOT. ADOBE STOCK

Łukasz Zboralski

Czy twoje dziecko przebiera się za zwierzę? Czy określa się jako „furas"? Jeśli tak, to porozmawiaj z nim, bo ta zabawa ma poważny podtekst

Młodzi zawsze odróżniali się od starszych pokoleń. Jeszcze nie tak dawno byli punkami z pióropuszami farbowanych fryzur i ze skórami z ćwiekami. Byli też depeszami (fanami Depeche Mode), metalowcami ubranymi na czarno i wbitymi w obcisłe dżinsy.

Czy coś w tym złego? Ależ skąd! Mieli własną muzykę i przekonanie, że uczynią świat lepszym. To przywilej młodości. Jeśli nie prowadziło to np. do wejścia w świat naroktyków czy przestępstw, były to normalne doświadczenia ludzi w okresie dojrzewania.

MODA NA NIELUDZI

O ile jednak wcześniej bunt przeciwko staremu światu wiązał się np. z nową muzyką, o tyle dziś związany jest z manifestowaniem utraty osobowości czy płci. Najgorzej, że część dzieci nie jest tego świadoma. Tak właśnie jest z tymi, których przyciąga nowa moda na „furasy", a zajmują się nią coraz młodsze dzieci.

W centrach dużych miast takich jak Warszawa roi się od młodych ludzi upodabniających się do zwierząt. Część chodzi po ulicach jedynie w opaskach z futrzanymi uszami i przyczepionymi bibelotami, jednak zdarzają się też całkowicie przebrani w kostiumy.

To oczywiście moda, która nad Wisłę dotarła z USA czy zachodu Europy. Tam, gdzie zauważono ją wcześniej, pojawiały się wątpliwości. Bycie „furasem" to nie tylko zabawa w kotka.

„Podczas gdy furry [odpowiednik polskiego: furasy – przyp. Ł.Z.] rozpoznają, że mają ludzkie ciała, mogą również czuć, że mają zreinkarnowaną duszę wilka lub że mają tak głębokie pokrewieństwo z kotami, iż na pewnym poziomie sami są kotami. Niektórym spośród tych ludzi przyjemnie jest robić rzeczy, które robią te zwierzęta – szczekać, warczeć lub bawić się w brutalny, zwierzęcy sposób. Wielu odczuwa wszechobecne poczu-

eprasa.pl 4708cd516e

cie dyskomfortu związane z własnym ludzkim ciałem" – tak o tej grupie mówiła Reutersowi Elizabeth Fein, profesor psychologii, która badała zjawisko „furasów".

W anglojęzycznej sieci jest też mnóstwo wpisów zaniepokojonych rodziców 12–13-letnich dzieci, którzy w przebieraniu się swoich podopiecznych za zwierzęta i twierdzeniu, że są „furasami", znajdowali powody do niepokoju. Odpowiedzi innych nie przynoszą ukojenia, jako że od razu pojawiają się deklaracje, że jest to „społeczność" dumna z tego, co reprezentuje. Że to forma „identyfikacji" dla tych, którzy potrzebują wyrazić siebie w inny sposób itd. Wprost bije z tych opisów dokładnie to samo, co deklarują środowiska promujące labilność płci czy możliwość wybierania sobie płci w zależności od okoliczności.

W szkołach w USA pojawiały się dzieci, które tak przebrane przychodziły na zajęcia. Psychologowie szkolni wymieniali między sobą informacje, jak pomóc takim dzieciom i jak przygotować inne, by także wobec dzieci przebranych za zwierzęta demonstrowały maksymalną inkluzywność.

W FUTRZE ZNIKA PŁEĆ?

Oczywiście na zjawisko można spojrzeć z dwóch stron. Z jednej strony – skoro obecnie na świecie wmawia się dzieciom, że płeć nie istnieje i że można dowolnie każdego dnia wybierać, czy chce się być chłopcem czy dziewczynką (a może ani tym, ani tamtym), to ostatecznie dlaczego nie można zaprzeczyć również innym dowodom biologicznym, np. takim, że nie wiadomo, kto jest człowiekiem, a kto kotem? Z drugiej strony – to właśnie zabawa w „furasy" doprowadzić może do przekonania, że płeć nie istnieje. Skoro wszyscy jesteśmy wymyślonymi zwierzątkami, to jak rozstrzygać, że jedne są męskie, a drugie kobiece?

Ktoś mógłby powiedzieć, że to za daleko idące porównania. Że przecież dzieci przebierające się za Harry'ego Pottera albo Supermana wcale nie muszą nagle stwierdzić, że mają inną płeć. Z „furasami" jest jednak inaczej. I są na to naukowe dowody. Zjawisko bowiem od co najmniej dekady jest badane, a w Kanadzie powstał nawet specjalny zespół, który zajmuje się tym fenomenem.

Z zagranicznych danych wynika, że „furasami" są tam najczęściej mężczyźni w wieku od kilkunastu lat do 20. roku życia. Demograficzne spostrzeżenia wykazują jednak tę grupę jako mniej typową na tle społeczeństwa pod względem LGBT.

„Siedem razy częściej niż ogólna populacja identyfikują się jako osoby transpłciowe i ok. pięciu razy częściej identyfikują się jako osoby nieheteroseksualne" – można przeczytać we wstępie do książki „Zwierzęta i my". Wstęp ten napisał dr Courtney Plante z Bishops University, działający w Międzynarodowym Projekcie Badań Antropomorficznych. Doktor Courtney dodawał: „Biorąc pod uwagę tę kompozycję, nie powinno dziwić, że fandom futrzany jest społecznością w dużej mierze definiowaną przez swoją inkluzywność. Ten fandom obejmuje normy bycia przyjaznym i nieoceniającym dla wszystkich".

Młodzi określający się jako „furasy" siedmiokrotnie częściej twierdzą, że są transpłciowi i pięć razy częściej uważają się za nieheteroseksualnych

Czy w Polsce mamy już do czynienia z takimi przejawami? Na razie o tego typu rzeczach mówią nieliczni rodzice, którzy coś usłyszeli od swoich dzieci. To trochę temat tabu. Z nieoficjalnych przekazów rodziców z Trójmiasta wiadomo, że starsze nastolatki – ze szkół średnich – organizowały spotkania „furasów" m.in. w parku w Oliwie. Tam młodzi ludzie w kostiumach hasali po trawie, ale nie tylko… Spotkania miały też erotyczny charakter. I, jak relacjonowali rodzice, były to relacje homoseksualne i biseksualne.

NAKRĘCANIE ODRZUCENIA

Temat LGBT, który wiąże się z byciem „furasem", nie jest jedynym, który powinien skłaniać rodziców do zastanowienia. Na stronie projektu naukowego poświęconego temu zjawisku przeczytać można, czym jeszcze charakteryzuje się ta grupa dzieci. Otóż okazuje się, że młodzi ludzie przebierający się za zwierzęta o 50 proc. częściej mają za sobą historię zastraszania werbalnego czy fizycznego. Szczególnie dotyczy to dzieci w okresie dojrzewania (61,7 proc. „furasów" ma doświadczenia nękania, podczas gdy w kontrolnej grupie ten wskaźnik wyniósł 37 proc.). Co gorsza, uciekanie w futrzane przebrania i identyfikowanie się jako „furas" wcale nie poprawia tej sytuacji od strony psychicznej. „Około 60 proc. furry zgodziło się z twierdzeniem, że odczuwa uprzedzenia społeczeństwa wobec furry, podczas gdy 40 proc. z nich uważa, iż bycie furry nie jest społecznie akceptowane" – czytamy na stronie projektu Furscience.com.

A na tym nie koniec złych wieści. Badania wskazują, że 65 proc. „furasów" nie powiedziało nikomu z rodziny o swoich futrzanych zainteresowaniach. Z kolei 70 proc. z nich nie powiedziało o tym w ogóle nikomu.

Wydaje się więc, że dzieci, które już wcześniej mogły doznawać nękania ze strony rówieśników, w byciu „furasem" mogą szukać ucieczki od rzeczywistości i grupy, która zaakceptuje ich pod przebraniem. Zresztą – jak twierdzą badacze – zwierzęce alter ego młodych ludzi ma więcej pozytywnych cech niż oni sami. To znów ciekawa niespójność. Bo ludzie, którzy chcą być akceptowani takimi, jakimi są, czyli ci, którzy przebierają się za zwierzęta, jednocześnie sami próbują być innymi, niż są w rzeczywistości. Tu jednak badacze z Kanady dochodzą do innych – być może bardziej politycznie poprawnych – wniosków, uznając, że w porównaniu z grupą kontrolną osoby te niczym się nie różnią pod względem samooceny, dobrostanu psychicznego czy satysfakcji z relacji z innymi.

Naukowcy zauważają też jednak, że takie dzieci, szukając terapii (podkreśla się, że „w przypadku niezwiązanych z tym schorzeń"), twierdzą, iż bywają wypędzane przez terapeutów. Ci mają ignorować ich prawdziwe problemy, m.in. depresję, a skupiać się wyłącznie na byciu „furasem" jako na problemie. Cóż, jak widać, terapeuci nie dorośli jeszcze do tego, że uważanie się trochę za zwierzę jest absolutnie czymś normalnym i nie trzeba się tym zajmować.

Czy każdy rodzic w Polsce, którego dziecko paraduje codziennie do szkoły w opasce z uszami myszki, powinien się martwić? Nie. Na pewno jednak powinien rozmawiać ze swoim dzieckiem. Bliski kontakt z rodzicem, zaufanie – to wszystko może sprawić, że dziecko mające oparcie nie będzie musiało uciekać w świat fantazji i poszukiwać grupy, która je zaakceptuje.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4708cd516e

Z Michałem Kondratem, reżyserem, scenarzystą i producentem filmowym
rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

Czternaście lat z życia Prymasa Tysiąclecia

FOT. ŁUKASZ SZELĄG

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Kardynał Stefan Wyszyński przez kilkadziesiąt lat był pod obserwacją komunistycznych służb specjalnych. Miał coś do ukrycia?

MICHAŁ KONDRAT: Nie miał. Dlatego nigdy nie znaleziono na niego nic, co mogłoby go skompromitować.

Czemu z 30-letniej inwigilacji Prymasa Tysiąclecia do scenariusza filmu „Prorok" wybrano akurat lata 1956–1970?

Ponieważ to ważny okres zaangażowania politycznego prymasa, który stał się nieformalnym przywódcą narodu polskiego i negocjował dla niego warunki z I sekretarzem PZPR Władysławem Gomułką. Poza tym akcja filmu dzieje się na tle ważnych dla Polski wydarzeń historycznych.

Główne zatargi na linii państwo – Kościół wywoływały wówczas obchody milenijne?

Napięcia istniały na wielu płaszczyznach, natomiast obchody milenijne miały być dla rządzących manifestacją rzekomego poparcia społecznego. Zadaniem prymasa było odnowić duchowo naród i zawierzyć Polskę opiece Matki Bożej. I to mu się udało.

Operacja pod kryptonimem Prorok zakładała dyskredytację prymasa, nieformalnego przywódcy narodu, co spowodowałoby całkowitą ateizację Polski?

Rząd przeprowadzał wiele działań zmierzających do ateizowania społeczeństwa. Operacja „Prorok" miała na celu zniszczenie reputacji Wyszyńskiego, a tym samym obniżenie morale w narodzie.

eprasa.pl 4708cd516e

Informacje o inwigilowanym pozyskiwano głównie poprzez meldunki konfidentów Służby Bezpieczeństwa?

Tak, ich sieć była bardzo gęsta i niezwykle silnie rozgałęziona. Niemniej stosowano również najrozmaitsze techniki operacyjne: podsłuchy, kontrolowano korespondencję w kurii, a przed wejściem do niej zainstalowano tajną kamerę, rejestrującą wszystkich wchodzących i wychodzących.

Pośród współpracowników prymasa też znalazły się osoby złamane przez bezpiekę?

Niestety tak. To bardzo bolesny temat.

Na ekranie kardynał dyskutuje z Władysławem Gomułką i Józefem Cyrankiewiczem. Zachowały się stenogramy tych rozmów?

Owszem. Obecnie są już one odtajnione i to właśnie na ich podstawie opracowano filmowe dialogi. Dzięki temu widzowie będą mogli poznać niuanse naszej najnowszej historii. Myślę, że to duża wartość dla filmu. Podobnie jest z fragmentami kazań kardynała, które także są oryginalne.

Obsadę wybrano drogą castingu czy też scenariusz pisano pod konkretnych wykonawców?

Wybierałem ją przy pomocy reżyserek obsady – Małgorzaty Adamskiej i Moniki Figury. Przewinęło się wielu kandydatów na każdą z ról, z wyjątkiem głównej – Sławomira Grzymkowskiego, który wcielił się w postać Wyszyńskiego. Aktora wypatrzyła scenarzystka filmu „Prorok" – Katarzyna Bogucka – na jednym z warszawskich spektakli teatralnych. Zatelefonowała w przerwie z teatru i krzyknęła mi do słuchawki: „Michał! Mamy prymasa! Musisz się z nim spotkać!". Do sprawy podszedłem sceptycznie, ale oczywiście zaprosiłem Sławka na zdjęcia próbne. Ku mojemu zdziwieniu na tym pierwszym spotkaniu zakończyłem casting na rolę wiodącą. Słysząc po pokazie prasowym komplementy dotyczące podobieństwa Sławka do prymasa Wyszyńskiego, nie mam wątpliwości, że była to słuszna decyzja.

Zdjęcia realizowano w autentycznych wnętrzach?

Częściowo tak, adaptowaliśmy różne lokacje. Natomiast pomieszczenia, w których rozgrywa się główna akcja filmu, powstały we Wrocławiu w hali filmowej CeTA. Są to gabinety Gomułki, Cyrankiewicza, Wyszyńskiego i sekretariaty.

Sławomir Grzymkowski jako kard. Stefan Wyszyński FOT. ŁUKASZ SZELĄG

Adam Ferency jako Władysław Gomułka FOT. ŁUKASZ SZELĄG

Projekty zostały przygotowane na podstawie oryginalnych wnętrz. Na przykład gabinet Cyrankiewicza, na jego życzenie, miał ściany wykładane w tzw. jodełkę i był wyposażony w drogie, nowoczesne jak na tamte lata meble. Dokładnie tak został przez nas wybudowany.

Najtrudniejsze do uwiecznienia w kadrze były sceny zbiorowe?

Zgadza się – te z udziałem 40 kaskaderów, 120 rekonstruktorów, kilkuset statystów i aktorów na pierwszym planie. Jedną taką scenę przygotowywaliśmy dwa dni w hali i potem dwa dni była „kręcona". To dość dużo czasu, zważywszy, że łatwiejszych scen można było nagrać po cztery czy pięć podczas jednego dnia zdjęciowego. Ale warto było, bo to właśnie dla tych widowiskowych sekwencji widzowie najczęściej przychodzą do kina.

Nie miał pan kłopotów ze zgromadzeniem budżetu na tak spektakularne widowisko historyczne?

Miałem, lecz w końcu się to udało, za co jesteśmy wdzięczni producentowi – Fundacji Filmowej im. św. Maksymiliana Kolbego i koproducentom: Telewizji Polskiej i CeTA. Wsparcia udzielił nam także Polski Instytut Sztuki Filmowej.

Czy obraz trafi również za granicę?

Tak, już 15 i 17 listopada w tzw. dystrybucji eventowej będzie dystrybuowany w ponad 600 kinach w USA. Na samym Manhattanie pojawi się w repertuarze kilku prestiżowych kin należących do wiodących sieci. W styczniu przyszłego roku „Prorok" będzie dystrybuowany w Wielkiej Brytanii i Irlandii. A potem we Francji, w Hiszpanii, Meksyku i całej Ameryce Południowej. Być może na American Film Market, który odbędzie się w listopadzie w Los Angeles, uda nam się poszerzyć dystrybucję o dodatkowe kraje. Ufam, że dzięki tak szerokiemu rozpowszechnieniu spopularyzujemy postać Stefana Wyszyńskiego na świecie i zaciekawimy widzów Polską, opowiadając bardzo istotny fragment jej dziejów.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Michał Kondrat *(rocznik 1978) – polski reżyser, scenarzysta i producent filmowy. Absolwent Szkoły Głównej Handlowej w Warszawie na kierunku zarządzanie i marketing, z wykształcenia ekonomista. Pracował m.in. jako zastępca dyrektora Biura Zarządu w Polskim Radiu. Od 2013 r. prowadzi własną firmę Kondrat-Media, zajmującą się produkcją i dystrybucją filmów o tematyce chrześcijańskiej. Pierwszy film dokumentalny, którego był reżyserem, pt. „Jak pokonać szatana" zdobył w 2014 r. Grand Prix XXIX Międzynarodowego Festiwalu Filmów w Niepokalanowie. Trzy lata później ten sam laur otrzymały tam „Dwie korony", obejrzane w kinach przez ok. 250 tys. widzów (III miejsce w historii polskiej kinematografii pod względem frekwencji w kategorii filmów dokumentalnych).*

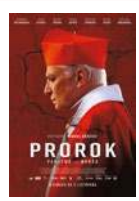

„Prorok" reżyseria: **Michał Kondrat**, scenariusz: **Katarzyna Bogucka**, **Joanna Dudek-Ławecka i Karolina Słyk**, zdjęcia: **Mateusz Pastewka**, muzyka: **Bartosz Chajdecki**, obsada: **Sławomir Grzymkowski** (kard. Stefan Wyszyński), **Adam Ferency** (Władysław Gomułka), **Marcin Troński** (Józef Cyrankiewicz), **Tomasz Sapryk** (Zenon Kliszko) oraz **Katarzyna Zawadzka, Michał Meyer, Karolina Bruchnicka, Artur Krajewski, Andrzej Niemyta, Małgorzata Buczkowska-Szlenkier, Tadeusz Chudecki, Bartosz Obuchowicz, Jacek Borkowski** i inni.
W kinach od 11 listopada 2022 r.

eprasa.pl 4708cd516e

Powiedzieć wszystko

Piotr Gociek

David Foster Wallace i „Niewyczerpany żart" – powieść wyzwanie, powieść lament, powieść świat

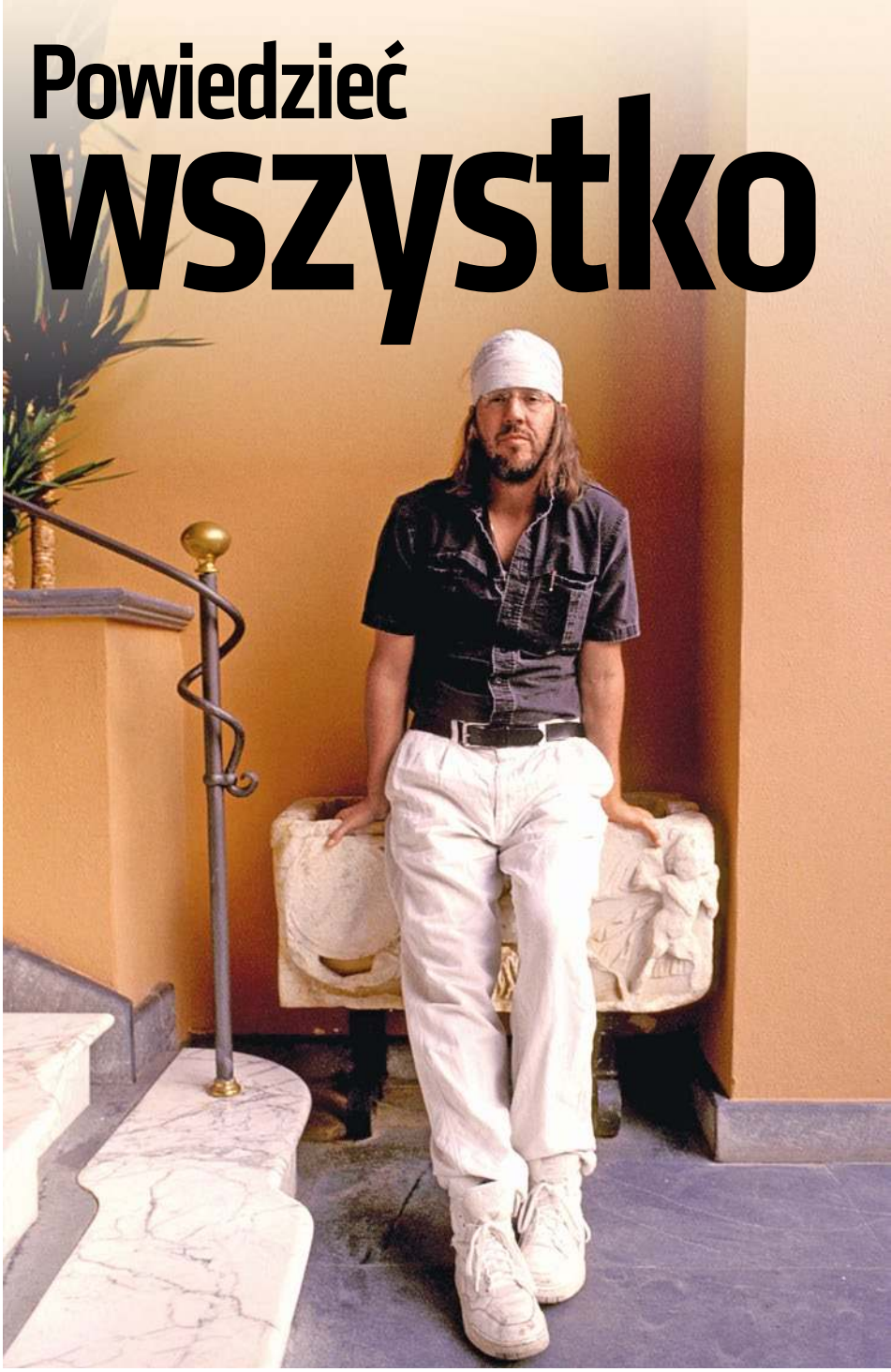

FOT. EFFIGIE/EAST NEWS

Będzie to opowieść o książce, której jeszcze nie przeczytałem w całości. Ale czytam, więc pewnie wkrótce skończę. Tyle rzeczy do zrobienia, tak niewiele czasu. „Wallace ma prawo napisać wielką książkę, której nikt poza ludźmi takimi jak on nie jest w stanie przeczytać" – stwierdził niegdyś Wyatt Mason w „London Review of Books" i dodał kokieteryjnie: „Pochlebiam sobie, że należę do tych wyjątków, ale nie mam bladego pojęcia, jak mógłbym przekonać ciebie, że także powinieneś taki być; nie wie tego, najwyraźniej, również Wallace".

David Foster Wallace, postać osobna, postać znacząca, utalentowana, dla niektórych obiekt kultu, jak dla członków Infinite Summer („spontanicznie zawiązana grupa internetowa, powołana w celu przeczytania wielkiej powieści Wallace'a rok po jego śmierci"). Wspomniana wielka powieść to „Niewyczerpany żart" („Infinite Joke"), a te smaczne cytaty nie są wynikiem mojej własnej kwerendy. Po prostu zaopatrzyłem się w dostępną od niedawna na polskim rynku biografię pisarza i czytam ją równolegle z powieścią.

Tworzymy zatem ad hoc małą prywatną grupę dyskusyjną działającą w składzie: nieżyjący autor, jego dzieło; jego żyjący biograf, jego dzieło; zainteresowany czytelnik z odległego kraju (znaczy ja), jego dzieło (czyli ta impresja, bo nie recenzja) oraz pamiętajmy o jakże ważnym pośredniku, posłańcu słowa i myśli, którym jest tłumacz. Zarówno „Niewyczerpany żart", jak i biografię „Każda historia miłosna jest historią o duchach" (autor D.T. Max) przełożyła Jolanta Kozak. Labirynt luster ustawiony, można puszczać zajączki i patrzeć, w jak nieobliczalny sposób będą się odbijać.

W ten oto sposób udało mi się napisać jedną czwartą tekstu i nie wyjawić, o co chodzi. Ciekawe, czy Wallace byłby zadowolony. To człowiek, który całe życie odpierał zarzuty wobec – i tak ocenianego jako arcydzieło – „Niewyczerpanego żartu", że nie posiada on wyraźnego zamknięcia, typowego zakończenia. Autor odpowiadał, że nie musi, bo zakończenie zawiera się już w samym toku opowieści i konstrukcji książki. Żeby trochę odpocząć od myślenia nad tym konceptem, proponuję skok w bok. Oto ciekawy fakt: „Ze wszystkich znanych mi ludzi David Foster Wallace spędzał najmniej czasu na świeżym powietrzu". Tak pisał o nim Jonathan Franzen w szkicu „Przyjaźń" (znajdziecie go w tomie esejów „Koniec końca świata").

TYSIĄC STO STRON DROBNEGO DRUKU

Krytycy klasyfikują „Niewyczerpany żart" jako powieść encyklopedyczną – jak „Ulissesa" Jamesa Joyce'a czy „Tęczę grawitacji" Thomasa Pynchona. Próba tyleż ambitna, co obszerna. Tysiąc sto stron

eprasa.pl 4708cd516e

drobnego druku w polskim wydaniu, z czego sto to przypisy, które Wallace uwielbiał i traktował jako integralną część narracji. Powieść encyklopedyczna, więc próbująca – co jest niemożliwe – zawrzeć w sobie wszystko na temat wiedzy, wierzeń i przekonań w danym społeczeństwie (Edward Mendelson, twórca terminu, pisze o „kulturze"), a zarazem nakreślić poprzez jakie ideologiczne wzorce zostały ukształtowane. (Złośliwi twierdzą tymczasem, że powieść encyklopedyczna to taka, której nie da się zrozumieć bez nieustannego zaglądania do encyklopedii – niewykluczone, że rację mają jedni i drudzy).

„Ta powieść stanowi intelektualne wyzwanie na miarę kostki Rubika – sześcianu, którego różnobarwne boki zbudowane są z pomniejszonych kopii tegoż sześcianu, widocznych dla układającego jako płaska mozaika. Tak też jest z powieścią Wallace'a: każda z części fragmentarycznej narracji jest sama w sobie odrębną opowieścią, a więc blokiem narracyjnym. Wszystkie są równorzędne i równowartościowe" – tłumaczy w posłowiu Jolanta Kozak. Podpowiada też, że w pełni dostrzeże to wszystko czytelnik dopiero podczas drugiej czy trzeciej lektury. Dobry Boże, a ja dopiero w połowie pierwszego podejścia! Ale nic to, pamiętam, że przeczytanie „Tęczy grawitacji" zajęło mi rok, a kolejne trzy – jej przetrawienie. „Ulisessa" połknąłem w tydzień, ale miałem wtedy 18 lat, co jest zarówno obroną, jak i oskarżeniem, bo nic nie zrozumiałem. Za to od tamtego czasu wracałem do niego kilkakrotnie. Czy tak też będzie z „Niewyczerpanym żartem"?

Nie wiem, nikt nie zna przyszłości. Ale możemy dwa słowa powiedzieć o przeszłości. Czytelnicy polscy poznali wcześniej Wallace'a – i nie mam wątpliwości, że pokochali – z form krótszych. Tomy opowiadań „Krótkie wywiady z paskudnymi ludźmi" i „Niepamięć" oraz tom esejów „Rzekomo fajna rzecz, której nigdy więcej nie zrobię" ukazały się w latach 2015–2017. W roku 2019 na półki księgarskie trafił „Blady król", niedokończona i wydana pośmiertnie powieść, o której biografowie pisarza twierdzą, że go pokonała i przyczyniła się do jego śmierci.

Tak, czas i na ten kawałek mozaiki: Wallace przeżył ledwie 46 lat, z tego przynajmniej 20 w ciężkiej depresji. Walczył w życiu z rozmaitymi nałogami, dokładając do amerykańskiej Trójcy Świętej uzależnień (alko, dragi, antydepresanty) jeszcze Boga Ojca, to znaczy telewizję. Tak, można być uzależnionym od telewizji, po szczegóły odsyłam do wspomnianej wcześniej biografii pisarza. A gdyby ktoś chciał się zagłębić w gąszcz interpretacji dzieła, a nie życiorysu, to podpowiadam inną publikację. W ubiegłym roku dzięki Wydawnictwom Uniwersytetu Warszawskiego w serii „Mistrzowie Literatury Amerykańskiej" ukazała się antologia krytycznych tekstów o pisarzu, zatytułowana po prostu „David Foster Wallace".

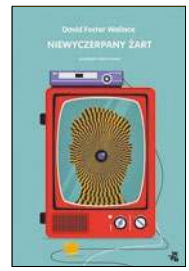

DAVID FOSTER WALLACE „NIEWYCZERPANY ŻART" WYDAWNICTWO W.A.B.

Wrócę do kolejności czytania – otóż mógłby ktoś być przekonany, że mistrz krótkiej formy (za takiego go uważam) i człek przepięknie przekształcający non-fiction w literaturę (Wallace wychodził od prawdziwych wydarzeń i postaci, ale wiele dokładał od siebie) padł w pewnym momencie ofiarą marzenia o stworzeniu Wielkiej Amerykańskiej Powieści (biały wieloryb wszystkich Ahabów literatury w USA) i to przyczyniło się do jego zguby. A kuku! Było odwrotnie! Wallace debiutował w 1987 r. powieścią „The Broom of the System", a potem niemal dekadę trzeba było czekać na jego kolejną powieść – gargantuiczny „Nieskończony żart" właśnie. Powstawał równocześnie z innymi aktywnościami pisarza, który już po debiucie był rozchwytywany, ale megagwiazdą stał się po premierze „Żartu". I oczywiście otrzymywał coraz więcej ofert publikacji form krótkich, z których to ofert chętnie korzystał.

W ten sposób udało mi się napisać trzy czwarte tekstu i nie zdradzić, o co właściwie chodzi. No to po kolei: chodzi o to, by Wallace'a dostrzec. Punkt drugi – dostrzec także „Niewyczerpany żart", choć nikomu nie obiecuję lekkiej lektury. Odwołam się ponownie do posłowia Jolanty Kozak: „»Niewyczerpany żart«" nosił roboczy tytuł »A Failed Entertainment« (»Nieudana rozrywka«), gdyż z całą pewnością nie jest zamiarem Autora dostarczyć czytelnikowi dobrej zabawy". Ale najważniejsze jest coś innego: dlaczego wszystko to warto uczynić.

SEJSMOGRAF W SERCU

Są pisarze, którzy w głowach i w sercu mają sejsmograf doskonale wyczuwający niewidzialne trzęsienia ziemi, ruchy płyt tektonicznych kształtujące nasz świat, a niedostrzegane lub lekceważone. David Foster Wallace był jednym z takich pisarzy. Jego dojrzałe życie i kariera pisarska przypadły na czas gwałtownych zmian: przekształcania się świata analogowego w cyfrowy, zamiany naszych elektrycznych jaskiń w jaskinie cyfrowe. Spróbujcie porównać w pamięci rok 1987 i rok 2007 – to tak, jakbyśmy mówili o życiu na dwóch różnych planetach. W tej kulturze zmiany, nieciągłości, nadmiaru, rozsypki równolegle istnieją obok siebie poczucie niedosytu i przesytu. Podtrzymywane przez masowe media i całą kulturę konsumpcji. Cywilizacja Zachodu postanowiła zabawić się na śmierć, zapchać się na śmierć, wprawić w stan rozedrgania, z którego już nie ma ucieczki.

Wszystkie te zjawiska sejsmograf Wallace'a wychwytywał bez trudu i przemieniał w pierwszorzędną literaturę. On sam był autorem analizy, a także ofiarą tych procesów. Tytuł „Niewyczerpany żart" jest celnym szyderstwem, przedmiotem żartu: współczesność nie do ogarnięcia. Podobnie jak wprawiający w ruch intrygi powieści greps: poszukiwanie filmu, który wprawia widzów w taką ekstazę, że nie mogą się od oglądania oderwać i w szczęściu umierają. Ten słuch nadwrażliwca i obsesyjne zgłębianie zagadek sztormu, który nas miażdży, przywodzą na myśl innego wielkiego amerykańskiego pisarza, Philipa K. Dicka („Niektóre kłamstwa są po prostu za dobre, zbyt skomplikowane i idiosynkratyczne, zbyt bliskie istoty prawdy, żeby je przejrzeć" – czyż tym cytatem Wallace nie brzmi jak Dick?). A o tym, jak właściwą strunę poruszył we współczesnej amerykańskiej duszy, świadczy to, że dla czytelników stał się tragiczną postacią kultową niczym Kurt Cobain z Nirvany dla miłośników muzyki. Życie jest serią prób o charakterze niszczącym, „Niewyczerpany żart" jest odpowiedzią na to wyzwanie, w samym tytule kryje się gorzka ironia, jak u Vonneguta, dla którego kluczem do rzeczywistości były gryząca ironia i czarny humor przesłaniające rozpacz. „Wielu najlepszych graczy rozpoczyna dzień od krótkiego ataku płaczu, żeby potem dziarsko przeżyć resztę dnia". To już Wallace. Jeden z najlepszych graczy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4708cd516e

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

TVP VOD

Lwów noir

Erynie" mocno podzieliły recenzentów, tyleż jest wyrazów uznania, co narzekań, że rzecz jest zbyt wolna i pogmatwana. Ja będę chwalił serial według prozy Marka Krajewskiego, bo jest oryginalny, a o to bardzo trudno w świecie, który opowiada już tylko „po amerykańsku". Podstawą 12 odcinków są cztery powieści o lwowskim komisarzu policji Edwardzie Popielskim („Erynie", „Liczby Charona", „Rzeki Hadesu", „W otchłani mroku").

Borys Lankosz dokonał ciekawego wyboru estetycznego, wykreowany na ekranie świat jest mroczny, odrealniony, osobny, tak jak osobne są światy wczesnych filmów Jeana-Pierre'a Jeuneta albo kino Davida Lyncha (z zachowaniem wszystkich proporcji). Tak, jest to trochę surrealistyczne, momentami ekspresjonistyczne, a na pewno w wielu partiach nadmiernie teatralne, ale ja tę konwencję kupuję. Tak samo, jak kupuję nieco przerysowane postacie, które w tym świecie po prostu muszą takie być: dziwniejsze, bardziej przerażające, bardziej dwuznaczne. Jest ich w „Eryniach" wiele, od niemal karykaturalnego hrabiego Bekierskiego (Marcin Bosak) do żydowskiego gangstera Moszego Kiczałesa (Marcin Czarnik).

Dewianci są dewiantami do szpiku kości, groźni ludzie – ludźmi groźnymi ponad miarę, uwodzicielskie kobiety bywają wyjątkowo uwodzicielskie, a niewinność jest zasłoną dla duszy femme fatale. Warto zwrócić uwagę na role pań, bo są znakomite: zarówno Erika Karkuszewska jako panna Sperling – moim zdaniem najjaśniejszy punkt pierwszych trzech odcinków – jak i Wiktora Gorodeckaja w roli kuzynki Popielskiego. Półświatek międzywojennego Lwowa jest fascynujący (i kiedy trzeba – odrażający), natomiast bezbarwnie na tym tle nakreśleni są pryncypałowie komisarza Popielskiego. Szkodzą serialowi monologi z offu, które zawsze są wyrazem bezradności twórców w kwestii tego, jak pokazać motywacje bohaterów akcją i dialogami. W obrazku brakuje czegoś pośrodku, czyli między przeestetyzowanymi wnętrzami a zimnymi panoramami miasta, a więc życia lwowskiej ulicy. Marcin Dorociński jako komisarz Popielski – bezbłędny. Komisarz to intrygująca postać, która mogłaby dobrze pojawić się w SF noir typu „Kowboj Bebop" albo prowadzić śledztwo w świecie postapo. Piszę te słowa po obejrzeniu sześciu odcinków, czekam z niecierpliwością na pozostałe sześć, w których Popielski przeniesie się do Wrocławia ©℗

★★★★☆☆

SEZON 1
„ERYNIE"
POLSKA 2021

wyst. Marcin Dorociński, Wiktoria Gorodeckaja, Eryk Lubos

NOWE SERIALE: „GABINET OSOBLIWOŚCI"

Antologia horrorów powstała z pomysłu i pod opieką Guillermo del Toro („Labirynt fauna", „Zaułek koszmarów"). Dwa z ośmiu odcinków nakręcił sam pomysłodawca, do stworzenia pozostałych zaprosił grono cenionych reżyserów i scenarzystów współczesnego kina grozy, od Kanady i Meksyku do Iranu. Część epizodów powstała wedle oryginalnych pomysłów del Toro, inne są ekranizacjami znanych opowiadań (m.in. według prozy H.P. Lovecrafta oraz opowiadania Henry'ego Kuttnera „Szczury cmentarne"). ©℗ ***Piotr Gociek***

- ***„Gabinet osobliwości Guillermo del Toro" („Guillermo del Toro's Cabinet of Curiosities"), USA 2022***

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- *miniseria* ***„The English"***, *USA/Wielka Brytania 2022* prime video
- *sezon 5* ***„The Crown"***, *Wielka Brytania 2022* N
- *sezon 3* ***„Mythic Quest"***, *USA 2022* tv+
- *reż. Karen Maine* ***„Rosaline"***, *USA 2022* Disney+

eprasa.pl 4708cd516e

Zachować twarz

KINO

Myślicie, że tylko w starych angielskich powieściach można trafić do więzienia za długi? Błąd, zajrzyjcie do Kodeksu karnego, art. 300. Dopiero potem rzucajcie kamieniami w Persów. Bohater filmu Farhadiego padł ofiarą nieuczciwego wspólnika i teść, od którego pożyczył pieniądze, wpadł w szał. Małżeństwo Rahima nie przetrwało tej próby, a on sam, przebywając w zakładzie zamkniętym, zajął się malowaniem szyldów i bannerów. Po trzech latach wychodzi na przepustkę z wiarą, że dzięki znalezionej torebce ze złotymi monetami los znów się doń uśmiechnie. Sprawa zyskuje zaskakujący rozgłos, rośnie szansa na warunkowe zwolnienie, jednak Rahim popełnia katastrofalny błąd. Zaczyna kłamać, co oczywiście natychmiast obróci się przeciw niemu. Pechowiec czy wytrawny ściemniacz? Im gwałtowniej biznesmen z Szirazu stara się udowodnić, że jest uczciwy, i uratować swą reputację (zwłaszcza w oczach syna), tym bardziej w niego wątpimy. Mniemam, że właśnie o to dwukrotnemu laureatowi Oscara chodziło. Po wpadce, którą była hiszpańskojęzyczna psychodrama „Wszyscy wiedzą", Farhadi szybko się pozbierał. Są twórcy, którym dobrze służy klimat ojczyzny (jakakolwiek by ona była). Iran jest zresztą mniej egzotycznym krajem, niż się zdaje: gdzie indziej też najlepsze w niszczeniu ludzi są media społecznościowe. ©℗

Wiesław Chełminiak

★★★★★☆

REŻ. ASGHAR FARHADI
„BOHATER" („GHAHREMANI")
IRAN/FRANCJA 2021

wyst. Amir Jadidi, Mohsen Tanabandeh, Sarina Farhadi

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WÓDKA SZKODZI

Z sześciu filmów udostępnionych przez Ninotekę z okazji urodzin Zbigniewa Cybulskiego polecam „Samego pośród miasta". Rzecz jest bezpretensjonalna, nie za długa i momentami zabawna. Gwiazdor, któremu zostało jeszcze półtora roku życia, na ekranie był jak zwykle sobą: odklejonym od rzeczywistości, lubiącym wypić snujem. Inżynier Konrad, czekając na spóźniony samolot do Iraku, obija się po Warszawie niczym kula bilardowa. Zabija czas, zawierając przypadkowe znajomości i próbując się dodzwonić do kochanki. Krytyka zmiażdżyła film, ponieważ autor scenariusza, Ireneusz Iredyński, obiecujący dramaturg, podpadł samemu towarzyszowi Gomułce i wkrótce po premierze trafił do paki. Alkoholowo-erotyczne wyczyny „polskiego Geneta" zostawiły ślad w pysznych scenach knajpianych z udziałem Mieczysława Stoora, Wojciecha Pokory i Adama Pawlikowskiego jako barmana tęskniącego za przedwojenną kindersztubą.

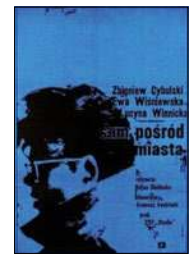

★★★★☆☆

REŻ. HALINA BIELIŃSKA
„SAM POŚRÓD MIASTA"
POLSKA 1965

wyst. Zbigniew Cybulski, Lucyna Wiśniewska, Ewa Wiśniewska

VINCENT NIEZNANY

arte

Popkultura uczyniła z van Gogha genialnego szaleńca. Auvers-sur-Oise, gdzie spędził ostatnie 70 dni życia, stało się celem turystycznych pielgrzymek.

Artyści proszą, by rozsypać ich prochy na mogile Holendra. W Londynie marzące o rozgłosie aktywistki oblały „Słoneczniki" zupą pomidorową. Rewolwer, rzekomo znaleziony na polu, na którym malarz śmiertelnie się postrzelił, sprzedano na aukcji za jedyne 130 tys. euro. Tylko czekać, aż ktoś pochwali się lepszą relikwią: kawałkiem ucha, które obciął sobie w przypływie rozpaczy. Francuzi zlekceważyli Vincenta. Niemcy jako pierwsi wynieśli go na ołtarze, tworząc mit Chrystusa sztuki, oraz zaczęli fałszować jego dzieła. Teraz rehabilitują się dokumentem próbującym odrzeć van Gogha z warstwy legend, rozprawić się ze stereotypem natchnionego i naiwnego jak dziecko abnegata. Z opinią publiczną jeszcze nikt nie wygrał, więc wróżę kolejny Stalingrad. ©℗

recenzuje Wiesław Chełminiak

★★★☆☆☆

REŻ. STEFANIE APPEL
„VINCENT VAN GOGH SUPERSTAR"
NIEMCY 2019

GRA TYGODNIA: „BAYONETTA 3"

Wiedźma po raz trzeci zaprasza do tańca. I jest to taniec przyjemny, nikt tu nie myli kroków, nikt nikogo po palcach nie depcze. Ale jest w tym mniej ognia, mniej seksapilu, mniej erotyzmu. Ugrzeczniona Bayonetta to nadal pokaz niesamowitej fantazji Japończyków, którzy w branży gamingowej są nie do podrobienia. Dynamiczny slasher z bardzo dobrym systemem walki i niesamowitym arsenałem. Możemy próbować bębnić w przyciski na ślepo, ale im więcej czasu włożymy w naukę wyprowadzania ciosów, kombosów, robienie uników, tym lepiej będziemy się bawić. Dobra kontynuacja z powiewem nowości, ale nie wszystkie mogą przypaść do gustu. ©℗

Radosław Wojtas

★★★★★☆

- ***Gatunek:*** *slasher, TPP*
- ***Platforma:*** *Nintendo Switch*
- ***Producent; wydawca PL:*** *PlatinumGames, ConQuest Entertainment a.s.*

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 4708cd516e

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Głos polskiego Śląska

Publikował w „Myśli Narodowej", wydawanej przez Akcję Katolicką poznańskiej „Kulturze" i „Prosto z Mostu", a w „Wiadomościach Literackich" wydrukował tyko jeden tekst. Wnikliwie, z uznaniem, a niekiedy entuzjastycznie pisał o prozie Gustawa Morcinka, Zofii Kossak-Szczuckiej i Poli Gojawiczyńskiej, Jana Wiktora i Adolfa Nowaczyńskiego. Wysoko cenił literackie reportaże Melchiora Wańkowicza. Nie zauważył natomiast Brunona Schulza, Gombrowicza wspomniał jednorazowo, a Witkacego przywoływał jako przykład literatury niezrozumiałej, a przez to nieczytelnej. Całe studium poświęcił za to motywom religijnym we współczesnej powieści polskiej.

W czasie okupacji Alfred Jesionowski – bo o nim mowa – działał w konspiracji, będąc członkiem Sekcji Zachodniej Departamentu Informacji i Prasy Delegatury Rządu Rzeczypospolitej Polskiej na Kraj. W Krakowie, dokąd przeniósł się ze Śląska, brał udział w tajnym nauczaniu, kierował dystrybucją wydawnictw podziemnych, uczestnicząc w akcji „N", dywersyjnej propagandzie szerzonej wśród Niemców. Jego konspiracyjny przełożony Tadeusz Żenczykowski, po wojnie wieloletni redaktor i zastępca dyrektora Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa, wspominał, że „Dr Szymon" (taki był konspiracyjny pseudonim Jesionowskiego) „gromadził potrzebne dla naszej centrali materiały informacyjne ze swego terenu i przez swe stałe kontakty ze Ślązakami przerzucał część bibuły »N« na teren Górnego Śląska. Znając doskonale język niemiecki, opracował dla centrali »N« kilka projektów ulotek i artykułów […]". 1 marca 1944 r. został aresztowany w Krakowie i przewieziony do więzienia w Katowicach. Do

FOT. ARCHIWUM RODZINNE JESIONOWSKICH/LUBLINIEC.ZHP.PL

połowy stycznia nadchodziły do rodziny wiadomości z kolejnych miejsc uwięzienia, później zapadło milczenie. Najprawdopodobniej zginął podczas ewakuacji filii obozu Gross-Rosen w styczniu 1945 r.

Po wojnie „wygumkowany" został z historii literatury polskiej, dla której położył niemałe zasługi, głównie jako świetny znawca problematyki śląskiej, choć sam był Wielkopolaninem – urodził się w Mogilnie w 1902 r., uczęszczał do gimnazjum w Inowrocławiu, studiował w Poznaniu. Od 1925 r. zamieszkał jednak na Śląsku, pracując w szkołach w Lublińcu, Mikołowie, Pszczynie i Mysłowicach. Był niezwykle pracowity, bibliografia jego tekstów, niepełna przecież, liczy ok. 500 (!) pozycji. Aktywnie współpracował z Instytutem Zachodnim, wygłaszał odczyty o śląskiej literaturze i kulturze. W 1939 r. Polska Akademia Literatury zdążyła go jeszcze uhonorować Srebrnym Wawrzynem PAL za „szerzenie zamiłowania do literatury polskiej".

Cztery lata wcześniej przypomniał Jesionowski Żeromskiego, „który reagował niezwykle czule na rozmaite przejawy współczesnego piśmiennictwa polskiego, na jego braki i niedomagania, wypowiedział w »Snobizmie i postępie« kilka gorzkich słów pod adresem polskich artystów i ich stosunku do Śląska. Żeromski nie dożył już Morcinka, widziałby wtedy urzeczywistnioną część swych marzeń, nie dożył i powieści śląskich Kossak-Szczuckiej i Gojawiczyńskiej, miałby wtedy tę satysfakcję, że serdeczny jego apel odniósł skutek, że Śląsk wzbudza zainteresowanie naszych artystów i że »zapomniana dziedzina« wciska się coraz silniej i plastyczniej w świadomość współczesnej Polski. Morcinek sprawdził słowa autora »Snobizmu i postępu« o sile emocjonalnej, tkwiącej w ludzie i życiu Śląskiem, Szczucka w swych utworach śląskich przypomniała Polsce, że Śląsk nigdy polskim być nie przestał".

Był Jesionowski zwolennikiem regionalizmu, „małych ojczyzn" wpisanych jednak w spójną ideę narodową, niemającą nic wspólnego z jednej strony z prowincjonalizmem, a z drugiej – z separatyzmem zagrażającym jej jako takiej. Z tego punktu widzenia nie mógłby on, w żadnym wypadku, zaakceptować regionalizmu w wydaniu choćby Szczepana Twardocha czy Zbigniewa Rokity. „Ważna jest tu odmienność doświadczeń historycznych, ideowych, a pewnie i biograficznych. Jesionowskiego interesował przede wszystkim Śląsk nie tylko egzotyczny, lecz także zwłaszcza martyrologiczny, prześladowany przez Niemców, oraz Śląsk walczący o swoją polskość i Polskę" – pisze Maciej Urbanowski w posłowiu wydanego obecnie przez Arcana obszernego wyboru pism zapomnianego krytyka, który – cytując słowa jego wnuczki Olgi Płaszczewskiej bezpośrednio nawiązujące do tytułu tej pracy – „z Polską zawarł przymierze silniejsze niż z książką. Przymierze krwi". ©℗

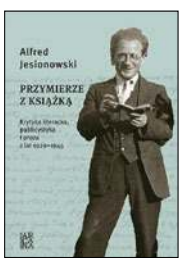

★★★★☆

ALFRED JESIONOWSKI „PRZYMIERZE Z KSIĄŻKĄ. KRYTYKA LITERACKA I PUBLICYSTYKA Z LAT 1929–1945"
ARCANA, KRAKÓW 2022

eprasa.pl 4708cd516e

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Stulecie winnych

Za każdy błąd były kary cielesne lub ciężkie roboty. Kary były bezustanne i publiczne. Chłostę zawsze wykonywał afrykański askarys, nigdy Niemiec" – czytamy w powieści „Powróceni". Abdulrazak Gurnah, laureat ubiegłorocznej Literackiej Nagrody Nobla, przybliża nam życie pod butem narodu filozofów i poetów, czyli Afrykę Zachodnią kolonizowaną przez Niemców. Mięso armatnie rekrutowano na różne sposoby: jednego z bohaterów powieści porwano, innego sprzedano za długi. Przypomina się powieść Davida Diopa „Bratnia dusza" o Senegalczyku wcielonym do armii francuskiej i wysłanym w okopy pierwszej wojny światowej. Jednak Gurnah nie pisze powieści o wojnie, ale o życiu, o budowaniu tego życia „po" (ładnie oddaje to tytuł oryginału „Afterlives"). Robi to z ambicją, którą trudno znaleźć u dzisiejszych pisarzy: z XIX-wiecznym przekonaniem, że powieścią objąć można całe życie człowieka, a tym samym cały świat.

Pierwszy raz zetknąłem się z tym pisaniem kilka lat temu, gdy wpadła mi w ręce powieść „Desertion"; odnotowałem wtedy w pamięci, że proza jest piękna i widzę w niej pewne pokrewieństwo z pisarstwem Salmana Rushdiego. Po latach odkryłem, że Gurnah opracował krytyczny przewodnik po twórczości Rushdiego. Podkreślmy jednak, że mamy do czynienia z dwoma różnymi temperamentami. Rushdie to mag słowa, jego powieści pękają od barwnych fraz, fantazyjnych postaci, szalonych scen. Gurnah pisze oszczędnie, niby brytyjski dżentelmen słowa. Urodzony w Afryce Zachodniej twórca jest jako pisarz dzieckiem kultury angielskiej, pisze po angielsku, choć analizuje doświadczenia kolonialne i postkolonialne Afryki. Jest więc dowodem, że literatura imperium brytyjskiego jest jak obwarzanek: najlepsza po brzegach.

„Powróceni" to powieść znakomita, dobrze, że ukazuje się po polsku, bo obala tezę, że oto uprzywilejowano Noblem jakiegoś egzotycznego twórcę z powodów czysto politycznych. Traumy, o których opowiada, są uniwersalne, wiemy to, bośmy sami jako Polacy mieli do czynienia z niemieckim kolonizatorem. I tę siłę, dzięki której życie zwycięża, też w swej historii umieliśmy znaleźć. Do tego Gurnah daje nam przepiękny obraz życia na skrzyżowaniu kultur: hinduskiej, muzułmańskiej, afrykańskiej, chińskiej, europejskiej. Wiele jest powodów, dla których warto go czytać. ©℗

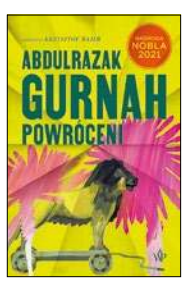

★★★★★☆
GURNAH „POWRÓCENI" WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE 2022

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

O braciach mniejszych z ciepłem i humorem, ale bez ideologicznego zacietrzewienia. Autor „Trylogii z Korfu" opowiada tym razem o latach z dala od Grecji: jak przyuczał się do wymarzonego zawodu w londyńskim zoo.

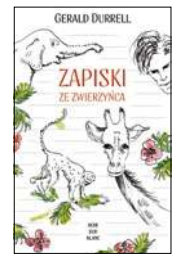

GERALD DURRELL „ZAPISKI ZE ZWIERZYŃCA" NOIR SUR BLANC

Amerykański polityk i dyplomata o słynnym spotkaniu Reagana i Gorbaczowa w Reykjaviku i początku końca zimnej wojny. Uwagę zwraca coraz rzadszy (niestety) ton podziwu i ciepła dla amerykańskiego przywódcy.

KEN ADELMAN „48 GODZIN, KTÓRE ZAKOŃCZYŁY WOJNĘ" WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE

„Świat dziś i za 10 lat" (podtytuł publikacji) to przedmiot rozważań autora stawiającego tezę, że wszyscy najsilniejsi gracze przeszacowują swoje możliwości (nie tylko Rosja, lecz także Chiny i USA). Idzie więc burzliwa dekada.

KRZYSZTOF WOJCZAL „TRZECIA DEKADA" KANCELARIA PRAWNA KRZYSZTOF WOJCZAL

W alternatywnej Europie królestwa Zachodu żyją w strachu przed inwazją Bizancjum, Sforzowie z Florencji są rodziną wampirów, a w polityczne intrygi miesza się walijski czarodziej. Nieznana dotąd w Polsce klasyka fantasy. ©℗

recenzuje Piotr Gociek

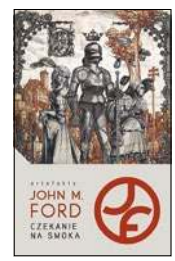

JOHN M. FORD „CZEKANIE NA SMOKA" MAG

KOMIKS TYGODNIA: „7 ŻYWOTÓW KROGULCA"

Klasyka francuskiego komiksu na polskich półkach niemal cztery dekady od premiery. Cykl o Krogulcu to „dzieło życia Patricka Cothiasa, choć ma na koncie masę innych serii i komiksów" – pisze w posłowiu Wojciech Birek, wskazując, że siedem tomów, które dostajemy w jednym woluminie, to część jeszcze większej całości. Barwna opowieść o Francji XVII stulecia, mocno inspirowana klasyką literatury francuskiej, znalazła doskonałego interpretatora w obrazie – w osobie twórcy ilustracji, którym jest André Juillard. ©℗

ANDRÉ JUILLARD „7 ŻYWOTÓW KROGULCA" WYDAWNICTWO KURC 2022

poleca Piotr Gociek

eprasa.pl 4708cd516e

RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

W domu rotmistrza

W połowie drogi między Warszawą a Białymstokiem – w Ostrowi Mazowieckiej – wychowywała się Maria Ostrowska, z którą w miejscowym kościele sakrament małżeństwa przyjął Witold Pilecki. Dom rodzinny był dla Marii bezpieczną przystanią w trudnych chwilach, m.in. w czasie służby Witolda Pileckiego w armii Andersa czy w czasie ustawionego, nieuczciwego procesu przed komunistycznym sądem. Budynek, w którym mieszkali teściowie rotmistrza, jest jedynym znajdującym się w obecnych granicach miejscem, które możemy nazwać „domem rodziny Pileckich".

Odrestaurowany dom rodzinny Marii jest dziś siedzibą muzeum. Formalnie utworzonym kilka lat temu, do niedawna znajdującym się w organizacji, oficjalnie otwartym 2 listopada. – Zadaniem naszego muzeum jest pokazanie rtm. Witolda Pileckiego nie tylko jako polskiego „superbohatera", lecz także jako zwykłego człowieka. Chcemy opowiadać zarówno o szczegółach jego misji wywiadowczej w niemieckim obozie koncentracyjnym, jak i o wydarzeniach oraz ludziach kształtujących jego charakter – mówi Karol Madaj, dyrektor Muzeum Domu Rodziny Pileckich. ©℗

FOT. MUZEUM DOM RODZINY PILECKICH

GDZIE? ***Ostrów Mazowiecka***
KIEDY? ***ekspozycja stała***

FOT. TADEUSZ ROLKE

WARSZAWSKIE NAJNTISY

Czas przemian i kontrastów, dekada lat 90. Nic nie opowiada jej lepiej niż fotografia. Na wystawie „Błysk, mat, kolor. Fotografia i Warszawa lat 90." bohaterką opowieści jest Warszawa. A narratorami zarówno profesjonalni fotografowie, artyści, jak i amatorzy. Łącznie ponad 1 tys. zdjęć i filmów autorstwa niemal 100 twórców, m.in. Hartwiga, Niedenthala, Rolkego, Millera, Bohdziewicz, Musiałówny, Białej, Łozińskiego. ©℗

GDZIE? ***Muzeum Warszawy***
KIEDY? ***do 19 lutego***

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Arcydzieło

Wielu krytyków na świecie uznaje „Revolver" nie tylko za najlepszy album Beatlesów, lecz także za najlepszy album w historii muzyki popularnej.

„Revolver" ukazał się w sierpniu 1966 r. i z miejsca wywrócił do góry nogami wszelkie zasady związane z rynkiem fonograficznym. Wielka Czwórka eksplorowała nowe dźwiękowe terytoria (muzyka hinduska, nowatorskie wykorzystanie studia nagraniowego, przetworniki dźwięków), mieszała style muzyczne (od chamber popu do soulu) i tematy liryczne (narkotyki, podatki). Czternaście piosenek (m.in. „Eleanor Rigby", „Yellow Submarine", „Got to Get You into My Life"), a w zasadzie 14 standardów rockowych wieńczy psychodeliczna „Tomorrow Never Knows", w której John Lennon wyśpiewuje instrukcję podróży na kwasie opartą na fragmencie „Tybetańskiej Księgi Umarłych".

Najnowsza superedycja epokowej płyty zawiera: oryginalny album w wersji mono autorstwa George'a Martina, nowy stereofoniczny miks autorstwa syna legendarnego producenta Gilesa Martina, dwa kompakty z nagraniami z sesji oraz krążek z nagraniami singlowymi niepochodzącymi z płyty. Do tego dołączona jest wspaniale ilustrowana książka.

„Revolver" wyzwolił muzykę popularną z banału. Kiedy Bob Dylan go usłyszał, miał powiedzieć: „Mam ich, nie chcą już więcej być grzeczni". ©℗

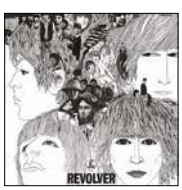

★★★★★★
THE BEATLES
„REVOLVER SUPER DELUXE EDITION"
APPLE

★★★★☆☆
AGA ZARYAN
„SARA"
AGORA

Dwukrotna zdobywczyni Fryderyka w kategorii piosenki poetyckiej na 11. albumie śpiewa wiersze Amerykanki Sary Teasdale. Wokalistce towarzyszą gitarzyści Szymon Mika i Czech David Dorůžka, którzy napisali muzykę. Intymna jesienna podróż dla wrażliwych.

★★★☆☆☆
ARCTIC MONKEYS
„THE CAR"
DOMINO

Sequel do wydanego przed czterema laty albumu „Tranquility Base Hotel & Casino". Nagrania przepełniają przesterowane gitary, filmowe smyczki, analogowe syntezatory, falsetowy wokal... Tylko z piosenek wyparował duch rock'n'rolla. Jak to zniosą fani? ©℗

eprasa.pl 4708cd516e

Eschaton, w teatrze

Grzegorz Kondrasiuk

„Biblia: Próba" jest w swojej formie czymś pomiędzy spektaklem, koncertem a budowaną na oczach widzów instalacją

FOT. WOJTEK SZABELSKI/TEATR HORZYCY

Czasem piszę o spektaklach, które nie mieszczą się w schematach. Rzadkie to okazy w obecnym, zglajchszaltowanym życiu społecznym i kulturalnym, po naszym okopaniu się – mam nadzieję, że niebezpowrotnym – na „pozycjach". Takim jest spektakl „Biblia: Próba" słoweńskiego reżysera Jerneja Lorenciego. To twórca w Polsce pamiętany za przyczyną „Iliady" Słoweńskiego Teatru Narodowego z Lubljany, którą wygrał kilka lat temu toruński Festiwal Kontakt. Teraz Jernej Lorenci wrócił do Torunia, by swoją autorską formułę wypróbować z polskimi aktorami w Teatrze im. Wilama Horzycy, ponownie decydując się na realizację tekstu fundamentalnego. Ogromnie go za to szanuję, widać, że jest artystą, który nie potrzebuje się z nikim ścigać, obywa się bez uprawiania lanserki albo wygłaszania wątpliwej jakości manifestów politycznych, bo pracuje w tematach, gdzie wyścigi, lans i aktywizm nie obowiązują. Jego reżyserski charakter pisma wynika z założenia, by brać się do najważniejszych, najgłębiej osadzonych słów i sensów w taki sposób, jakby brzmiały nieznajomo, po raz pierwszy. Wydawałoby się – niemożliwe. A jednak…

„Biblia: Próba" jest w swojej formie czymś pomiędzy spektaklem, koncertem a budowaną na oczach widzów instalacją. Protagonistą, główną osobą tego dramatu ludzkiego jest starszy, przyprószony siwizną mężczyzna (Paweł Tchórzelski). Reszta wykonawców wykonuje z jego bezbronnym ciałem wiele symbolicznych czynności: ubrani w stroje wieczorowe, beznamiętni, oszczędni w gestach i mimice pomocnicy losu. W znaku, w metaforze teatralnej – tej, możliwej do osiągnięcia jedynie na scenie, syntezie sensu słów, plastyki, muzyki i bezpośredniej cielesnej obecności – ma być to, przede wszystkim, opowieść o doświadczeniu Hioba, o utracie i rozstaniu. Spektakl rozpoczyna się piękną, intymną sceną posiłku (Tchórzelski, Maria Kierzkowska), gdzie padają te najsłynniejsze wersy z „Pieśni nad Pieśniami", a na kuchennym stole gra małe radyjko tranzystorowe. Ale po „Pieśni…" następuje Kohelet, Hiob, stół staje się ofiarniczym ołtarzem, a słów do finału dostarcza Apokalipsa…

Nie chcę zdradzać zbyt wiele, ponieważ to na zagadkowym przebiegu działań, komentowanych biblijnymi cytatami polega sugestywność tego spektaklu. Mamy tu do czynienia z wypracowaną przez lata, unikalną reżyserską formą, dążącą do jakiejś przedziwnej prostoty w budowaniu zdarzenia scenicznego. Nieśpieszne tempo, brzmienie słów, oddechów, muzyki, ceremonialność działań, odwołanie się do niewielkiej liczby najprostszych gestów, przedmiotów, materii nasyconej symboliką, do gestów ofiarnych, zagrożenia dla ciała wykonawców – wszystko to razem mocno trzyma widownię w napięciu. Lorenci stąpa po cienkiej linii, odgraniczającej obrzędy religijne czy raczej quasi-religijne od teatru wypowiadającego się poprzez estetykę i interpretację.

Zdaje się jednak, że jej nie przekracza, zamiast podejrzanych, hochsztaplerskich obietnic transgresji wycofuje się w stronę teatru, gdzie nikt nikomu nie daje złudnej nadziei. Zamiast tego otrzymujemy niełatwe zadanie skonstruowania z tej propozycji sensu, dla siebie samego, własnego prywatnego eschatonu. Tym bardziej intrygujące, bo omijające tak dobrze znany, porządnie opatrzony świat symboliki religijnej, tak jak go widzieli rozmaici ilustratorzy i malarze. Pozostajemy bez podpórek, sami ze sobą. Pójść w wyobraźni śladami Hioba, w spotkaniu z tym samym szalonym wichrem z pustyni, który porusza i zawala cztery węgły domu. Zadanie tym bardziej, powtórzę, intrygujące – bo postawione przez ateistę. Z wyimków biblijnych, potraktowanych niezwykle serio Lorenci ułożył scenariusz i zaprosił nas do labiryntu, w którym znalazło się miejsce i na złorzeczenie Bogu, i na tę najtrudniejszą szansę nadziei. Jest w nim miejsce na siebie. ©℗

TEATR IM. WILAMA HORZYCY
„BIBLIA: PRÓBA"
REŻYSERIA: JERNEJ LORENCI
MUZYKA: BRANKO ROŽMAN,
ŚPIEW: JULIA SOBIESIAK-BORUCKA
PREMIERA: 4 MAJA 2021 R.
(SPEKTAKL OBEJRZANY NA FESTIWALU KONFRONTACJE TEATRALNE 2022 W LUBLINIE)

eprasa.pl 4708cd516e

Jak Rosja może użyć broni

Tymoteusz Pawłowski

Groźby użycia broni atomowej są potrzebne Władimirowi Putinowi przede wszystkim na użytek wewnętrzny

Doktryna wojenna każdego państwa – czy chociażby doktryna użycia broni masowego rażenia – jest bardzo złożona, musi uwzględniać bardzo wiele czynników, w tym techniczne, militarne i polityczne. Nie jest ani pojedynczym dokumentem, ani nawet serią dokumentów, a przede wszystkim jest tajna. Jednak w Rosji od 2020 r. obowiązuje jawny prezydencki dekret o podstawach polityki państwa w zakresie odstraszania jądrowego.

Według niego arsenał jądrowy jest dla Rosji narzędziem odstraszania. Może zostać wykorzystany, jeśli zagrożone byłoby istnienie państwa lub istnienie jego sojuszników albo gdyby Rosja została pozbawiona zdolności do odwetowego uderzenia jądrowego. Obserwatorzy podkreślają często, że Rosja może użyć broni atomowej jako pierwsza, co podobno jest ewenementem, gdyż inne mocarstwa atomowe się od tego odżegnują. Nie do końca jest to prawdą: inne mocarstwa po prostu deklarują, że tego nie zrobią.

Rosyjski arsenał atomowy to ok. 500 nośników broni strategicznej: rakiet, okrętów podwodnych, samolotów oraz ok. 1,5 tys. gotowych do użycia głowic. Większość nośników oraz głowic jest przestarzała, ponieważ państwo o przeciętnym potencjale gospodarczym nie jest w stanie utrzymywać jednocześnie milionowej armii i arsenału nuklearnego.

Rosja – w spadku po Związku Sowieckim – odziedziczyła przede wszystkim zdolność do niszczenia miast i celów wielkopowierzchniowych. Moc głowic liczona jest w megatonach, a celność nośników w setkach metrów. Rosyjskie możliwości niszczenia celów punktowych są niewielkie. Stany Zjednoczone nie znają takich ograniczeń. Oprócz „niszczycieli miast" mają dużo głowic, których moc liczona jest w kilotonach albo nawet ich częściach, a celność nośników mierzona jest w dziesiątkach metrów lub w metrach.

Warto zauważyć, że współczesne głowice atomowe mają niewiele wspólnego z tymi, które spadły w 1945 r. na Japonię. Tamte – o mocy ok. 20 kT – były głowicami jądrowymi czerpiącymi energię z rozpadu ciężkich pierwiastków, po których pozostawało wiele radioaktywnych odpadów. Współczesne głowice są głowicami termojądrowymi, które energię czerpią z syntezy wodoru w hel. Są więc – pomimo groźnej nazwy – w miarę „czyste", a promieniowanie, które pozostawiają, szybko przestaje być groźne dla człowieka.

Bomba jądrowa o mocy jednej kilotony ma energię porównywalną z eksplozją tysiąca ton trotylu. Uważa się, że jeśli wybuchnie w odległości 200 m od betonowego celu – budynku albo mostu – to zniszczy go na pewno, a jeśli wybuchnie w odległości większej niż 500 m, to wówczas betonowy cel przetrwa...

W CO UDERZYĆ?

Wojsko nie strzela z własnej woli do celów cywilnych. Nie czyni tego z bardzo

eprasa.pl 4708cd516e

FOT. ADOBE STOCK

jądrowej?

wielu powodów, a fakt, że jest to zabronione przez prawo międzynarodowe, jest najmniej ważny. Decyzja o uderzeniu atomowym na miasto musi zostać podjęta przez najwyższego przywódcę, ale żaden przywódca Rosji jej nie podejmie. I znów: nie uczyni tego z bardzo wielu powodów, a fakt, że jest to zabronione przez prawo międzynarodowe, jest najmniej ważny. W tym momencie warto wspomnieć o tym, że Kijów jest świętym miastem całej Rusi, także moskiewskiej, a Ukraińcy – według propagandy Kremla – to w gruncie rzeczy Rosjanie zbałamuceni przez Zachód.

Celami dla głowic atomowych mogą być więc instalacje o znaczeniu militarnym: lotniska, magazyny, bazy paliwowe, być może węzły komunikacyjne oddalone od ludzkich siedzib. W obecnej sytuacji militarnej na Ukrainie atak atomowy na takie instalacje jest nieopłacalny z militarnego punktu widzenia. Może być traktowany jedynie jako deklaracja polityczna. Koszt takiej deklaracji jest jednak olbrzymi.

Lutowy atak na Ukrainę sprawił, że Rosja w praktyce zerwała swoje więzi z Zachodem, a jedynymi istotnymi państwami, od których może uzyskać wsparcie, są Chiny i Indie. Oba są mocarstwami atomowymi i oba mają za sąsiadów mocarstwa atomowe (pomijając, że same ze sobą sąsiadują). Racją stanu zarówno Chin, jak i Indii jest to, że arsenał atomowy może zostać wykorzystany, jeśli zagrożone byłoby istnienie państwa, ale nie może zostać wykorzystany do rozwiązania sporów granicznych.

Indie za sąsiada mają Pakistan, kraj, który uważa, że Indie okupują część jego terytorium. Jeśli Rosjanie użyliby broni atomowej do rozwiązania sporu terytorialnego z Ukrainą, to oznaczałoby, że również Pakistan może użyć w ten sposób własnej broni atomowej. Nie tylko Pakistan, lecz także Chiny, ponieważ granica chińsko-indyjska również jest sporna.

Chińska Republika Ludowa pragnie od lat przyłączyć do siebie Tajwan i czyni o to starania, wykorzystując naciski polityczne, gospodarcze i militarne. Na straży niezależności Tajwanu stoi jednak amerykański potencjał militarny, ale potencjał konwencjonalny, a nie nuklearny. Jeśli Rosjanie użyliby broni atomowej do rozwiązania sporu terytorialnego z Ukrainą, to dałoby to możliwość Amerykanom zaangażowania własnego potencjału nuklearnego w obronę Tajwanu. To znacznie skomplikowałoby sytuację Chińskiej Republiki Ludowej, a nie można zapominać o sporach granicznych chińsko-indyjskich...

CZY UDERZYĆ?

Każde użycie broni atomowej przez Rosję to krok polityczny i krok samobójczy. Spotkałoby się z oczywistym potępieniem przez Zachód, ale również z potępieniem przez Chiny i Indie, być może jeszcze bardziej radykalnym. Dla Pekinu i Delhi konieczne byłoby natychmiastowe potępienie reżimu w Moskwie jako zbrodniczego, aby innym państwom nie przyszło do głowy używanie broni nuklearnej do rozwiązywania sporów granicznych.

Po użyciu broni jądrowej przez Rosję natychmiast zostaną zerwane z nią wszelkie stosunki gospodarcze. Wszyscy zrozumieją i wybaczą nawet największe koszty ekonomiczne i gospodarcze, bo atak atomowy będzie niesamowitą katastrofą wizerunkową, ponieważ obrazów ukraińskich dzieci umierających na chorobę popromienną nie wymażą z pamięci nawet najlepsi specjaliści od PR. W Rosji nastąpi katastrofa ekonomiczna, a za nią przyjdzie humanitarna, zabraknie bowiem leków onkologicznych, insuliny czy nawet antybiotyków.

Wbrew pobożnym życzeniom mediów prezydent Rosji nie jest szaleńcem. Nawet jeśli jest, to decyzji o użyciu broni atomowej nie podejmuje on sam, tylko cały zespół ludzi. Co więcej, prezydent Rosji nie jest tyranem utrzymującym się przy władzy dzięki policji politycznej, tylko reprezentantem społeczeństwa. Reprezentantem wyborców, ale przede wszystkim reprezentantem różnego kalibru oligarchów, od szefa Gazpromu do kierownika przedszkola w miasteczku na Syberii. Musi podejmować decyzje, które będą dla nich korzystne.

I w tym kontekście trzeba widzieć groźby użycia broni atomowej. Są one czynione przede wszystkim na użytek wewnętrzny. Narracja rosyjskiej propagandy jest prosta: NATO zagraża Rosji, prewencyjne uderzenie na Ukrainę zmniejszyło to zagrożenie, mobilizacja zmniejsza je jeszcze bardziej, a przecież w odwodzie Rosja ma jeszcze arsenał nuklearny. To, że groźby użycia broni atomowej osłabiają również wolę walki Zachodu, to już tylko wartość dodana.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4708cd516e

Naiwne marzenia

Łukasz Warzecha

Plan Ziemkiewicza na silną i sprawczą Polskę można streścić krótko: niech będzie lepiej, rozsądniej i rozumniej, a wtedy sobie poradzimy. Wspaniale. Tylko jak to zrobić?

Zawsze byłem zwolennikiem dokładnego definiowania podstawowych pojęć, zanim rozpocznie się dyskusję. Jeśli się tego nie zrobi, to może dojść do sytuacji, w której dyskutujący nazywają tym samym słowem coś całkiem innego i na tej podstawie każdy z nich uważa, że ma rację. Mam wrażenie, że do czegoś takiego doszło pomiędzy mną a Rafałem A. Ziemkiewiczem odpowiadającym na moje zarzuty pod adresem jego najnowszej książki „Wielka Polska” („DRz” 44/2022).

W replice na mój tekst Rafał pisze – ujmując to skrótowo – że jego opowieść o wielkiej Polsce nie jest fantazją czy bajką, ale analizą pojawiających się możliwości. Najwyraźniej inaczej rozumiemy pojęcie analizy. Analiza z zasady polega na tym, że bierze się pod lupę jak największą liczbę czynników i tworzy na tej podstawie różne scenariusze. A już na pewno tak powinna wyglądać analiza tworzona z ambicją bycia namiastką programu działania państwa. Z całą zaś pewnością nie można analizą nazwać wywodu, którego podstawą jest jedynie najkorzystniejszy scenariusz, w dodatku oparty na bardzo fragmentarycznym widzeniu rzeczywistości czy wręcz pomijaniu niektórych jej elementów. Taki wywód nie jest realnym scenariuszem działania, który zawsze musi być wariantowy – jest właśnie bajką. Opowieścią o tym, jak mogłoby być wspaniale, gdyby po drodze spełniło się 20 optymistycznych założeń. No, owszem, miło się to czyta, ale pod warunkiem że uznaje się to właśnie za opowieść pisaną ku pokrzepieniu serc. Potem się taką książkę odkłada i z ciężkim sercem wraca do rzeczywistości, która nijak nie chce się dopasować do tej optymistycznej wizji.

Tu pozwolę sobie zacytować fragment tekstu Rafała, który szczególnie mi się spodobał: „Mówiąc obrazowo: pragmatyzm polega dla mnie na tym, żeby kiedy drzwi się uchylają, pchać w nie nogę, a kiedy się zamykają – zabierać ją. Nie jest pragmatyzmem, w moim przekonaniu, postawa, która każe, kiedy drzwi nieoczekiwanie zaczęły się uchylać, wzywać: »Nie róbmy nic pochopnie, trzeba wszystko dobrze przeanalizować, rozważyć zagrożenia, przemyśleć, te drzwi, choć dziś się otwierają, w przyszłości mogą się przecież zamknąć, i co wtedy z naszą nogą?«”.

Co do opisu, czym jest pragmatyzm, absolutnie się zgadzam. I nie w tym punkcie jest spór. Spór dotyczy tego, czy drzwi faktycznie się otwierają i czy my mamy dość siły, żeby je przytrzymać. Rafał na oba te pytania odpowiada twierdząco, ja zaś wskazuję, że ta jego diagnoza jest oparta na bardzo wątłych podstawach. I dodaję, że jeżeli jest to diagnoza błędna – a wszystko na to wskazuje – to kierując się wskazaniami Rafała, za moment możemy stracić nogę.

TRWAŁOŚĆ POPARCIA

W optymistycznym opisie sytuacji, który znalazł się w „Wielkiej Polsce”, niektóre elementy nie zostały wzięte pod uwagę, a inne czynniki autor potraktował skrajnie jednowymiarowo. Tak jakby mogły się rozwijać jedynie w sposób dla nas korzystny.

Pierwszy i zasadniczy taki czynnik to przekonanie o trwałości i pewności amerykańskiego poparcia – dalibóg, nie mam pojęcia, na czym oparte. Odpowiadając na mój zarzut dotyczący odejścia od realistycznego sposobu rozumowania, na którym zbudował książkę „Jakie piękne samobójstwo”, Rafał przedstawił długi wywód mający dowodzić, że nie istnieje podobieństwo pomiędzy rokiem 1939 i naszą ówczesną naiwnością a czasem obecnym. Otóż jednak istnieje. Tym podobieństwem jest bezgraniczna wiara w sojuszników. Jej weryfikację zalecałbym rozpocząć od uważnej lektury treści art. 5 traktatu północnoatlantyckiego.

Nie jest tak, jak pisze Rafał, że polityka zagraniczna USA względem Ukrainy z pewnością nie zmieni się po wyborach do Kongresu, ponieważ „polityka zagraniczna USA jest znacznie bardziej stabilna niż ich scena polityczna”. Nawet bardzo pobieżna lektura zagranicznych źródeł pokazuje, że jest to jeden z najbardziej prawdopodobnych skutków listopadowych wyborów. Na przykład w ubiegłym tygodniu Jens Stoltenberg, sekretarz generalny NATO, udzielił obszernego wywiadu serwisowi Politico, w którym zagrożenie zmianą polityki USA wobec Ukrainy po zdobyciu większości w Kongresie przez republikanów uznał za absolutnie realne, dużą część rozmowy poświęcił bowiem przestrzeganiu przed takim rozwojem wypadków. A to tylko jeden z wielu sygnałów, w którą stronę może – oczywiście nie musi – pójść amerykańska polityka po wyborczej korekcie. Przypomnę tylko, że to od Kongresu zależy zatwierdzanie kolejnych budżetów wojskowych, także pomocowych.

Przede wszystkim jednak skrajnie nieracjonalne jest założenie, że z punktu widzenia Waszyngtonu Polska jest jakimś długotrwałym, niesamowicie ważnym atutem. Polska przez dwie dekady, począwszy od naszej błyskawicznej deklaracji wzięcia udziału w operacji w Afganistanie po zamachach z 11 września, wyrobiła sobie w amerykańskich elitach markę państwa, które – niemal niezależnie od tego, kto nim aktualnie rządzi – jest gotowe na wyprzódki spełniać zachcianki nowego Wielkiego Brata. Ten nowy Wielki Brat jest całkiem inny niż stary – demokratyczny, generalnie przyjazny i nie można go porównywać z poprzednim. Ale uprawia twardą i realną politykę, która polega m.in. na tym, że bez mrugnięcia okiem potrafi poświęcić interes swoich sojuszników, jeśli jest mu to na rękę. Również po to, żeby uspokoić własną opinię publiczną. Zwłaszcza że ma ich pod dostatkiem, a Polska nie jest absolutnie niezastąpiona. Niewiele mniej strategicznie w naszej części kontynentu są położone choćby Bułgaria i Rumunia.

eprasa.pl 4708cd516e

FOT./AN

Rafałowi sugeruję, żeby przypomniał sobie – można to bez problemu znaleźć na YouTube – wstrząsające sceny z ewakuacji amerykańskiej ambasady w Sajgonie (dziś Ho Chi Minh City) w roku 1975, kiedy to ludzie czepiali się płóz helikopterów startujących z dachu placówki USA, żeby potem spaść na ziemię. Amerykanie pozostawili wtedy samym sobie setki tysięcy współpracujących z nimi lojalnie żołnierzy czy pracowników administracji Wietnamu Południowego, którymi wkrótce zajęli się komuniści. A jeśli trzeba nowszego przykładu, wystarczy przypomnieć sobie błyskawiczne zwinięcie amerykańskich sił z Afganistanu.

I nie chodzi tu o porównywanie tych sytuacji z obecną naszą – ani Wietnam, ani Afganistan nie były przecież członkami NATO – ale o przyswojenie myśli, że Waszyngton traktuje swoich sprzymierzeńców jak pionki na „wielkiej szachownicy" – by sięgnąć po tytuł głośnej książki Zbigniewa Brzezińskiego, ojca obecnego amerykańskiego ambasadora USA w Warszawie. A już szczególnie wtedy, gdy sprzymierzeńcy bardzo zadbali o to, żeby o nich nie zabiegać i ich nie szanować. Zatem twierdzenie, że mamy jakieś stałe i niezachwiane poparcie Waszyngtonu zagwarantowane na lata jest po prostu bezpodstawne.

GEOPOLITYCZNE ZMIANY I EKONOMIA

Drugi czynnik, którego Ziemkiewicz nie uwzględnia, to szerszy teatr geopolitycznych zmian. Nie ma w nim Chin z ich przywódcą Xi Jinpingiem, nastawionym ewidentnie na mocno autorytarny kurs. Nie ma Azji, nie ma krajów BRICS – wszystko sprowadza się do Europy, Ameryki, Rosji i założenia, że ta ostatnia przegra. Ale jak, kiedy, dlaczego, w jaki sposób – nie wiadomo. A więc znów – założenie bezpodstawne.

Trzeci, niezwykle ważny czynnik, to kompletne zlekceważenie sytuacji ekonomicznej. Niedocenianie roli gospodarki to wspólna cecha wielbicieli wielkich romantycznych wizji. Tego błędu nie popełnili w XIX w. najskuteczniejsi obrońcy polskości w zaborze pruskim, którzy rozumieli, że zbudują siłę Polaków poprzez budowę naszej pozycji ekonomicznej. Skutek był taki, że polskie instytucje, np. kasy oszczędnościowe, zaczęły wręcz wygrywać z niemieckimi, a pruskie władze musiały wprowadzać specjalne przepisy, ograniczające możliwość lokowania w nich pieniędzy przez Niemców, bo inaczej nastąpiłaby ucieczka funduszy do instytucji kierowanych przez Polaków.

Bez solidnych finansowych i gospodarczych podstaw nie ma bezpiecznego i silnego państwa. My tych podstaw teraz nie mamy do tego stopnia, że pod znakiem zapytania stoi program rozbudowy i modernizacji wojska, co jest przecież absolutnym priorytetem. To ich odtworzenie, a nie pobrzękiwanie szabelką w kierunku Kremla powinno teraz być naszym absolutnym priorytetem.

I tu dochodzę do czwartej luki w rozumowaniu Ziemkiewicza. W swojej odpowiedzi na moją recenzję Rafał pisze: „Uważam, że otwiera to przed Polską koniunkturę porównywalną tylko z tą z roku 1918. Wtedy zdołaliśmy ją wykorzystać, i, aby także tym razem się udało, trzeba zrobić… i tu dość chyba szczegółowo wskazuję co". Sęk w tym, że nie tylko nie szczegółowo, lecz także z całkowitym, groteskowym wręcz pominięciem realiów Polski Anno Domini 2022. Plan Ziemkiewicza na silną i sprawczą Polskę można streścić krótko: niech będzie lepiej, rozsądniej i rozumniej, a wtedy sobie poradzimy. Wspaniale. Tylko jak to zrobić? Bo jeśli Ziemkiewicz – który całkiem słusznie stwierdza, że warunkiem wzmocnienia polskiego państwa jest postawienie na bardzo wolnorynkowe zasady – nie zastanawia się zarazem, jakie jest prawdopodobieństwo, że takie zasady w naszym kraju wygrają (a jest skrajnie niskie, co piszę z bólem jako ich wielki zwolennik), to jego dalsze rozważania są zawieszone w próżni.

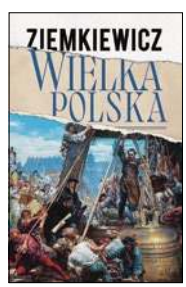

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ „WIELKA POLSKA" FABRYKA SŁÓW 2022

Wreszcie – tej małej złośliwości nie mogę sobie odmówić – Rafał A. Ziemkiewicz twierdzi, że postępowanie Ukrainy po 24 lutego sprawiło, iż jego wcześniejsze, przywołane przeze mnie jawnie antyukraińskie uwagi się zdezaktualizowały. Czyli że nie zmienił zdania koniunkturalnie, ale sytuacja sprawiła, że się z niego wycofał. Przypomnę tu zatem jeszcze raz wpis nie sprzed lat, ale zaledwie ze stycznia tego roku: „Udzielimy Ukrainie każdego wsparcia, jakiego zażąda, obiecał minister Rau. Nie każdego, na jakie nas stać czy co – każdego, jakiego zażąda. To po co nas szanować?". Pytam: Cóż takiego się zmieniło od tego czasu, co sprawia, że tej myśli Rafał A. Ziemkiewicz już by teraz nie powtórzył, choć wówczas – jak twierdzi – miała sens? Ten tweet był krytyczny wobec całkowicie bezwarunkowego zaangażowania po stronie naszego sąsiada. Czy poza czystą retoryką prezydenta Zełenskiego, który potrafi być miły dla każdego (ostatnio ministerstwo obrony Ukrainy umieściło na Twitterze bardzo zgrabny klip z podziękowaniem dla Niemiec za sprzęt wojskowy), cokolwiek realnie zyskaliśmy za nasze absolutnie ponadprzeciętne zaangażowanie? Ja niczego takiego nie widzę.

Jeden fragment w replice Rafała naprawdę mnie zmroził. Mój kolega pisze: „Jeśli ktoś w tej sytuacji powiada, że skoro w 1939 r. wyrwaliśmy się do walki z Niemcami z fatalnym dla nas skutkiem, to nauczeni tym doświadczeniem powinniśmy teraz siedzieć cicho i nie wyrywać się do Putina, to moim zdaniem nie jest to żaden pragmatyzm, tylko powierzchowne i zupełnie nieprzemyślane nakładanie nieadekwatnych klisz, klasyczne »wygrywanie poprzedniej wojny«".

Z tego akapitu wnioskuję, że zdaniem Ziemkiewicza do Putina powinniśmy się „wyrywać". Wolę nie pytać, co dokładnie autor „Wielkiej Polski" miał na myśli.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Na tym redakcja zamyka debatę w tej sprawie między Łukaszem Warzechą a Rafałem A. Ziemkiewiczem, który pozostaje przy swoim.

eprasa.pl 4708cd516e

Trójząb zamiast Turula?

Po bezprecedensowej decyzji Rady Miasta Mukaczewa z 13 października nagle usunięto pomnik węgierskiej autochtonicznej mniejszości narodowej, który od 2008 r. stał w zamku w Mukaczewie. Posąg, który wrzucono do fosy, ma być zastąpiony ukraińskim herbem. Ten akt, który głęboko oburza społeczność węgierską, miał miejsce w czasie brutalnej wojny rosyjsko-ukraińskiej, gdy na froncie codziennie tracą życie młodzi ludzie, w tym Węgrzy

Mukaczewo jest drugim co wielkości miastem na Zakarpaciu, położone jest u podnóża Karpat Północno-Wschodnich, nad brzegiem rzeki Latorica. W ciągu swojej tysiącletniej historii wchodziło w skład kilku państw, najdłużej – przez wieki – należało do Węgier. W ciągu ostatnich stu lat najpierw stało się częścią Czechosłowacji na mocy traktatu z Trianon w latach 1920–1938, następnie, na sześć lat, ponownie powróciło do Węgier. Natomiast od 1945 r. było częścią ZSRS aż do jego rozpadu w 1991 r. Od czasu zmiany ustroju miasto leży w granicach Ukrainy. Mukaczewo słynie przede wszystkim ze średniowiecznego zamku (Zamek Palanka), który jest jednym z historycznych klejnotów Zakarpacia.

LOS POMNIKA TURULA

Pomnik Turula w Mukaczewie miał na przestrzeni dziejów skomplikowaną historię. W 1896 r. Węgry obchodziły 1000-lecie swojego istnienia i z okazji tych obchodów Kálmán Thaly, historyk i członek parlamentu, zaproponował postawienie w różnych częściach kraju siedmiu pomników upamiętniających siedmiu przywódców. Ostatecznie posągi stanęły na wzgórzu Zobor w Nitrze, w Pannonhalmie, na wzgórzu zamkowym w Devín, w Ópusztaszer, na wzgórzu Cenk w Braszowie oraz we wspomnianym zamku w Mukaczewie. Każdy z nich miał na cokole wypisane daty „896–1896". W wieży Hunyadyego w zamku w Mukaczewie znajduje

W mitologii węgierskiej Turul jest szlachetnym ptakiem reprezentującym węgierską państwowość FOT. ADOBE STOCK

się obelisk o wysokości 33 metrów, na którym umieszczono Turula. W mitologii węgierskiej turul jest szlachetnym ptakiem reprezentującym węgierską państwowość, podobnie jak orzeł reprezentuje państwo polskie. Pomnik upamiętniający przeszłość Węgrów został po raz pierwszy zburzony i wrzucony do fosy w grudniu 1924 r., w czasie rządów czechosłowackich. Jego szczątki zostały przetopione przez Sowietów i wykorzystane do wykonania czerwonej gwiazdy z brązu na placu w Mukaczewie.

W 2008 r. pojawił się pomysł przywrócenia pomnika. Decyzję o jego powrocie podjęła ówczesna rada miasta. Kluczową rolę odegrał Imre Pákh, który urodził się w Mukaczewie i wyemigrował do Ameryki. Wyłożył on własne pieniądze na odrestaurowanie węgierskiego pomnika. Na obelisku umieszczono wysokiego na 2,5 metra i ważącego prawie tonę Turula. Jest on dziełem rzeźbiarza z Użhorodu Mihajla Belenyego. Jednak pomnik, który dla zakarpackich Węgrów jest pamiątką historycznej przeszłości, dopiero od 14 lat zdobi zamek w Mukaczewie, często odwiedzany przez zagranicznych turystów.

12 października dyrektor muzeum zamkowego napisał list do Rady Miasta Mukaczewa z prośbą o podjęcie decyzji o usunięciu pomnika. Przy wsparciu burmistrza Mukaczewa, Andrija Baloha, rada miejska podjęła natychmiastową decyzję. Nie zasięgnięto opinii konserwatora zabytków, co budzi poważne zastrzeżenia co do profesjonalizmu decyzji. O godz. 11.30 następnego dnia decyzja o natychmiastowym usunięciu pomnika została opublikowana na stronie internetowej rady miejskiej Mukaczewa. Z zawiadomienia tego dowiadujemy się również, że ma go zastąpić ukraiński mały trójząb. Już dwie godziny po ukazaniu się ogłoszenia rozpoczęto usuwanie pomnika i jak za czasów Czechosłowaków Turul wylądował w fosie. Symboliczne jest to, że zarówno mniej więcej 100 lat temu, jak i obecnie nie usunięto szponów Turula chwytającego obelisk. Jego pazury trzymają się kamienia, tak jak Węgrzy na Zakarpaciu trzymają się swojej ojczyzny.

WĘGRZY NA WOJNIE?

Ukraina jest w stanie wojny z Rosją, a na pierwszej linii frontu giną także węgierscy mężczyźni z Zakarpacia. Bronią kraju, który często chciał i chce pozbawić Węgrów praw mniejszości narodowej. Słusznie nasuwa się pytanie: Czy rzeczywiście był to najbardziej odpowiedni moment, aby po raz kolejny pognębić Węgrów na Ukrainie? Naszym zdaniem taki akt nigdy nie jest do obrony, a już szczególnie nie w sytuacji, gdy w przeliczeniu na liczbę ludności Węgry zajmują drugie po Polsce miejsce wśród krajów, które przyjmują największą liczbę uchodźców z Ukrainy i zaoferowały Ukrainie największą w swojej historii pomoc humanitarną.

Gubernator Zakarpacia niedawno powiedział, że Ukraina „dzień po dniu zmierza w kierunku integracji europejskiej”. Problem w tym, że nie dotyczy to podejścia do mniejszości narodowych

Podobne incydenty co z Turulem zdarzają się regularnie na Zakarpaciu. Węgierskie zabytki są dewastowane i podpalane, zdarzyło się również wysadzenie w powietrze przez nieznane osoby siedziby Zakarpackiego Stowarzyszenia Kultury Węgierskiej. Kilka lat temu powstała strona o nazwie Mirotvorec, potocznie zwana listą śmierci, na której pod zarzutem zdrady wymieniono Węgrów, takich jak urodzony na Zakarpaciu europoseł Andrea Bocskor (Fidesz).

Gestem złej woli jest również trudny proces ukrainizacji, który rozpoczął się w 2017 r. od ustawy o ukraińskiej oświacie i języku. Wydarzenia te są szczególnie przykre dla mniejszości węgierskiej, zwłaszcza w świetle faktu, że przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen, odnosząc się do Ukrainy, stwierdziła, że ma ona „bardzo silną demokrację parlamentarną i dobrze funkcjonującą administrację”. Brakuje więc tylko ustanowienia praw mniejszości i Ukraina mogłaby być wzorcową demokracją. To szczególnie dziwna wypowiedź Brukseli dla opinii publicznej takich krajów jak Węgry i Polska, które są regularnie karane i szantażowane finansowo za rzekome łamanie praworządności i standardów demokratycznych.

Viktor Mikita, gubernator Zakarpacia, powiedział, że to nie czas na zajmowanie się sprawą usunięcia pomnika Turula. Ważniejsze jest zachowanie stabilności Zakarpacia. Słusznie nasuwa się pytanie: Czy zachowanie stabilności nie oznaczałoby zapewnienia integralności zabytku? Gdyby tylko była wola, znalazłoby się miejsce na terenie zamku, aby umieścić ukraiński symbol. Niektórzy ludzie uważają, że jedyną osobą stojącą za tą sprawą jest burmistrz Mukaczewa Andrij Baloha, który niestety swoimi działaniami ułatwił rosyjskie interesy destabilizacyjne. Viktor Baloga, były burmistrz Mukaczewa i ojciec obecnego burmistrza, w przemówieniu reprezentacyjnym powiedział, że „mogą sobie wsadzić swoje protesty w dupę", ponieważ uważa, że Węgrzy po raz kolejny są po złej stronie w wojnie. Niestety, węgierskie pomniki na Zakarpaciu są regularnie dewastowane, ale nigdy wcześniej władze miasta nie doprowadziły do usunięcia posągów z poważnym naruszeniem praw autochtonicznej węgierskiej mniejszości narodowej.

Gubernator Zakarpacia również niedawno powiedział, że Ukraina „dzień po dniu zmierza w kierunku integracji europejskiej”. Problem w tym, że nie dotyczy to podejścia do mniejszości narodowych. Upokarzanie Węgrów czy jakiejkolwiek innej mniejszości narodowej oraz ograniczanie ich praw nie jest „europejskie”, jest nie do przyjęcia w normalnej demokracji. Usunięcie pomnika Turula dało nam poczucie, że pewnego dnia zapadnie decyzja o usunięciu w ciągu 24 godzin pomnika Adama Mickiewicza we Lwowie lub lwów na cmentarzu Orląt Lwowskich (wcześniej zakrytych pudłami) i zastąpienie ich ukraińskimi symbolami.

„... POŻERANI, CHOĆ SĄ, NIE SĄ ZŁAMANI...”*

Powód usunięcia węgierskiego pomnika może być jeszcze długo przedmiotem dyskusji. Ostatnie 125 lat pokazało, że istnienie lub nieistnienie Turula na tym wieloetnicznym obszarze zależy od układu sił politycznych i stopnia cywilizowanego współżycia. Mimo trudów nic nie złamało woli życia zakarpackich Węgrów i choć są oddzieleni od swoich rodaków, nadal uparcie zachowują swój język i kulturę.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Loránd István Szakáli, *kierownik Instytutu Europy Środkowej; Fundacja „Századvég”*
Patrícia Ivanova, *pracownica Instytutu Europy Środkowej; Fundacja „Századvég”*

** Fragment wiersza „Szózat” Mihálya Vörösmartyego.*

eprasa.pl 4708cd516e

Opactwo Świętej Konopi

FOT. LUCY NICHOLSON/REUTERS/FORUM

Wojciech Golonka

W Kalifornii powstało osobliwe zgromadzenie zakonne, którego celem jest hodowla konopi indyjskich i produkcja preparatów na bazie leczniczej marihuany

O wspólnocie zrobiło się głośniej w chwili, gdy matka przełożona wystosowała w ostatnim czasie apel o pomoc, powielony przez media na świecie, o uratowanie ich klasztoru przed widmem bankructwa – zważywszy na panujące w ich kalifornijskim hrabstwie regulacje z zakresu hodowli i przetwarzania marihuany. W rzeczywistości chodziło o promocję nowego produktu, a siostra Kate, onegdaj bizneswoman specjalizująca się w implementacji za granicą wielkich amerykańskich korporacji, wykorzystała bezpłatny marketing w postaci rozgłosu medialnego. Przy okazji czytelnik portali mógł się dowiedzieć, że ten osobliwy samozwańczy zakon nie ma nic wspólnego z Kościołem katolickim ani jakimkolwiek innym wyznaniem chrześcijańskim, choć rzeczywiście działa jak najbardziej w formie wspólnoty religijnej, której członkinie składają nawet aż sześć ślubów, tyle że natury ekologicznej.

Prawdą jest, że w Stanach Zjednoczonych nietrudno założyć własny Kościół o najbardziej kuriozalnym charakterze (i robić w związku z tym spore interesy), zakon sióstr „uzdrowicielek i feministek" jest jednak rzeczywiście wyjątkowy w swoim rodzaju, łącząc w sobie popularne dziś trendy agendy zrównoważonego rozwoju ONZ czy Światowego Forum Ekonomicznego z drogim Franciszkowi kultem Pachamamy. A przy tym inkasuje na swych produktach dziesiątki milionów dolarów rocznie.

„UZDRAWIANIE ŚWIATA"

„Siostry z doliny", zakonnice w długich habitach, z dostojnym monastycznym szkaplerzem, z pokaźnymi welonami na głowie na wzór surowszych zakonów klauzurowych – ich widok kojarzy się na pierwszy rzut oka z młodymi, prężnymi, tradycyjnymi wspólnotami zakonnymi. I rzeczywiście jest to nowa, powstała w ostatniej dekadzie wspólnota, w pewnym sensie natury religijnej, tyle że nie na gruncie chrześcijańskim, poświęcona bardzo osobliwej misji: uzdrawianiu świata za pomocą leczniczej marihuany. W zasadzie nie byłoby w tym nic dziwnego, biorąc pod uwagę nierzadko bardzo przyziemną działalność zgromadzeń zakonnych na przestrzeni wieków. Cystersi stanowili zakon technologiczny, który rozwinął europejskie rolnictwo i gospodarkę górniczo-hutniczą. Św. Bernard z Menton założył specjalny zakon przewodników górskich, z kolei zakony rycerskie były pierwowzorem specjalnych sił zbrojnych. Czemu zatem jakieś zgromadzenie zakonne nie miałoby zajmować się na co dzień olejami z konopi indyjskich, tym bardziej że hodowanie ziół czy warzenie naleweczek było i pozostaję codziennością dla wielu wspólnot? Do dziś bonifratrzy pomagają ludziom swymi ziołowymi specyfikami, trapiści raczą piwem, którego „warzenie jest modlitwą, a konsumpcja dziękczynieniem", jak mawia anegdota, z kolei likier kartuzjański, którego receptury nikt do tej pory nie odgadł, jest dobry w zasadzie na wszystko – i na wszystkie okazje.

Owszem, polemiczna może być sama marihuana lecznicza, ale siostry, które wprawdzie notorycznie palą skręty

eprasa.pl 4708cd516e

z własnych konopi, zarzekają się, że hodują ich specjalną odmianę niezawierającą substancji psychouzależniających, mającą natomiast silne właściwości przeciwbólowe, i potwierdzają to badaniami laboratoryjnymi. A ponieważ na produkty marihuany leczniczej jest popyt, nic dziwnego, że ich niewielka wspólnota generuje milionowe przychody i należy, zdaje się, do najprężniejszych podmiotów w branży. Strona materialna ich działalności, choć oczywiście jak najbardziej osobliwa, nie budzi zatem zasadniczych kontrowersji. Inaczej natomiast rzecz się ma od strony duchowej tudzież ideologicznej, która w działalności sióstr jest wszechobecna.

NATURALIZM, EKOLOGIZM I PANTEIZM

Już samo zdefiniowanie się przez „zakonnice" jako „siostry aktywistki anarchistki", „uzdrawiaczki i feministki" zapowiada, że pod zewnętrznymi tradycyjnymi elementami życia zakonnego kryje się prawdziwa rewolucja, ujęta niemniej w pewne spójne credo. Wyznawanych przez nie osiem podstawowych wierzeń to połączenie naturalizmu, ekologizmu i panteizmu z domieszką silnych uprzedzeń chrześcijańskich. Wprawdzie wymieniony na blogu sióstr system wierzeń ogranicza się do lakonicznych haseł, jak życie wyznaczane fazami Księżyca, w harmonii z naturą, uznanie istnienia i wzajemnej interakcji między światem materialnym a duchowym, poszanowanie wierzeń innych, ale już w pytaniach i odpowiedziach przedstawionych na ich stronie internetowej znajdziemy sporo wymownych dla ich credo dodatków: „Wierzymy, że prawdziwą świętą trójcą jest Bogini Stwórca (tudzież Bóg Stwórca), Ludzie i Matka Ziemia"; „Bóg jest widoczny i żywy w każdym z nas. Stanowimy z nim/z nią jedno", „Szanujemy chrystianizm, tak jak szanujemy wszystkie duchowe wierzenia innych, pod warunkiem że nie roszczą sobie prawa do bycia jedynym trafnym systemem wierzeń. […] Chrześcijaństwo uczyniło wiele, aby ubezwłasnowolnić kobiety i kolorowych. Chrystianizm wzrastał dzięki masakrom i konfiskacie ziem oraz dóbr".

Siostry są wprawdzie tolerancyjne, ale najwyraźniej szczerze nienawidzą chrześcijaństwa, w którym (jak i w Biblii) dopatrują się przyczyny złego położenia kobiet i katastrof ekologicznych; a poza tym „katolickie zakonnice wymierają w tym kraju, stworzyłyśmy zatem zakon nowego wieku (new age order)". W swych ultrakatolickich habitach nie widzą zapożyczenia czegokolwiek od chrześcijaństwa (wzorują się na rzekomo przedchrześcijańskich beginkach), ale noszą je „w ramach solidarności z muzułmańskimi kobietami, które są obecnie jedynymi kobietami na świecie ubierającymi się na wzór naszych dawnych matek (co czyni je przedmiotem prześladowania)". Wizja solidarności amerykańskich feministek być może z muzułmankami w USA, ale nie z muzułmankami buntującymi się w Iranie wobec obowiązku noszenia hidżabu, które doświadczają z tego tytułu prawdziwego prześladowania.

Wobec przytoczonych „wierzeń" nie dziwi także specyfika sześciu „ślubów", choć powiązanie niektórych z nich z katolickim nazewnictwem jest naprawdę intrygujące. Pierwszy ślub, posługa na rzecz wytwarzania lekarstw, szerzenia świadomości, walki z wielowiekową propagandą… i przywrócenie Matki Ziemi z powrotem do centrum ludzkiej duchowości. Następnie posłuszeństwo – choć w odniesieniu do ścisłego przestrzegania zasad wyrabiania produktów w ujęciu holistycznym, w poszanowaniu faz Księżyca, a także wystrzegania się emocji, których energie źle wpłynęłyby na tworzone lekarstwa. Trzeci ślub – prosty styl życia; czwarty – ślub aktywizmu. Specyficznie i nieortodoksyjnie rozumiany piąty ślub czystości jest uważany za najbardziej upodmiotowujący kobietę: nie chodzi o stosowanie się do zasad celibatu, a o umożliwienie zakonnicom wspólnego życia bez dodatkowych obowiązków rodzinnych, o „prywatyzację seksualności". Nie chodzi zatem o wyrzeczenie się przyjemności natury seksualnej, a jedynie ich konsekwencji w postaci rodziny czy macierzyństwa niepozwalających poświęcić się zupełnie misji leczniczej marihuany i płynących z niej zysków. W końcu – ślub ekologii, czyli kompostowanie odpadów organicznych i ogólnie poszanowanie Matki Ziemi…

KARYKATURA CHRZEŚCIJAŃSTWA

Nie chciałem tu szczególnie pochylać się nad polemiką z przedstawionymi założeniami, lecz raczej je po prostu syntetycznie przedstawić; nie sposób jednak nie zauważyć leżącej u ich podstaw karykatury chrześcijaństwa i jego stosunku do kobiety. Odsyłam tu do świetnej pozycji francuskiej mediewistki Régine Pernoud „Kobieta w czasach katedr", w której autorka jasno wykazała, w jaki sposób chrystianizm dokonał upodmiotowienia kobiety, najpierw w starożytności, a następnie jeszcze bardziej w okresie średniowiecza (choć nie można wykluczyć, że to, co siostry zarzucają Kościołowi katolickiemu – ubezwłasnowolnienie kobiet i kolorowych – należy przypisać różnym sektom protestanckim i ich wpływowi na dalszą ewolucję kultury zachodniej). Ale abstrahując od tych wypaczeń i uprzedzeń, przedsięwzięcie zakonu od marihuany ma atut radykalnego uwydatniania założeń ideologicznych, które w jakimś stopniu kryją się za agendą zrównoważonego rozwoju: uduchowienie i przebóstwienie Ziemi z wyraźnym odrzuceniem antropologii i etyki chrześcijańskiej. Siostry, które pragną zaproponować młodym pokoleniom nową atrakcyjną religię, mają własne rytuały czczące Matkę Ziemię etc. Trudno o lepszy dowód, do jakiego stopnia ruch ekologiczny może przybrać charakter wręcz religii pogańskiej… co nie koliduje bynajmniej z możliwością robienia wielkich pieniędzy – w przeciwieństwie bowiem do historycznych zakonów „uzdrowicielki" konopiami nie składają autentycznych ślubów ubóstwa i nie tworzą bynajmniej dzieła charytatywnego. Dwa lata po otworzeniu przedsiębiorstwa, za sam rok 2017, ich przychody wyniosły już 25 mln dol. (dane z ostatnich lat nie są podane do wiadomości publicznej). Przełożona i matka założycielka, siostra Kate, żywi przy tym ambitne plany rozwoju: liczące 30 członkiń „zgromadzenie" celuje w siostrę uzdrowicielkę w każdym mieście na świecie, licząc na dogodne ku temu regulacje prawne. Karykatura religii i ducha zakonnego godna pożałowania, przedsiębiorczość i wytrwałość w dążeniu do celu godne podziwu.

Siostry najwyraźniej szczerze nienawidzą chrześcijaństwa, w którym dopatrują się przyczyny złego położenia kobiet i katastrof ekologicznych

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4708cd516e

1522. Sulejman pod Rodos

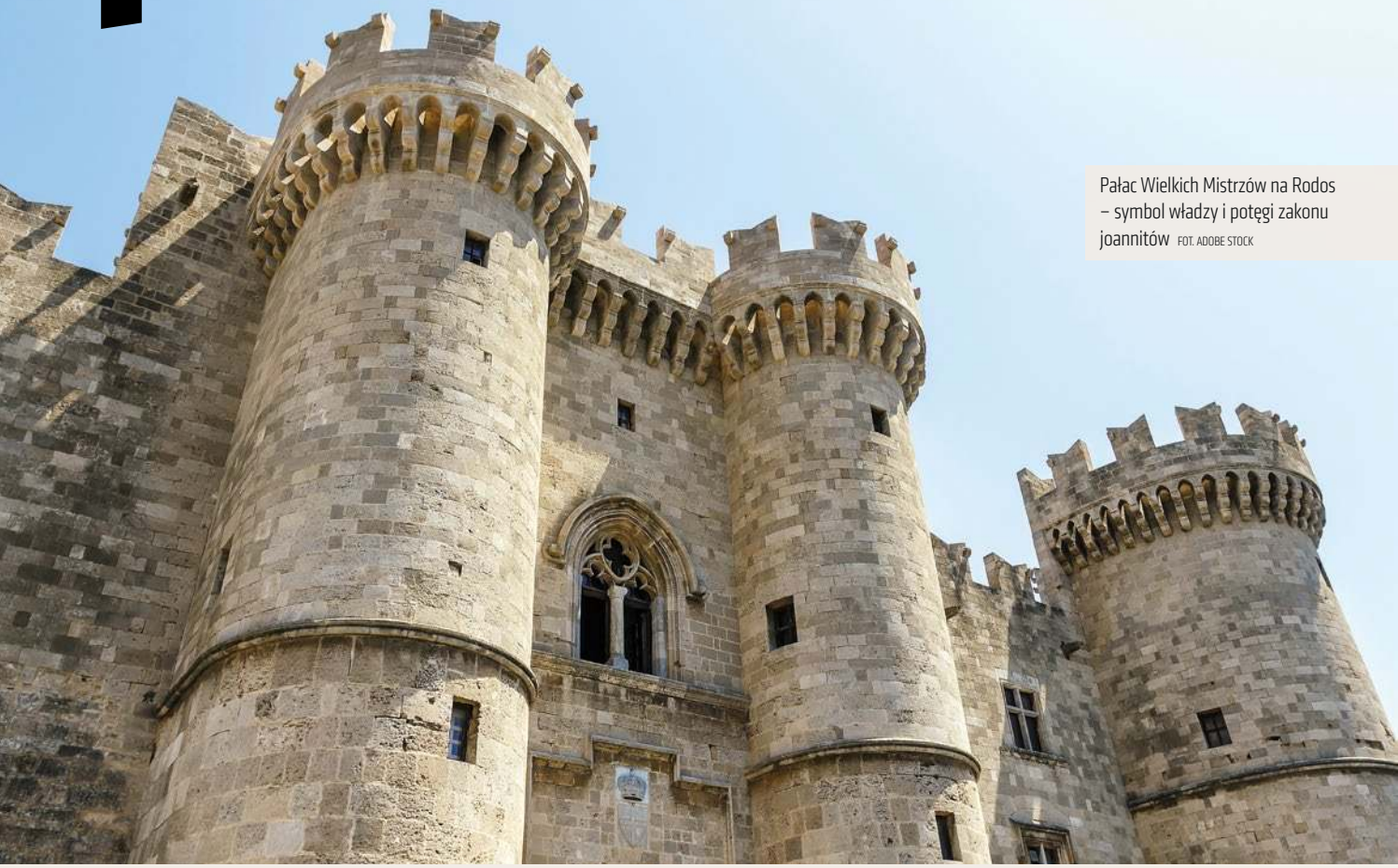

Pałac Wielkich Mistrzów na Rodos – symbol władzy i potęgi zakonu joannitów FOT. ADOBE STOCK

Maciej Rosalak

Dokładnie 500 lat temu sułtan turecki Sulejman Wspaniały oblegał Rodos. Heroiczna obrona joannitów i ogromne straty Turków kazały mu po pół roku zgodzić się na honorowe odejście braci rycerzy z bronią i rozwiniętymi sztandarami...

Okrągła rocznica historycznego wydarzenia (przypadająca, można powiedzieć, raz na pół tysiąclecia) zbiegła się akurat ze wznowieniem w kwietniu br. kostiumowego serialu tureckiego „Wspaniałe stulecie". W tym stukilkudziesięcioodcinkowym obrazie przedstawia się – obok haremowych intryg żony sułtana Hürrem (wcześniej porwanej przez Tatarów na naszej Rusi

eprasa.pl 4708cd516e

niewolnicy Sulejmana Wspaniałego) – także wspomnianą batalię. W zarysie nawet dość zgodnie z faktami. Ale oblężenie Rodos stanowi też bardzo istotny moment w historii – zwłaszcza basenu śródziemnomorskiego, który stał się areną bezlitosnej agresji Turków osmańskich.

Tak się złożyło, że na początku XIV w. – gdy joannici zajęli Rodos (1309) – tureckim sułtanem został Osman I. Stworzył on słynną dynastię i rozbójnicze państwo, które żyło kosztem podbijanych ludów. Łupem padały włości Bizancjum i innych krajów chrześcijańskich, m.in. cała Azja Mniejsza (Anatolia) i część Bałkanów (Rumelia). Prawosławna Serbia została pokonana w dwóch bitwach na Kosowym Polu (lata 1389 i 1448), a następnie zhołdowana i wreszcie całkiem ujarzmiona. Wśród potomków Osmana I dwaj wysuwają się na plan pierwszy.

Najpierw Mehmed II. Przydomkiem Zdobywca ów syn Murada II, zwycięzcy spod Warny (1444), został obdarzony po swym największym triumfie, czyli zdobyciu w 1453 r. Konstantynopola. Tureckie przygotowania i przeprowadzenie tej operacji znamionował najwyższy kunszt wojenny, aczkolwiek wyludnione i pozostawione bez skutecznej pomocy miasto nie przypominało dawnej twierdzy, od której murów odbijały się w ciągu stuleci szturmy wielu najeźdźców. Ale 21-letni sułtan, który przyniósł kres ponadtysiącletniemu trwaniu cesarstwa rzymskiego na Wschodzie, trzy lata później Belgradu zdobyć jakoś nie zdołał. Ranny w udo, uciekał stamtąd w popłochu wraz z pozostałymi przy życiu janczarami przed kontratakiem inkwizytora Jana Kapistrana i węgierskiego wodza Jana Hunyadyego. Każdy z tych dwóch zasługiwałby na przyznawany przez papieży od 1521 r. tytuł obrońcy wiary (fidei defensor), podobnie jak albański bohater, książę katolicki Skanderbeg, który bitwę z Mehmedem II wygrał w 1468 r.

Jednak zdecydowana większość batalii owego sułtana kończyła się jego zwycięstwami i podbojami kolejnych ziem. Zwyciężał na śródziemnomorskich wyspach i wybrzeżach, walcząc m.in. z Wenecją i Genuą, ostatecznie pokonał Serbię, zdobył Bośnię, Trapezunt nad Morzem Czarnym, Wołoszczyznę, Albanię i Mołdawię, na Krymie uzależnił chanat tatarski i Kaffę (Teodozję). Pokonał federację mongolskich i tureckich plemion Ak Kojunlu na rozległych obszarach Bliskiego Wschodu i centralnej Azji. Zajmował Otranto na samej podkówce włoskiego buta, najeżdżał nawet Styrię i Karyntię w południowej Austrii.

Mehmed II Zdobywca na obrazie P. Veronesego FOT. DOMENA PUBLICZNA

Podczas swego 30-letniego panowania nie tylko wojował, lecz także położył solidne podwaliny pod dalszy rozwój imperium osmańskiego, wzmocnił i uporządkował regularną armię turecką (z janczarami i spahisami) oraz kodeks prawny, a także ustanowił zasady funkcjonowania administracji oraz handlu. Ale też on, gdy tylko został po śmierci ojca (1451) sułtanem, utrwalił makabryczną tradycję swej dynastii, mordując – w trosce o zachowanie tronu – wszystkich braci i ich żony. Pozostawił państwo o powierzchni ponad 2,2 mln km kw. Pochowany został w meczecie Fatih (Zdobywca) wzniesionym po zdobyciu Stambułu. Na swym grobowcu kazał napisać: „Zamierzałem podbić Rodos i podporządkować sobie Italię".

ZAKON ŚW. JANA CHRZCICIELA

Za „odwiecznego wroga" to stale rosnące imperium uznało pozornie niewiele znaczący zakon, który zuchwale trwał tuż pod jego bokiem. Joannici wywodzili się z bractwa szpitalnego pw. św. Jana Chrzciciela, powołanego w Amalfi (południowa Kampania) w XI w. i sprowadzonego po zdobyciu Jerozolimy przez krzyżowców (1099) dla zapewnienia opieki i ochrony pielgrzymom wędrującym do Ziemi Świętej. W 1113 r. papież Paschalis II oficjalnie uznał ich zakon, do którego przyjmowano szlachetnie urodzonych rycerzy wszystkich nacji.

Podobnie czynili templariusze – w przeciwieństwie do wyłącznie teutońskiego zakonu krzyżackiego. Joannici

eprasa.pl 4708cd516e

dzielili się na osiem grup narodowo-językowych, zwanych Langua: z Prowansji, Owernii, Francji, Anglii, Włoch, Niemiec, Aragonii i Kastylii. Grupy te podczas oblężeń tworzyły osobne oddziały, które współzawodniczyły między sobą męstwem i sprawnością bojową. W zakonie dominował język francuski, a wielkimi mistrzami obierano też przeważnie Francuzów. Na Bliskim Wschodzie joannici stali się znakomitymi budowniczymi i organizatorami systemu warowni-szpitali. Zwraca uwagę ich twierdza Margat blisko wybrzeża śródziemnomorskiego oraz położony również w Syrii, do dziś budzący podziw zamek Krak des Chevaliers. Oparli się w nim samemu Saladynowi po rozgromieniu przezeń armii Królestwa Jerozolimskiego pod Hittin (1187).

Po upadku Akki (1291) joannici przenieśli się na Cypr razem z templariuszami, którzy odkupili tę wyspę od angielskiego króla Ryszarda Lwie Serce. Po rozwiązaniu zakonu templariuszy na początku XIV w. papież Klemens V przekazał ich majątek joannitom. Takie wzmocnienie przydało się ich wielkiemu mistrzowi Fulko de Villaretowi, który akurat ujarzmiał bizantyjską wyspę Rodos. Leży ona 20 km od wybrzeża Azji Mniejszej, wśród 12 wysp archipelagu Dodekanezów na południowym wschodzie akwenu śródziemnomorskiego

Po jej spacyfikowaniu (1309) joannici – zwani teraz kawalerami rodyjskimi – z wielką znajomością rzeczy ufortyfikowali wiele miast, ze stołecznym portem (również o nazwie Rodos) na czele. Nad miastem górował potężny zamek zakonu, a wejścia do portu strzegły wieże i zagradzał je podwójny łańcuch. Rycerze do walki zakładali na zbroje czerwone tuniki z białym krzyżem, a podczas przerw w starciach czarne płaszcze z białym krzyżem naszytym po lewej stronie okrycia, co zatwierdził w 1259 r. papież Aleksander IV. Natomiast znana do dziś forma tzw. krzyża maltańskiego stosowana jest od wieku XVI.

Po opuszczeniu Ziemi Świętej rycerze przesiedli się z koni na żaglowo-wiosłowe galery, na których staczali regularne bitwy morskie na Morzu Egejskim, jak np. koło wyspy Chios w 1319 r. Napędem galer były przede wszystkim wielkie i ciężkie wiosła – w jednym rzędzie po 20–26 na jedną burtę – poruszane siłą kilku wioślarzy każde. Aby statek rozwijał jak największą prędkość, był niezwykle smukły; w proporcjach szerokości do długości nawet jak 1:9. Dodatkowy napęd dawały łacińskie żagle na ukośnych rejach. Atakował zwykle okutym taranem, który łamał wiosła jednostek przeciwnika i wbijał się w ich burty, aby na unieruchomione łatwiej mogli się przedostać odziani w kolczugi, zbrojni w miecze i włócznie rycerze, wiodący żołnierzy krzyżowców (zwykle turkopolów – miejscowych potomków chrześcijan). Na dziobach galer ustawiano po kilka dział.

W XV w. we flotach europejskich pojawiły się żaglowce o wysokich kasztelach na dziobie i na rufie, z dwoma lub trzema masztami. Kolumb przepłynął Atlantyk (1492) na trzymasztowej karace „Santa Maria", mającej dwa pierwsze maszty z ożaglowaniem rejowym (fokmaszt i grotmaszt), a ostatni (bezanmaszt) z ożaglowaniem łacińskim. Towarzyszyły mu mniejsze karawele „Niña" i „Pinta" z ożaglowaniem wyłącznie łacińskim, ułatwiającym żeglowanie pod wiatr. A joannici po opuszczeniu Rodos przybyli na Maltę (1530) pośrodku Morza Śródziemnego, na czterech okrętach z flagową karaką „Santa Anna", zamówioną w Nicei jeszcze w 1522 r., o wyporności 1,7 tys. ton, pokrytą częściowo ołowianymi płytami. Karaki przekształciły się z czasem w wielkie galeony z rzędami dział na burtach.

Na Malcie zakon pozostanie niepokonany i w każdym miejscu i o każdej porze będzie atakował osmańskie i berberyjskie statki oraz ich porty. Na chwałę oręża braci rycerzy – tego przedmurza chrześcijaństwa opartego na twierdzach i okrętach – składają się głównie, ale bynajmniej nie wyłącznie: obrona Rodos (1480, 1522); obrona Malty (1565); współudział w pokonaniu floty osmańskiej pod Lepanto (1571) w ramach Ligi Świętej. To w tamtej epoce zakon otrzymał od papieża znaną obecnie, oficjalną nazwę: Suwerenny Rycerski Zakon Szpitalników św. Jana, z Jerozolimy, z Rodos i z Malty.

RODOS 1480

Osmańskie okręty i armię Mehmed II wysłał ku Rodos w 1480 r. Dowodził nimi wezyr Mesih Pasza z rodziny ostatniego cesarza bizantyjskiego. Schwytany, przyjął islam i jako admirał floty wyróżnił się podczas oblężenia weneckiego portu Negrepont na Peloponezie. Na ponad 100 (niektóre źródła podają 150) okrętach płynęło w końcu maja 1480 r. zapewne kilkanaście tysięcy zbrojnych, w tym 3 tys. janczarów. Co prawda, wielki mistrz joannitów Pierre d'Aubusson pisał o 70 tys. tureckich żołnierzy, ale historycy tego nie potwierdzają. D'Aubusson natomiast miał pod komendą od 3,5 do 5 tys. ludzi, więc przytłaczająca przewaga była tak czy tak po stronie napastników.

Oblężenie zaczęło się od intensywnego ostrzału tureckiej artylerii okrętowej. Następnie Turcy przeprowadzili dwa desanty, których celem było zdobycie wieży portowej Saint-Nicolas, której posiadanie pozwoliłoby na uniemożliwienie wpłynięcia do portu chrześcijańskich okrętów i pozbawienie obrońców dostaw żywności i broni oraz przybycia ewentualnej odsieczy. Gdy nocny szturm z 8 na 9 czerwca się nie powiódł, Mesih Pasza nakazał jego powtórzenie 18 czerwca za dnia. Obydwa ataki zaciekle walczący chrześcijanie odparli.

W lipcu – znów po bombardowaniu artyleryjskim – Turcy skupili się na atakowaniu wschodniego odcinka bronionego przez Langua włoską. Wbrew ich nadziejom na zniszczenie murów przez działa w stopniu wystarczającym na wtargnięcie do miasta joannici wraz ludnością zdążyli pogłębić fosę i naprawić umocnienia. Następnie walczyli zaciekle i znów zadali wrogom dotkliwe straty. Najbardziej niebezpieczny okazał się generalny szturm przeprowadzony na tym samym odcinku 27 lipca. Dwa i pół tysiąca janczarów szło na czele atakujących Turków. Zdobyli wieżę stanowiącą węzłowy punkt odcinka włoskiego i miasto stanęłoby przed nimi otworem, gdyby nie kontratak prowadzony przez samego wielkiego mistrza.

D'Aubusson się nie oszczędzał, został pięciokrotnie ranny, ale po trzech godzinach zaciekłej walki koło murów leżały zwały trupów nieprzyjaciół. Odparcie szturmu nie wystarczyło joannitom. Z furią ruszyli w pogoń za ocalałymi resztkami wycofujących się wrogów i wtargnęli do ich obozu. Mesih Pasza bezskutecznie starał się uporządkować obronę i wkrótce sam się wycofał. W namiocie wezyra rycerze zakonni zdobyli sztandar islamu. Poniesione straty, ale zapewne jeszcze bardziej upadek ducha nielicznych, pozostałych przy życiu i zdrowiu Turków sprawiły, że 18 sierpnia flota osmańska ruszyła z powrotem na wschód, wioząc niedobitki armii i ciężko wystraszonego wezyra. Stracił co prawda stanowisko, lecz zachował na karku głowę, chociaż Mehmed II był wściekły. Przysiągł sobie, że rozprawi się z bezczelną wyspą, ale

eprasa.pl 4708cd516e

nie zdążył. Zmarł 3 maja 1481 r., w czasie przygotowań do wyprawy na Egipt.

RODOS 1522

Podbić Rodos udało się dopiero Sulejmanowi Wspaniałemu po 42 latach od śmierci Mehmeda II Zdobywcy i po ok. 80 po dwóch nieudanych próbach mameluków (lata 1440 i 1444). W czerwcu 1522 r. sułtan wysłał przeciw joannitom ok. 300 statków, które przywiozły ze Stambułu ogromną 160-tysięczną armię. Samych janczarów było 10 tys. Oblężeniem dowodził wezyr Mustafa Pasza, ale najważniejsze decyzje podejmował Sulejman, który już wkrótce (w końcu czerwca lub w połowie lipca) we własnej osobie przybył pod Rodos.

W tym czasie janczarowie – chłopcy zabierani chrześcijańskim rodzicom, pod przymusem nawracani na islam i hodowani od lat dziecięcych lub młodzieńczych na zawodowych fanatycznych żołnierzy – byli świetnie wyćwiczeni i wierni sułtanowi po grób. Uzbrojeni w spisy i bułaty (szable wschodnie o zakrzywionych i rozszerzonych przy końcu głowniach), sztylety oraz nieco dłuższe jatagany, jako broni strzeleckiej używali jeszcze na ogół łuków, ale w ciągu XVI w. zastąpią je muszkietami. Byli śmiertelnie groźni i okrutni. Nie ustępowali im spahisi, jakby osmańscy rycerze – konnica złożona z sułtańskich lenników. W misiurkach, kolczugach, z włóczniami i szablami, często już z pistoletami kołowymi przypominała staropolskich towarzyszy pancernych (a właściwie to oni ją przypominali…).

Oblężenie polegało na niemal ciągłym ostrzale potrójnego pasa umocnień miasta twierdzy z dział na okrętach i na lądzie, a także na uporczywym drążeniu tuneli pod murami i wieżami Rodos oraz zakładaniu przez górników-minerów potężnych ładunków wybuchowych. Joannici opanowali jednak dzięki Wenecjaninowi Gabrielowi Tadini di Martinengo działania kontrminerskie, które kończyły się zwykle upiorną walką na śmierć i życie w podziemnych korytarzach. Linię obrony podzielono na kilka odcinków, powierzając je poszczególnym Langua. Od północnego zachodu miasta bronili rycerze francuscy, dalej znajdowali się Niemcy, Hiszpanie, Anglicy i Prowansalczycy. Południowo-wschodniego odcinka obrony strzegli Włosi. Łącznie w mieście znajdować się miało wojsko zakonu rycerskiego w sile kilku tysięcy ludzi.

W miarę upływu czasu armatnie kule coraz dotkliwiej dawały się we znaki obrońcom, zabijając i raniąc ich oraz w nie mniejszym stopniu mieszkańców, burząc mury, na które tygodniami usiłowali się wedrzeć Turcy. Padało ich znacznie więcej niż chrześcijan, ale miejsce zabitych i rannych ciągle zastępowali nowi.

Serial „Wspaniałe stulecie" dramatycznie maluje bieg wydarzeń, z trafieniem okrętu mężnego sułtana włącznie, ale i joannici – a zwłaszcza wielki mistrz Filip de Villiers de L'Isle Adam – przedstawieni są jako ludzie odważni i rycerscy. Do chlubnego obrazu braci rycerzy wyraźnie nie pasuje kanclerz zakonu, który potajemnie wysłał sługę do obozu wroga ze zdradziecką propozycją. Nic z tego nie wyszło, sprawa się wydała, a winowajców

Oblężenie Rodos w 1522 r. na tureckiej miniaturze FOT. DOMENA PUBLICZNA

stracono. Afera wydarzyła się pod koniec października, po czterech miesiącach zażartych walk, a miesiąc po wielkim szturmie z udziałem janczarów, który 24 września omal nie skończył się powodzeniem. Skończył się jednak wyjątkowo dużymi stratami tureckimi. Zwały trupów zaległy fosy, a sułtan odwołał Mustafę Paszę ze stanowiska, powierzając je dowódcy janczarów Ahmedowi Paszy.

Uszczerbek poniesiony przez obrońców stawał się już alarmujący. W listopadzie zawaliły się kolejne wieże – najpierw 14 listopada na odcinku hiszpańskim, a rychło potem na następnych: aragońskim, angielskim, prowansalskim i włoskim. Wielki mistrz Filip de Villiers nie zamierzał się poddawać, ale w końcu uległ argumentom fachowców – wspomnianego Gabriela Tadiniego oraz admirała francuskiego Prégenta de Bidoux, którzy nie widzieli szans dalszej obrony – i nawiązał rozmowy o kapitulacji. Turkom też zależało na zakończeniu kampanii: połowa armii leżała zabita lub poraniona, a resztę dręczyła epidemia czerwonki.

22 grudnia 1522 r. zawarto umowę o kapitulacji. Wszyscy bracia zakonni z honorami opuścili miasto, podobnie jak kilka tysięcy Rodyjczyków, którzy wyrazili na to ochotę. Za to zrezygnowali z całego archipelagu Dodekanezów. Stało się to 1 stycznia 1523 r.

TUŁACZKA JOANNITÓW

Siedem lat joannici tułali się po Morzu Śródziemnym od przystani do przystani, aż cesarz Karol V pozwolił im osiedlić się na skalistej Malcie. Tam kawalerowie (już) maltańscy zbudowali port z twierdzą niewiele gorszą od rodyjskiej, a ich flota znów atakowała statki osmańskie i berberyjskie, dotkliwie dając się we znaki muzułmańskiemu transportowi do i z Afryki Północnej oraz biorąc udział w licznych bitwach morskich i atakach na portowe miasta. A Turcy ze swej strony nie rezygnowali ze śródziemnomorskiej ekspansji. Akwen spływał krwią, płomienie trawiły porty, wraki galer, karak i galeonów zaściełały morskie dno, tysiące jeńców uczyniono niewolnikami, często jako wioślarzy na galerach. Do historii przeszli berberyjski pirat i osmański admirał Hayreddin Barbarossa (1478–1546) oraz genueński admirał na usługach cesarza Andrea Doria (1466–1560).

W końcu Sulejman Wspaniały postanowił ostatecznie rozprawić się z joannitami i wysłał kilkudziesięciotysięczną armię na Maltę w 1565 r. Po kilkumiesięcznym oblężeniu resztki Turków odpłynęły z kwitkiem po heroicznej obronie braci rycerzy dowodzonych przez wielkiego mistrza Jeana de la Valette. Batalię tę owiała legenda. „Nie ma nic słynniejszego nad oblężenie Malty" napisał po 200 latach Voltaire. A obok historycznej twierdzy Birgu wyrosło miasto nazwane Valetta. Niestety, wielki obrońca wyspy tego nie dożył (umarł w 1568 r.) ani też pogromu floty osmańskiej w 1571 r. pod Lepanto. Sulejman zaś sam chciał zbrojnie wyprawić się na Maltę, ale umarł jeszcze wcześniej, bo w 1566 r., przeżywszy 72 lata.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4708cd516e

LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Gomułka patriotą?

W szeregu właścicieli Polski Ludowej (czyli genseków KC PPR/PZPR) w szczególny sposób wyróżnia się dwóch: tow. Władysława Gomułkę i tow. Edwarda Gierka. Obaj coraz częściej charakteryzowani są jako wprawdzie komuniści, ale… polscy patrioci. Czy słusznie?

Gomułka był przed wojną poślednim funkcjonariuszem (funkiem) Komunistycznej Partii Polski. Gdyby nie nadzwyczajne okoliczności (czyli depopulacja tej formacji przez Stalina po 1937 r. oraz wydarzenia drugiej wojny światowej), takim zapewne by pozostał. Ale stało się.

Po wewnętrznych, niezwykle krwawych rozgrywkach w ramach PPR w latach 1942–1943 stał się niespodziewanie czołową postacią kompartii działającej w konspiracji. Nagle stał się wojennym przywódcą niewielkiej liczebnie, ale ważnej organizacji, która była agenturą sowieckiej Międzynarodówki. Miał ku temu predyspozycje – w latach 1934–1935 był uczestnikiem specjalistycznych szkoleń (nie tylko politycznych, lecz także wojskowych i szpiegowskich) w tzw. Międzynarodowej Szkole Leninowskiej w Moskwie. Zarejestrowany był tam jako „Kowalski".

PPR szykowana była przez Sowietów przede wszystkim do objęcia politycznej władzy w Polsce, w ramach zdominowanej wkrótce przez nich Europie Środkowej i Wschodniej. Już wówczas tworzono legendę, że tylko PPR i jej bojówki GL-AL walczą z Niemcami, a formacje niepodległościowe to agentury rodzimej reakcji, kapitalistów anglo-amerykańskich i niemieckich okupantów. Po zdobyciu przez komunistów władzy PPR i GL-AL stały się… stutysięczną formacją, która prawie samodzielnie wygrała drugą wojnę światową.

Gomułka miał dwie epoki swego panowania w Polsce: 1944–1948 oraz 1956–1970. Nas interesuje tu ta pierwsza, czyli tzw. walka o ustanowienie i utrwalenie władzy ludowej. Była ona niezwykle krwawa, a to przecież gensek Gomułka jest jej symbolem. W wyniku krwawej rozprawy z podziemiem niepodległościowym (Żołnierze Wyklęci) śmierć poniosło co najmniej kilkadziesiąt tysięcy ludzi. Straciliśmy wówczas ogromną część resztek elity intelektualnej, politycznej i wojskowej, które zdołały przetrwać okres wojny. Setki tysięcy ludzi trafiły do aresztów i więzień i po 1944 r. nastąpiły nowe fale wywózek Polaków do ZSRS.

Gomułka brutalnie rozprawił się również z opozycją polityczną: Polskim Stronnictwem Ludowym i Stronnictwem Pracy (zachowując agenturalne od początku Stronnictwo Demokratyczne), tworząc komunistyczny „pluralizm" jako parodię wielonurtowej demokracji.

Druga faza jego władzy („popaździernikowa") nie była już tak krwawa, ale tylko dlatego, że nie było takiej potrzeby. „Wrogowie ludu" byli unicestwieni, społeczeństwo spacyfikowane, pośpiesznie rosły szeregi komunistycznych wydwiżeńców, czyli „awansu społecznego". ©℗

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Wielka miłość Aleksandra Fredry

Komediopisarz poznał Zofię Jabłonowską, gdy była żoną jednego z najbogatszych ludzi w Galicji, hr. Stanisława Skarbka. Małżonek był od niej starszy o 18 lat, Zofia w chwili ślubu miała zaledwie 15 lat. Związek uchodził za wyjątkowo nieudany, a główną przyczyną takiego stanu rzeczy był fakt, że w tym czasie pan hrabia zajmował się głównie traceniem majątku.

Nie wiadomo jednak, jak potoczyłyby się losy małżeństwa, gdyby Zofia nie spotkała Aleksandra Fredry. Było to we Lwowie w 1817 r., według legendy miała to być miłość od pierwszego wejrzenia. Trochę jednak inną relację przedstawił na ten temat brat Zofii, twierdząc, że Fredro, uchodzący wówczas za wyjątkowego playboya, założył się z przyjaciółmi, że „do sześciu miesięcy Skarbkowi czoło uwieńczy". Okazało się jednak, że uczynienie hrabiego rogaczem wcale nie było takie łatwe, a co gorsza, Fredro zakochał się w Zofii.

Miał wówczas 25 lat i za sobą piękną kartę w armii Księstwa Warszawskiego i wojskach napoleońskich. Po klęsce Napoleona powrócił w rodzinne strony i „szalał" towarzysko we Lwowie. Był człowiekiem pełnym radości życia i raczej mało pruderyjnym, co sam przyznawał po latach.

„W latach szalonej młodości – informował jednego z przyjaciół – napisałem dwa dzieła, które wiem, żeby były w Twoim guście: jedno »Sztuka jebania«, poemat w IV pieśniach, do 800 wierszy, drugie »Piczomira, królowa Branlomanii«, tragedia w 3 aktach wierszem".

Oficjalna „fredrologia" niechętnie przyznaje się do tych utworów, chociaż były wydawane drukiem („Sztuka jebania" jako „Sztuka obłapiania"). Michalina Wisłocka wspominała, że gdy chciała się zapoznać z nimi w Bibliotece Narodowej, to wprawdzie po długiej dyskusji wydano jej zamówione pozycje, ale „niemal na łańcuchu" i przez cały czas obsługa obserwowała ją jak groźnego zboczeńca…

Nie zmienia to faktu, że pisarz miłość do Zofii traktował bardzo poważnie. Skoro miała być jego kobietą życia, to zadbał przede wszystkim o zdrowie i wyjechał do Karlsbadu, by wyleczyć chorobę weneryczną. Kuracja zakończyła się sukcesem, a Fredro przystąpił do zdobywania ukochanej. Zofia była mu przychylna, Skarbek interesował się głównie wydawaniem pieniędzy, natomiast prawdziwe problemy stwarzali Jabłonowscy. Szczególnie matka Zofii, Maria, która była „babą dumną snadź jak sam stolnik Horeszko, broniącą się zębami i pazurami" przed mezaliansem, jakim miało być małżeństwo córki z Fredrą. Ostatecznie zakochani pobrali się 8 listopada 1828 r., po 11 latach (!) walki z rodziną Zofii. Ale kulisy tego wydarzenia to materiał na kolejny felieton… ©℗

eprasa.pl 4708cd516e

REPUBLIKA
OKO
na niedzielę
nowy program
w Telewizji Republika
sobota
premiera
22:00
niedziela
powtórka
14:50
zaprasza
ks. prof. Dariusz Oko
RepublikaTV
@RepublikaTV
Telewizja Republika
@RepublikaTV
Telewizję Republika odbierać można drogą satelitarną oraz poprzez dostępną telewizję naziemną
w województwie śląskim i okolicach. Dostępna jest również dla odbiorców korzystających
z nadajnika MUX w Katowicach i okolicach, a także w internecie na stronie www.tvrepublika.pl.

Maciej Pieczyński

Putin

Ramzan Kadyrow to postrach wrogów Kremla i pośmiewisko Internetu w jednej osobie. Krwawy dyktator, islamski fundamentalista, niespełniony poeta i pochlebca Putina. Wódz tiktokowej armii

FOT. MUSA SADULAYEV/AP/EAST NEWS

Pełnowymiarowa inwazja na Ukrainę zburzyła wiele mitów związanych z potęgą Rosji. Bodaj najbardziej dotkliwy był upadek wizerunkowy kadyrowców i ich przywódcy. Przed 24 lutego z reguły postrzegani byli jako elitarni, okrutni, sprawni w boju janczarzy Putina. Porównanie nieprzypadkowe. Mowa przecież o radykalnych muzułmanach. Do tego, podobnie jak janczarzy, rekrutowanych spośród ludności terenów podbitych. Bo przecież Czeczenia jest rosyjską kolonią, a Kadyrow – wszechmocnym, ale jednak namiestnikiem z nadania Moskwy. Po 24 lutego on i jego ludzie stali się bodaj najczęstszym obiektem żartów ze strony Ukraińców, a zatem i szeroko rozumianego Zachodu.

Mianem kadyrowców określa się stacjonujące w Czeczenii oddziały wojsk wewnętrznych, formalnie podlegające Gwardii Narodowej Federacji Rosyjskiej (tzw. Rosgwardii), w praktyce całkowicie podległe rozkazom Ramzana Kadyrowa. Owiani złą sławą, mieli siać przerażenie w szeregach Ukraińców. Jak się okazało, czarny PR był jedyną groźną bronią w ich arsenale. Czeczeński pułk „Północ" został rozbity podczas walk o lotnisko Hostomel. Kadyrowcy zasłynęli głównie z aktywności w mediach społecznościowych. Zamiast podbojem Ukrainy zajmowali się publikacją w Internecie nagrań z frontu. Często były to grubymi nićmi szyte inscenizacje. Kadyrowcy strzelali w powietrze lub do znaków drogowych, pozorując walkę. Jeden z czeczeńskich bojówkarzy zginął podczas nagrywania filmiku na TikToku – nie zauważył nadlatującego pocisku. Internauci na żywo obejrzeli jego śmierć. Kadyrowcy zostali okrzyknięci „tiktokowym wojskiem". Ośmieszał się również ich wódz. Rosyjskie media obiegło zdjęcie mające być dowodem, że Kadyrow ramię w ramię ze swoimi ludźmi maszeruje już na Kijów. Problem w tym, że fotografię wykonano na stacji benzynowej Rosnieftu, który na Ukrainie nie ma swoich obiektów. Kiedy indziej Kadyrow zagroził Zachodowi zemstą, jeśli nie zniesie nałożonych na Rosję sankcji do… 31 marca.

DYKTATOR I POETA

Szef Republiki Czeczenii, podobnie jak jego podwładni, jest niezwykle aktywny w mediach społecznościowych. Internautom czyta czasem… swoje wiersze. Takie jak ten: „Ukraino, Ukraino, w czymże podstęp tkwi? Jesteś piękna i naiwna, na ruinach epok stoisz ty. Teraz twoim losem kierują ci, co Tarasa Bulbę spalili na stosie" [Tarasa Bulbę, czyli hetmana kozackiego z powieści Gogola, zabili Polacy; tu chodzi generalnie o Zachód – przyp. M.P.]. W innym wierszu groził „banderowcom", że ich wyśle na Sołowki (na Wyspy Sołowieckie – tam powstał pierwszy sowiecki łagier), jednocześnie komentując żarty na swój temat. Kadyrow w swoich wypowiedziach po rosyjsku nadużywa słowa „don", które jest czeczeńskim odpowiednikiem zwrotu „znaczy się". Brzmi to komicznie i jest powodem do kpin. Dlatego nazywany jest „Don-donem". „Nie podoba się artystom mój wielki i potężny »don«, pouciekają jak szczury – Gonczarenko i Gordon [doradca szefa MSW Ukrainy oraz znany ukraiński dziennikarz – przyp. red.], uciekajcie do waszych Lachów, za zbawienną granicę, nauczę was, mucha-blacha [coś w stylu motyla noga – przyp. red.] cudnej piosnki – din-don! [czyli ding-dong – przyp. red.]".

Ukraińska propaganda wojenna, nagłaśniając porażki na froncie i wpadki Kadyrowa oraz jego ludzi, robi z nich bandę nieudaczników. Jednak czeczeńskiego dyktatora nie należy lekceważyć. Od prawie dwóch dekad trzęsie nie tylko swoją republiką, lecz także całą Rosją. Jako jeden z niewielu przedstawicieli kremlowskiej elity otwarcie krytykuje przebieg „specoperacji". Nie uderza w Putina, ale w poszczególnych dowódców. „Gdyby to ode mnie zależało, zdegradowałbym go i wysłał na front jako szeregowego" – tak mówił o gen. Aleksandrze Lapinie, dowódcy armii „Centrum". Nazwał go „beztalenciem", które niesłusznie cieszy się poparciem sztabu generalnego. Niedługo potem Lapin stracił stanowisko.

Kadyrow przyjaźni się z szefem Rosgwardii gen. Wiktorem Zołotowem, blisko współpracuje z założycielem Grupy Wagnera Jewgienijem Prigożynem. Głośno opowiada się za eskalacją, w tym przy użyciu broni jądrowej. Narzeka, że Moskwa słabo odpowiada Ukraińcom, którzy ostrzeliwują terytoria okupowane przez wojska rosyjskie. „Jeśli przyleciał pocisk w naszą stronę, na nasze terytorium, to należy zetrzeć z powierzchni ziemi miasta (po stronie ukraińskiej), tak aby widać było daleki horyzont, żeby oni (Ukraińcy) zrozumieli, że nie mają prawa nawet pomyśleć o tym, by strzelać w naszą stronę" – grzmiał w jednym z nagrań w Internecie.

BANDYTA PRZEJMUJE STERY

Gdy w 1991 r. rozpadał się Związek Sowiecki, a kolejne republiki ogłaszały deklarację niepodległości, próbę wyrwania się spod zwierzchności Moskwy podjęła również Czeczenia. Federacja Rosyjska nie miała zamiaru na to pozwolić.

eprasa.pl 4708cd516e

Pierwsza wojna czeczeńska zakończyła się jednak klęską Kremla. Słaby Borys Jelcyn nie potrafił spacyfikować separatystycznych zapędów. Dokonał tego dopiero jego Putin. Nie udałoby się to jednak, gdyby nie zdrajcy w szeregach wroga. Achmat Kadyrow w połowie lat 90. był jednym z przywódców ruchu separatystycznego i apelował do swoich rodaków, by zabijali tylu Rosjan, ilu zdołają. Kilka lat później zmienił front, ułatwiając Putinowi podbój zbuntowanej republiki, po czym, z nadania Kremla, stanął na jej czele. 9 maja 2004 r., podczas obchodów Dnia Zwycięstwa na stadionie w Groznym, zginął w zamachu bombowym zorganizowanym przez czeczeńskich separatystów. Jeszcze tego samego dnia syn Achmata, Ramzan, został przyjęty na Kremlu przez samego Putina. Ubrany w ortalionowy dres 28-latek z niepewnym wyrazem twarzy na zdjęciu z władcą Rosji nie wyglądał wtedy jeszcze jak postrach wrogów Moskwy. Ale to pozory. Kadyrow junior kierował ochroną ojca i brutalnie rozprawiał się z jego przeciwnikami. Osobiście ich bił, torturował i zabijał. Tak przynajmniej twierdzą dziennikarze śledczy i obrońcy praw człowieka. Dowody na to zbierała Anna Politkowska. Zginęła, wszystko na to wskazuje, z rąk kadyrowców.

Po śmierci ojca Ramzan Kadyrow został kolejno wicepremierem, premierem, prezydentem, by w końcu nadać sobie tytuł szefa Republiki Czeczeńskiej. Podobnie jak ojciec w latach 90. walczył z Rosjanami, by potem przejść na ich stronę. Podporządkował Czeczenię Moskwie i ostatecznie rozprawił się z ruchem separatystycznym. Niepodległości nie oddał jednak za darmo. Czeczenia cieszy się w zasadzie nieograniczoną autonomią. W praktyce nie może jedynie prowadzić samodzielnej polityki zagranicznej.

Ponadto władza Kadyrowa w pewnym sensie wychodzi poza granice Czeczenii. Jego ludzie wykonują mokrą robotę dla swojego wodza i dla samego Putina na terenie całej Rosji. I są bezkarni, bo Kadyrow cieszy się bezpośrednią protekcją władcy Kremla. Jego pozycję można porównać z pozycją szefów służb specjalnych. Nawet rosyjscy policjanci żalą się obrońcom praw człowieka na bezkarność kadyrowców. A w samej Czeczenii cieszy się władzą absolutną. Nawet służby federalne nie mają tutaj wiele do powiedzenia.

W Czeczenii nieformalnie obowiązuje prawo szariatu, sprzeczne z rosyjskim ustawodawstwem. Państwo w państwie. Kadyrow odbył pielgrzymkę do Mekki, buduje meczety w całej Rosji, podróżuje po krajach islamskich, promuje m.in. wielożeństwo i abstynencję. Spacyfikował nie tylko ruch niepodległościowy, lecz także związany z nim terroryzm islamski. Współpraca z ISIS była surowo karana. Czeczeni są narodem bardzo konserwatywnym, więc quasi-wyznaniowy islamski autorytaryzm okazał się akceptowalną społecznie rekompensatą za pozostanie w granicach Rosji.

Kadyrow przy każdej okazji akcentuje swoje przywiązanie do rodzimych tradycji. W Internecie można znaleźć mnóstwo nagrań, na których szef republiki tańczy lezginkę – ludowy taniec muzułmańskich ludów Kaukazu. Islamski fundamentalizm kadyrowców widoczny jest również w kontekście wojny na Ukrainie. Kadyrow głosi, że jego ludzie walczą nie tylko z nazistami, lecz także z szajtanami (szajtan – jedno z imion szatana w islamie). Na gruzach zdobytego Mariupola czeczeńscy gwardziści triumfalnie skandowali do kamery muzułmańskie wyznanie wiary „Allahu akbar!".

Polityczna i kulturowa autonomia nie jest jedyną walutą, za którą Putin kupił lojalność czeczeńskiego watażki. W tę „przyjaźń" władca Kremla zainwestował miliony rubli. W 2003 r. ONZ uznała Grozny za najbardziej zniszczone miasto na świecie. Kilka lat później, odbudowana i rozbudowana za pieniądze z Moskwy, stolica republiki przypominała już Dubaj, a nie rosyjską prowincję. Powstały wielkie, nowoczesne biurowce i centra handlowe, kompleks biznesowy Grozny City, na którego otwarciu zagrała za pół miliona dolarów honorarium Vanessa May, czy mogące pomieścić 10 tys. wiernych Serce Czeczenii – największy meczet w Europie. Rosjanie odbudowali z nawiązką to, co wcześniej sami zniszczyli. 90 proc. czeczeńskiego budżetu pochodzi z centrali, podczas gdy w innych regionach jest to zazwyczaj ok. jednej trzeciej. Oczywiście ogromne sumy poszły też do kieszeni samego szefa republiki, który uwielbia przepych i drogie ubrania i chętnie obdarowuje prezentami odwiedzających Grozny zachodnich celebrytów, takich jak Gerard Depardieu czy Jean-Claude Van Damme.

Jeden z czeczeńskich bojówkarzy zginął podczas nagrywania filmiku na TikToku – nie zauważył nadlatującego pocisku

ZAKOCHANY W PUTINIE

Putin potrzebuje Kadyrowa jako gwaranta lojalności skorych do buntu Czeczenów, którzy, zamiast w zamachach terrorystycznych w centrum Moskwy, wyżywają się na frontach konfliktów prowadzonych przez Rosję lub w likwidacji przeciwników Kremla. Dobrym przykładem tego ostatniego jest zamach na Borysa Niemcowa. Śledztwo wykazało, że został zastrzelony przez Czeczenów, rzekomo oburzonych jego islamofobicznymi wypowiedziami. W rzeczywistości zatrzymani byli bliskimi współpracownikami Kadyrowa, który najpewniej ich rękami wykonał wyrok wydany przez Putina.

Teoretycznie szef Czeczenii potrzebuje swojego moskiewskiego patrona. Niekoniecznie jednak musi być nim obecny gospodarz Kremla. Co prawda, Kadyrow na każdym kroku wychwala Putina, bijąc rekordy lizusostwa. Powtarza, że kocha go „tak mocno, jak tylko mężczyzna może kochać drugiego mężczyznę" (oczywiście w sensie heteroseksualnym). Kadyrow zalazł też za skórę wielu siłowikom i dowódcom wojskowym, których otwarcie krytykuje za niepowodzenia na ukraińskim froncie. Ale potencjalny następca Putina, niezależnie od tego, czy byłby jastrzębiem czy gołębiem, będzie potrzebował spokoju na Kaukazie. Czyli Kadyrowa.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4708cd516e

Z prof. Bernardem Luganem, francuskim afrykanistą i historykiem
rozmawia Olivier Bault

Francuzi strzelili sobie w obie stopy

OLIVIER BAULT: Wiele mówiło się w mediach o wycofaniu się Francuzów z Mali i o obecności w tym kraju Rosjan z Grupy Wagnera. W kwietniu francuskie drony wojskowe sfilmowały ludzi Wagnera grzebiących ludzkie ciała, a Paryż opublikował to nagranie jako dowód na sfingowane oskarżenia pod adresem armii francuskiej o wyimaginowane nadużycia wobec cywilów. Czy udało się w ten sposób przeciwdziałać antyfrancuskiej propagandzie w Mali, o którą Paryż oskarża Rosjan?

PROF. BERNARD LUGAN: Tak, ale problem jest szerszy. Zadaniem obecnej w Mali Grupy Wagnera nie jest zastąpienie francuskiej armii ani wspieranie rządu malijskiego w wygraniu wojny. Nie ma ona wystarczających zasobów ludzkich ani sprzętu. Nie dysponuje także środkami politycznymi ani nie posiada niezbędnej wiedzy o kraju. Tak naprawdę Grupa Wagnera jest rodzajem gwardii

eprasa.pl 4708cd516e

Wycofanie się wojsk francuskich z ostatnich baz w Mali, 11 sierpnia 2022 r.
FOT. HANDOUT/AT MAJOR DES ARMÎES/AFP/EAST NEWS

prezydenckiej na usługach aktualnej władzy w Mali. Dodatkowo posiada tam niewielkie siły, wspierające swoją wiedzą wojskową niektóre jednostki malijskiej armii, znajdującej się dziś w trudnej sytuacji w obliczu różnych powstań. Nie wiem, czy manipulacja, o której pan mówi, została przygotowana przez Grupę Wagnera czy przez samych Malijczyków. Na zdjęciach nakręconych przez francuskie drony widzimy przede wszystkim Malijczyków i kilku białych mężczyzn, którzy należą do Grupy Wagnera.

Skoro Grupa Wagnera ma bardzo ograniczone środki, to jak udało się Rosjanom uzyskać wsparcie malijskiego rządu i wypchnąć Francuzów z tego kraju?

W rzeczywistości Francuzi sami dali się wypchnąć z Mali, tak jak zrobili to wcześniej w Republice Środkowoafrykańskiej. Nastąpiła kumulacja francuskich błędów politycznych, co wyjaśniam od lat na moim blogu oraz w moich książkach. Natura nie znosi próżni. Zarówno w Mali, jak i w Republice Środkowoafrykańskiej pojawili się Rosjanie, ponieważ Francuzi strzelili sobie w obie stopy.

W przypadku Mali politycznym błędem Francuzów było postawienie fałszywej diagnozy, która polegała na mówieniu o walce z terroryzmem islamistycznym. Tymczasem problemem tego kraju nie jest kwestia terroryzmu religijnego. Nie jest to sprawa religijna, ale problem tradycyjnego konfliktu pomiędzy różnymi populacjami. Konflikt ten jest z pewnością wykorzystywany przez dżihadystów, ale – jak często już mówiłem – gdyby z dnia na dzień, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, dżihadystyczne grupy zostały zlikwidowane, problem Mali nadal nie zostałby rozwiązany. Kwestia Mali to konflikt między północą a południem, to znaczy konflikt między białą populacją z północy, Tuaregami, a populacjami z południa. Pośrodku znajdują się Peulowie, którzy walczą z jednymi i drugimi. Jest to zatem rana etniczne nadkażona dżihadyzmem.

Francja popełniła poważny błąd, nie dostrzegając wymiaru etnicznego problemu. Francuscy wojskowi wyraźnie to widzieli, ale cywile w Paryżu nie chcieli wziąć pod uwagę tej kwestii. Zaszliśmy w ślepy zaułek, a wyniki osiągane na poziomie militarnym prowadziły donikąd.

Po wycofaniu się wojsk francuskich można było odnieść wrażenie, że Francuzi są znienawidzeni przez ludność malijską.

We Francji żyje milion Malijczyków, często jako nielegalni imigranci. Są bardzo szczęśliwi, że są we Francji i że mogą pobierać zasiłki, które nasz kraj tak hojnie im przyznaje. Nie można także powiedzieć, że Francuzi są znienawidzeni w samym Mali, ale pewne jest, że grupa będąca obecnie u władzy w Bamako nienawidzi Francuzów, i to z kilku powodów.

Po pierwsze dlatego, że w momencie wojskowego puczu Francja stanęła na czele gospodarczego i politycznego bojkotu tego kraju, a malijscy oficerowie, którzy przejęli władzę, byli tym faktem bardzo rozgoryczeni. Ze swoją obsesją na punkcie demokracji Francja bardzo źle to rozegrała. Ponadto za każdym razem, gdy miały miejsce próby podjęcia negocjacji, Francja sprzeciwiała się temu, mówiąc: „Nie negocjuje się z terrorystami". A tymczasem negocjacje odbywały się z grupami etnicznymi, których poparcie dla dżihadu miało zdecydowanie drugorzędne znaczenie, gdyż Tuaregowie na północy nie są prawdziwymi dżihadystami, nawet jeśli przyjęli „dżihadystyczny szyld", aby prowadzić swoją walkę. Tego władze francuskie nie dostrzegały, popełniając błąd w ocenie sytuacji już na samym początku.

Francja nadal upiera się przy błędnej polityce również w innych krajach Sahelu, w których wciąż jest obecna, takich jak np. Niger?

Tak. I następny będzie właśnie Niger. Najbliższe dwie porażki Francji to Niger i Czad. Nie wiem, czy stanie się to za miesiąc, za pół roku czy za rok, ale Francja podąża tą samą drogą, więc porażka jest pewna.

Można spodziewać się zatem, że i w tych krajach pojawi się Grupa Wagnera?

Nie wiem, czy Rosjanie mają w tej chwili odpowiednie środki, aby wysłać tam Grupę Wagnera, podczas gdy zmagają się z problemami na Ukrainie. Nie sądzę, abyśmy byli w takiej samej sytuacji jak rok temu, gdy Grupa Wagnera docierała wszędzie, nawet do Gwinei. Ponieważ Rosjanie prowadzą teraz wojnę za pomocą sił liczących 200 tys. ludzi przeciw 800 tys. Ukraińców, są zmuszeni do repatriacji maksymalnej ilości wojsk i nie bardzo widzę, w jaki sposób mogliby w chwili obecnej prowadzić politykę wypierania Francuzów.

Nie ma ryzyka, że Francja i Europa zostaną pozbawione przez Rosję dostępu do zasobów węglowodorów i surowców w Afryce?

Postawmy sprawę jasno: jeśli chodzi o surowce, to Afryka nie ma strategicznego znaczenia. Odgrywa jedynie ważną rolę w przypadku kilku bardzo rzadkich metali, które występują w strefie Kiwu we wschodnim Zairze, to znaczy na terenie aktualnej Demokratycznej Republiki Konga. Co do reszty, z wyjątkiem niektórych złóż gazu i ropy, Afryka nie ma strategicznego znaczenia dla Europy i nasz kontynent może się bez niej obejść.

W każdym razie w tej chwili tak długo, jak nie zostanie rozwiązana kwestia Ukrainy, Rosja znajdzie się raczej na drugim planie w Afryce. Poza tym w poprzedniej fazie, w czasie której Rosja prowadziła bardzo aktywną, żeby nie

eprasa.pl 4708cd516e

powiedzieć agresywną politykę w Afryce, nie chodziło jej o surowce. Wiedziała, że ich nie potrzebuje, tym bardziej że sama ma ich pełno. Moim zdaniem Rosja próbowała prowadzić bardzo subtelną grę. Zamiast wydawać pieniądze, inwestując w rozwój, co zupełnie niczemu nie służy – sami robimy to od 70 lat i widzimy, jaki jest tego efekt – Rosjanie uznali, że trzeba przejąć kontrolę nad grupami, które są w Afryce silne, czyli nad armiami. Kontrolując armie, mogą kontrolować poszczególne kraje. Kalkulacja Rosjan jest bardzo prosta. Chodzi o posiadanie głosów w ONZ, dzięki którym Rosja nie jest izolowana. Proszę zresztą popatrzeć, jak głosowała Afryka, gdy odbywały się głosowania w sprawie Ukrainy – tylko nieliczne kraje afrykańskie głosowały za potępieniem Rosji.

Mówi pan, że Afryka ma małe znaczenie, jeśli chodzi o surowce. Tymczasem na początku września prezydent Polski Andrzej Duda udał się do Nigerii, Wybrzeża Kości Słoniowej i Senegalu, aby doprowadzić do podpisania umów na import LNG. Istnieją też duże projekty budowy gazociągów: gazociąg transsaharyjski, łączący Nigerię z Algierią, a zatem z Europą poprzez Włochy i Hiszpanię, oraz inny gazociąg wzdłuż wybrzeży Afryki Zachodniej w kierunku Półwyspu Iberyjskiego.

Rzeczywiście, istnieje wielki projekt w Afryce Zachodniej, ale nie został on jeszcze uruchomiony. Chodzi o ogromne złoża gazu odkryte u wybrzeży Senegalu. Faktem jest, że dziś dwa pola gazowe o największym potencjale znajdują się w Senegalu i we wschodniej części basenu Morza Śródziemnego. To drugie złoże jest jeszcze większe od pierwszego. Rozciąga się od Egiptu, przez Izrael, Strefę Gazy, Liban aż do Cypru. Istnieje jeszcze trzecie duże złoże gazu u wybrzeży Mozambiku, ale jego eksploatacja jest trudna, gdyż obecnie jest to strefa aktywności prawdziwych ruchów dżihadystycznych, a poza tym znajduje się daleko. Natomiast złoża we wschodnim rejonie Morza Śródziemnego są blisko, a gazociąg, który ma przebiegać przez Cypr, Grecję i Włochy, umożliwiłby kompletne uniezależnienie się od rosyjskiego gazu.

Istnieje zatem wielki potencjał, w szczególności jeśli chodzi o wschodnią część basenu Morza Śródziemnego i wybrzeża Senegalu, ale to nie wydarzy się z dnia na dzień.

Jeśli chodzi o wschodnie Morze Śródziemne, to uruchomienie tego złoża jest dodatkowo utrudnione przez dążenie Turcji do uznania przez Europę tureckiej kontroli nad północną częścią Cypru. Europa walczy przeciw aneksji części Ukrainy przez Rosję, ale w tym samym czasie przymila się Turcji, która jest członkiem NATO, a która zaanektowała część cypryjskiego terytorium. W związku z okupacją części terytorium Cypru Turcja rości sobie prawo do całej osi na Morzu Śródziemnym, przez którą ma przebiegać gazociąg, co uniemożliwia jego uruchomienie. I tak oto turecki szantaż wobec Europy uniemożliwia uruchomienie największego złoża gazu na świecie.

Każdy kolejny prezydent Francji był gorszy od swojego poprzednika, jeśli chodzi o politykę afrykańską. Emmanuel Macron nie jest wyjątkiem od tej reguły

Czy Afryka nie stanie przed historyczną szansą, jeśli Europa zrezygnuje z rosyjskich węglowodorów, a Turcja będzie blokować uruchomienie złóż we wschodniej części basenu Morza Śródziemnego?

Nie cała Afryka, ale kilka krajów afrykańskich. Nie wszystkie kraje afrykańskie wydobywają gaz i ropę, ale ropy zresztą nie brakuje i będzie to jeszcze bardziej prawda w dniu, w którym uregulowana zostanie kwestia Libii. Złoża libijskie położone są blisko Europy i istnieją już gazociągi i ropociągi łączące ten kraj z Włochami. Ale jako że Francja zaprowadziła tam anarchię, prowadząc wojnę przeciw Kaddafiemu w 2011 r., produkcja w Libii nie jest zapewniona na tym samym poziomie co przedtem.

Jeśli chodzi o politykę Francji na kontynencie afrykańskim, to czy polityka prezydenta Macrona mimo wszystko nie jest lepsza – lub mniej zła – od polityki jego poprzedników?

Każdy kolejny prezydent Republiki Francuskiej był gorszy od swojego poprzednika, jeśli chodzi o politykę afrykańską, a Emmanuel Macron nie jest niestety wyjątkiem od tej reguły. Od czasów Jacques'a Chiraca polityka afrykańska w zasadzie nie istnieje. A Macronowi uda się nawet coś zupełnie niewyobrażalnego: przymilając się Algierii z powodów gazowych, ściąga na nas gniew Maroka, naszego ostatniego dużego sojusznika w tym regionie. I tak w tle pojawia się pytanie o Saharę Zachodnią, która jest dla Maroka tym, czym Alzacja-Lotaryngia były dla Francji przed 1914 r. i czym jest Krym dla Rosji. Głównym wrogiem Maroka w kwestii Sahary Zachodniej jest Algieria, a Francja konfliktuje się z Marokiem, stawiając na zbliżenie z Algierią ze względów gazowych, mimo że ta sprzedaje Francji bardzo mało gazu. Relacje Francji z Marokiem stają się wręcz złe, co jest ogromnym błędem geopolitycznym.

A relacje Francji z Algierą również nie wydają się najlepsze, pomimo starań francuskiego prezydenta.

Macron poszedł na tak wiele ustępstw… Nie czynię Algierczykom czy Turkom zarzutu z faktu, że szantażują Europę i Francję. Są nacjonalistami i grają kartą nacjonalistyczną. Problem polega na tym, że z drugiej strony Francja nie używa własnej nacjonalistycznej karty. Im bardziej Francja przeprasza [za okres kolonialny – przyp. red.], tym bardziej oczekuje się od niej, że dalej będzie przepraszała; im częściej klęka, tym częściej domaga się od niej, by upadła na twarz. Algierczycy świetnie to zrozumieli, a Macron płaszczy się przed Algierią, co powoduje napięcia z Marokiem, naszym najwierniejszym sojusznikiem w krajach Maghrebu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

***Bernard Lugan** – urodzony w Maroku w czasie francuskiego protektoratu, pracował w latach 1972–1982 na rwandyjskim uniwersytecie w Butare. Od lat 80. wykładał na Uniwersytecie im. Jean Moulin w Lyonie oraz do niedawna, przed przejściem na emeryturę, w szkole oficerskiej École de Guerre i w Akademii Wojskowej Saint-Cyr Coëtquidan. W latach 2002–2012 był biegłym Międzynarodowego Trybunału Karnego dla Rwandy. Jest autorem internetowego miesięcznika pod nazwą „L'Afrique Réelle" („Rzeczywista Afryka") oraz wielu książek, z których najnowsza, wydana w 2022 r., nosi tytuł „Comment la France est devenue la colonie de ses colonies" („W jaki sposób Francja stała się kolonią swoich kolonii").*

eprasa.pl 4708cd516e

FOT. GEORGE WOOD/GETTY IMAGES

ROONEY ZA MAŁO RÓŻNORODNY

Wayne Rooney, niegdyś kapitan piłkarskiej reprezentacji Anglii, od lata jest trenerem drużyny D.C. United (w której też zresztą grał jako zawodnik). Okazało się jednak, że zatrudnienie tej gwiazdy futbolu odbyło się w nieprawidłowy sposób i Major League Soccer ukarało klub grzywną 25 tys. dol. Powód? Zgodnie z wymogami MLS konkurs na trenera trzeba przeprowadzić tak, by brały w nim udział osoby „z grup niedoreprezentowanych", przy czym co najmniej jedna musi być czarnoskóra. D.C. United miał jeszcze innego finalistę w konkursie na trenera, ale uznano, że nie spełniał wymogu „grupy niedoreprezentowanej". I najlepsze: w zarządzie D.C. United dwaj to Afroamerykanie.

MINISTER CHCE ZMAZAĆ CYTAT Z BIBLII

Na Pałacu Berlińskim król Fryderyk Wilhelm IV kazał wyryć taki oto cytat z Biblii: „Nie ma w żadnym innym zbawienia [...], jak tylko w imieniu Jezusa, na chwałę Boga Ojca. Aby na imię Jezusa zgięło się wszelkie kolano, które jest w niebie i na ziemi, i pod ziemią". Napis ten odtworzono w 2020 r. Minister kultury Niemiec Claudia Roth z Zielonych uznała, że musi zniknąć, i zapowiedziała działania w tej sprawie. Jej zdaniem słowa z Biblii oraz krzyż na kopule budynku są sprzeczne z „kosmopolityzmem", który cechuje Forum Humboldta.

CHIŃSKIE POSTERUNKI W NIDERLANDACH

Dziennikarze ujawnili, że funkcjonujące w Niderlandach chińskie biura administracyjne to w rzeczywistości chińskie posterunki policji, które służą służbom tego komunistycznego kraju m.in. do wywierania nacisku na tych, którzy ośmieliliby się krytykować rząd w Pekinie. Niderlandzki szef MSZ wydał nakaz ich natychmiastowego zamknięcia.

KONFISKATA ZA ŚMIECENIE

Władze Santa Croce Camerina na Sycylii uznały, że kara finansowa dla ludzi nielegalnie wyrzucających śmieci to za mało. Gmina przyjęła uchwałę, która pozwoli konfiskować pojazdy użyte do nielegalnego wywozu śmieci. Mieszkańcy gremialnie w Internecie poparli ten pomysł.

ZABILI, BO DOSTALI ZŁE OCENY

W stanie Iowa w USA w ubiegłym roku zamordowano nauczycielkę języka hiszpańskiego. Nohema Graber zginęła od ciosów kijem baseballowym. Jak poinformowali śledczy, sprawcami okazało się dwóch 16-latków, uczniów Fairfield High School. Jeden z nich tłumaczył śledczym, że nauczycielka zdenerwowała go, bo wystawiła mu niską ocenę i to zaniżyło jego średnią ocen. ©℗ ***Łukasz Zboralski***

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Kogo wybierze Ameryka?

8 listopada miliony Amerykanów oddadzą głos w tzw. wyborach środka kadencji, czyli w wyborach uzupełniających do Kongresu. Republikanie mają wreszcie szansę odbić część utraconej Izby Reprezentantów. Szansa jest tym większa, że według sondaży najważniejsze dla głosujących są kwestie gospodarcze, czyli stan ich własnego konta. Badania pokazują zaś jasno, że ponad 70 proc. ankietowanych jest zdania, iż amerykańska gospodarka zmierza w złym kierunku, a administracja Joe Bidena robi zbyt mało, by walczyć z inflacją. I nie chodzi tylko o koszmarnie wysokie ceny paliw. Ogromne tempo wzrostu cen sprawia, że za oceanem – podobnie jak w Europie – drożeje niemal wszystko: od jedzenia przez ceny najmu do kosztów ogrzewania domów. Republikanie mają szansę wygrać jeszcze z jednego powodu. Amerykanie chcą znów się czuć bezpiecznie. Ostatnie pomysły nieodpowiedzialnych lewicowców wzmocniły radykalnych aktywistów z Black Lives Matter i bandziorów pokroju George'a Floyda, a jednocześnie mocno osłabiły policję (którą część socjalistów chciała i nadal chce rozwiązać). Parafrazując Billa Clintona, można by teraz krzyknąć: „Gospodarka i bezpieczeństwo, głupcze!".

Wyniki wyborów będą miały wpływ nie tylko na krajową politykę USA, lecz także na bezpieczeństwo międzynarodowe. Czy nowy Kongres wesprze sojuszników Ameryki w Europie Wschodniej arsenałem broni jądrowej? Czy politycy wymuszą wreszcie porzucenie polityki osłabiania armii USA w imię dogadzania lalusiom z LGBTQI? I czy dzięki działaniom nowego Kongresu Ameryka odzyska miano potęgi, która jest w stanie pokonać Putina, chińskich komunistów i irańskich teokratów? Wyniki już wkrótce. ©℗

eprasa.pl 4708cd516e

Niewygodny kardynał Joseph Zen

Tomasz Rowiński

Tak wielu ważnych hierarchów wypowiedziało się już przeciwko porozumieniu Kościoła z Pekinem, wskazało jego bezowocność, a nawet przeciwskuteczność, że aż się ciśnie na usta pytanie, dlaczego Stolica Apostolska znów je przedłużyła. Dlaczego wycisza się w tak lekceważący sposób kard. Zena?

Toczący się w Chinach proces kard. Josepha Zena, który, jak się pierwotnie zdawało, mógł być sądzony nawet za zdradę, jest nie tylko porażką polityki Stolicy Apostolskiej, lecz także moralną klęską instytucji Kościoła. Jak inaczej nazwać sytuację z lipca br., kiedy to Parlament Europejski upomniał się o los sędziwego duchownego wobec przedłużającego się milczenia czynników watykańskich? W chwili obecnej wydaje się, że kardynał, który został aresztowany pod zarzutem „współpracy z obcymi siłami", będzie sądzony za niezarejestrowanie na policji nieistniejącej już fundacji, która pomagała w opłacaniu kosztów leczenia uczestników prodemokratycznych protestów w Hongkongu i pomocy prawnej im udzielanej. Choć rzeczywisty powód represji jest mocno zredukowany wobec pierwotnych gróźb, to Chiny swoje cele już osiągają.

Nie wyklucza to oczywiście możliwości, że kardynał i tak zostanie poddany długotrwałemu procesowemu nękaniu, którego częścią mogą się okazać kolejne aresztowania, rozprawy, a może dalsze zmiany kwalifikacji czynu. Trzeba wiedzieć, że kard. Zen znajduje się jedynie warunkowo na wolności. Po tym, jak został aresztowany 11 maja br., wyszedł za kaucją, ale odebrano mu paszport. Nękanie Zena – zważywszy na to, że duchowny skończył już 90 lat – może mieć choćby i dożywotni charakter.

ELEMENT WIĘKSZEJ CAŁOŚCI

Proces ten ma dla Chin potrójne znaczenie – po pierwsze, na oczach całego świata potwierdza, że od Ustawy o bezpieczeństwie narodowym Hongkongu, która zakończyła epokę swobód obywatelskich w tej byłej brytyjskiej kolonii, nie będzie wyjątków. Po drugie, ustanawia w jednoznaczny sposób relacje z Kościołem i ze Stolicą Apostolską. Warto pamiętać, że Hongkong i Makau to jedyne obszary, na których władze chińskie zgodziły się, by Kościół zachował swobodną jurysdykcję. I po trzecie, wyłącza z gry postać zakłócającą wizerunek nowego związku Stolicy Apostolskiej i Pekinu.

Pekin wysyła też sygnał, że nie będzie pobłażania dla nawet najdrobniejszej niesubordynacji o charakterze politycznym ze strony reprezentantów związków wyznaniowych. Obecna kwalifikacja czynu, o który jest oskarżony kard. Zen, nie jest ostatecznie związana z bezpieczeństwem narodowym i wydaje się, że sprawa może zakończyć się grzywną. Jednak ponieważ żaden z grupy oskarżonych nie przyznaje się do winy, a kurs wewnętrznej polityki Chin staje się coraz bardziej totalitarny, nie możemy być pewni, czy nie nastąpi tu jeszcze jakiś zwrot.

Sytuacja kard. Zena jest też, jak już wspomniałem, elementem większej całości, którą stanowią relacje pomiędzy Kościołem i Stolicą Apostolską a Pekinem. Zen to emerytowany ordynariusz Hongkongu, to hierarcha, który od dawna pozostaje rzecznikiem tzw. Kościoła katakumbowego w Chinach i jest jednym z głównych obecnie głosów na rzecz bezkompromisowego kursu Kościoła wobec komunistów. „Kościół katakumbowy" to ta część katolików – świeckich i duchowych – którzy nie podporządkowali się Patriotycznemu Stowarzyszeniu Katolików Chińskich. Organizacja ta (PSKCh), założona przez komunistyczne władze Chin w roku 1957, przejęła faktycznie funkcję katolickiej hierarchii w Państwie Środka. Nie uznaje ona jednak władzy papieża, mianuje biskupów według klucza politycznego i stara się po prostu ustano-

FOT. PAUL YEUNG/BLOOMBERG/GETTY IMAGES

eprasa.pl 4708cd516e

wić jednolitą państwową zwierzchność i kontrolę nad chińskimi katolikami. De facto mamy do czynienia z organizacją religijną o charakterze schizmatyckim, ponieważ częściowo przynajmniej w jej ramach zachowywana jest sukcesja apostolska. Kościół jednak ze względu na skalę problemu i złożoną sytuację wiernych chińskich nigdy nie ogłosił ekskomuniki wobec wszystkich, którzy należą do PSKCh. Ekskomuniki obejmowały w przeszłości jedynie biskupów należących do stowarzyszenia, a także księży wyświęcanych w ramach organizacji bez autoryzacji Stolicy Apostolskiej.

Szacuje się, że na przełomie pierwszej i drugiej dekady XXI w. mniej niż połowa katolickich biskupów, księży i osób konsekrowanych działała w podziemiu. Mimo tej dysproporcji, wynikającej z prostego faktu, którym były prześladowania katolickiego podziemia, do czasów Jana Pawła II „Kościół katakumbowy" otrzymywał wsparcie Stolicy Apostolskiej i trwał wbrew przeciwnościom. Podobna sytuacja utrzymywała się także za pontyfikatu Benedykta XVI, pomimo że Stolica Apostolska podjęła wtedy próbę odzyskania pewnego wpływu na PSKCh, co oznaczało paktowanie z Pekinem. Miały miejsce wówczas święcenia biskupów, które uzyskały zgodę obu stron – kościelnej i chińskiej. Benedykt XVI zaprosił także na jeden z synodów przedstawicieli zarówno „Kościoła patriotycznego", jak i „Kościoła katakumbowego". Władze komunistyczne dały jednak wtedy do zrozumienia papieżowi, że nie życzą sobie dalszych zabiegów Stolicy Apostolskiej zmierzających do ocieplenia dwustronnych relacji. Biskupi delegaci nie otrzymali paszportów od chińskich władz, a dyplomacja komunistyczna oskarżyła Watykan o brak konsultacji i działania jednostronne.

FRANCISZEK ZMIENIA KURS

Sytuacja zmieniła się za pontyfikatu papieża Franciszka, który – razem z sekretarzem stanu Stolicy Apostolskiej Pietro Parolinem – doprowadził do podpisania tajnego w swojej treści porozumienia pomiędzy Kościołem a Pekinem. Porozumienie, jak podejrzewano, miało za zadanie chronić chińskich katolików przed podjętym przez komunistyczne władze w ostatnich latach procesem „sinizacji" wszystkich religii. „Sinizacja" oznacza w praktyce przymuszanie organizacji religijnych do akceptacji komunistycznych dogmatów niezależnie od treści religijnych, które one głoszą. Nic takiego jednak nie nastąpiło. Ucisk wobec katolików, zamiast zelżeć, został wzmocniony. Jednocześnie koncesje, które Pekin uzyskał od Watykanu, czyli np. zgoda na mianowanie biskupów według własnego uznania, zaczęły być realizowane. Teoretycznie Kościół zachował prawo weta, jednak nie słychać, by było ono w jakikolwiek sposób wykonywane.

Sytuacja ta oznacza w praktyce odwrócenie się Stolicy Apostolskiej od katolików, którzy nie chcą funkcjonować w schizmatyckiej formule Kościoła narodowego, którą realizuje PSKCh. Trudno dziś powiedzieć, czy tzw. Kościół patriotyczny ma jeszcze coś wspólnego z katolickością, skoro nie prowadzi on ani katechizacji, ani ewangelizacji, a za fundamentalną uznaje doktrynę marksistowską, ponieważ wymaga tego państwo. Chiny osiągnęły jeszcze jeden efekt dzięki niesławnemu porozumieniu. Od roku 2018 nie da się usłyszeć żadnego, choćby pojedynczego słowa krytyki ze strony władz Kościoła wobec Pekinu. Wręcz przeciwnie, papież Franciszek wielokrotnie komplementował kulturę chińską, a przewodniczący Papieskiej Akademii Nauk, abp. Marcelo Sáncheza Sorondo, wsławił się wygłoszeniem opinii o moralnym przewodnictwie Chin w świecie, a także o wartym naśladownictwa przez cały świat sposobie realizacji katolickiej nauki społecznej przez chińskie państwo.

Kiedy latem w roku 2020 kard. Zen zdołał uzyskać od chińskich władz pozwolenie na kilkudniową obecność w Rzymie, w czasie której chciał m.in. przedstawić papieżowi argumenty przeciwko porozumieniu, Franciszek nie chciał się z nim spotkać. Zen po prostu odbił się od drzwi watykańskich urzędów. Papież nie odpowiedział także na dubia (wątpliwości) przedstawione wcześniej przez sędziwego kardynała w sprawie sensu porozumienia. Na milczenie papieża i Stolicy Apostolskiej wobec prześladowania, które spotkało chińskiego duchownego, reagowali nie tylko Komisja Europejska czy zdziwieni publicyści z całego świata, lecz także były prefekt Kongregacji ds. Nauki Wiary kard. Gerhard Muller. Zwrócił on uwagę, że podczas konsystorza, rzymskiego spotkania kardynałów, które miało miejsce 29 i 30 sierpnia br., sytuacja Zena została po prostu przemilczana. „Nikt nie poruszył na spotkaniu kardynałów bardzo poważnego problemu naszego brata Zena" – mówił w wywiadzie dla gazety „Il Messaggero". „Ani dziekan Kolegium Kardynalskiego, ani sekretarz stanu kard. Pietro Parolin, ani papież. Nie było żadnego dokumentu solidarności, żadnej inicjatywy modlitewnej za niego". Tak jakby Zen nie istniał.

ZDRADA WATYKANU

To prawda, że kard. Joseph Zen rzeczywiście nie przebiera w słowach, gdy wypowiada się w sprawie problemów Kościoła w Chinach. Szczególnie wyraźnie skrytykował zalecenie Stolicy Apostolskiej skierowane w roku 2018 do kapłanów katolickich w Państwie Środka, niedługo po tym, jak doszło do podpisania tajnego porozumienia, by ci „dołączali do oficjalnego Kościoła" i wychodzili z podziemia. Zalecenia te wyszły od samego sekretarza stanu kard. Pietra Parolina. Zen nazwał je „najokrutniejszą rzeczą, którą Watykan zrobił kiedykolwiek wobec Kościoła w Chinach". Chińskie duchowieństwo odebrało działania Watykanu jako zdradę. Dla porównania wyobraźmy sobie sytuację, w której kard. Wyszyński zachęcałby księży w całej Polsce, by dołączyli do grona koncesjonowanych przez władze komunistyczne księży patriotów. A przecież sytuacja podziemnego Kościoła w Chinach jest gorsza i bardziej napięta.

Kardynał Zen mówił jeszcze więcej i bez ogródek, uznając np. zgodę Watykanu na legalizację siedmiu „partyjnych" biskupów chińskich za „mordowanie Kościoła katolickiego w Chinach". Sugerował, że kard Parolin, wyznawca skompromitowanej doktryny dyplomatycznej kard. Casarolego, który praktykował – dodajmy, że bezskuteczne – dogadywanie się z komunistami ponad głowami lokalnych Kościołów, manipuluje papieżem w sprawie Chin.

Tak wielu ważnych hierarchów wypowiedziało się już przeciwko porozumieniu Kościoła z Pekinem, wskazało jego bezowocność, a nawet przeciwskuteczność, że aż ciśnie się na usta pytanie, dlaczego Stolica Apostolska znów je przedłużyła. Dlaczego wycisza się w tak lekceważący sposób kard. Zena? Dlaczego traktuje się proces przeciwko niemu niczym okoliczność sprzyjającą polityce Stolicy Apostolskiej? Jaka stoi racja moralna za takim działaniem? Jaka racja religijna? Trudno się w tych działaniach dopatrzeć jakiejkolwiek godziwej racji. Niestety.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4708cd516e

Czwarty rok wyroku

Pracownicy Foxconn wyruszają do rodzinnych miast po wykryciu koronawirusa w mieście Zhengzhou

FOT. VCG/GETTY IMAGES

Piotr Włoczyk

Chińska strategia „zero-COVID" z tragikomedii zamienia się w horror. Tamtejsze społeczeństwo wchodzi niedługo w czwarty rok sanitarnego terroru, a końca tego obłędu nie widać

Disneyland w Szanghaju to blisko 400 ha atrakcji, które co roku ściągają w to miejsce kilka milionów Chińczyków. Baśniowy zamek, gigantyczne rollercoastery albo spływ tratwami po Parku Jurajskim. W ostatni poniedziałek obiekt ten stał się jednak na kilka godzin jednym wielkim aresztem. Ku przerażeniu gości dyrekcja Disneylandu ogłosiła, że z powodu zagrożenia koronawirusem nikt nie może opuścić obiektu bez negatywnego wyniku testu. Dla poprawy humorów odwiedzających park rozrywki obiecano im, że w oczekiwaniu na wyniki testów mogą dalej korzystać z rollercoasterów – nikt nie wyłączy prądu. Gdy późną nocą ostatni goście opuszczali obiekt, do mediów trafiła informacja, że cała ta historia spowodowana była wizytą 31-letniej kobiety, która – jak się potem okazało – była zarażona koronawirusem. Z powodu tej samej osoby władze Szanghaju zamknęły w mieszkaniach na 24 godziny 1,3 mln mieszkańców dzielnicy Yangpu. Każdy, kto odwiedził Disneyland po 27 października, musiał się testować trzy razy w ciągu kolejnych trzech dni.

W tym samym czasie w słynnym już Wuhan milion mieszkańców żyjących w centrum tej metropolii zostało zamkniętych w domach po tym, gdy władze wykryły 18 (słownie – osiemnaście!) przypadków zakażeń koronawirusem. Centrum miasta zostało odcięte od reszty dzielnic, a ulice były – jak zawsze w takich przypadkach – opryskiwane płynami dezynfekcyjnymi przez brygady sanitarne w białych kombinezonach ochronnych. Dezynfekcja obejmowała nie tylko chodniki, ławki i latarnie, lecz także karoserie samochodów. Co bardziej złośliwi porównują to do kampanii z czasów Mao, gdy przewodniczący kazał wytłuc w całym kraju wróble, by ograniczyć straty ziarna. Na chińskich

eprasa.pl 4708cd516e

wsiach wnet powołano wówczas brygady przeciwróblowe, które marnotrawiły miliardy roboczogodzin na uganianie się za ptakami.

WOJNA XI

Chińskie media społecznościowe pełne są też nagrań z leżącego 500 km na północ od Wuhan Zhengzhou. W tym sześciomilionowym mieście znajduje się gigantyczna fabryka Foxconn, która produkuje większość sprzedawanych na świecie iPhone'ów. Pod koniec października wśród liczącej 200 tys. osób załogi tzw. iPhone City zaczęło się pojawiać coraz więcej przypadków zakażenia koronawirusem. Część pracowników, obawiając się lockdownu całego potężnego zakładu, postanowiła zawczasu się ewakuować. Ponieważ strażnicy nie wypuszczali nikogo, zdesperowani pracownicy zaczęli forsować płot zakładu. Na filmikach widać, jak setki pracowników, ciągnąc walizki, nierzadko z poduszkami pod pachami, przedziera się przez ogrodzenie. Na zewnątrz czekały już na nich służby sanitarne, które pryskały ich środkami dezynfekcyjnymi. Zdesperowani ludzie starali się za wszelką cenę uniknąć lockdownu, wiedząc, że władze często nie są w takich sytuacjach w stanie dostarczyć odpowiedniej ilości zapasów, a samo zamknięcie może się ciągnąć tygodniami. Okazało się, że ci, którzy uciekli z Zhenghou pod koniec października, wyczuli pismo nosem – 2 listopada lokalne władze zamknęły na tydzień teren wokół „iPhone City". Pracownicy molocha Foxconn zostali więc de facto objęci lockdownem, ale ruch ten oznacza również wielkie problemy dla samego Apple. W związku z tak ostrymi restrykcjami sanitarnymi można się bowiem spodziewać, że zakłócone zostaną dostawy komponentów niezbędnych do produkcji iPhonów. Lockdown wprowadzono, gdy liczba stwierdzonych w tym rejonie przypadków COVID-19 przekroczyła 300.

To wszystko to zaledwie wycinek sanitarnego totalitaryzmu, w którym przyszło żyć Chińczykom. Szacuje się, że w tym momencie ponad 200 mln obywateli ChRL żyje w jakiegoś rodzaju lockdownie. Powodem jest uparte trzymanie się strategii „zero-COVID", na którą partia postawiła na początku pandemii. Chińscy decydenci wciąż wierzą, że są w stanie kompletnie wyeliminować tego wirusa i dlatego z tak wielką determinacją zwalczają każdy nowy przypadek, choćby nawet trzeba było kompletnie zatrzymać życie w wielomilionowej metropolii. O ile na początku pandemii chiński pomysł na walkę z COVID-19 mógł się wydawać całkiem dobry, o tyle dziś ta polityka to absolutny ewenement, który trudno zrozumieć.

Spośród największych chińskich miast najbardziej dotknięty został przez „zero-COVID" 25-milionowy Szanghaj, który wiosną zamknięty został na prawie dwa miesiące. Jeżeli ktokolwiek miał nadzieję, że tysiące wstrząsających filmików kręconych przez aresztowanych w ten sposób mieszkańców Szanghaju cokolwiek zmienią w postępowaniu władz, to najwyraźniej nie docenił determinacji Xi Jinpinga. Chiński przywódca cały swój autorytet postawił tu na szali. W czasie ostatniego zjazdu Komunistycznej Partii Chin Xi stwierdził, że „zatrzymanie wirusa to nasza narodowa wojna".

CIOS W PKB

„Wygląda na to, że Pekin jest gotów ponieść ekonomiczne i społeczne koszty, które niesie polityka »zero-COVID«. Decydenci doszli do wniosku, że alternatywa, czyli pozwolenie na rozprzestrzenienie się wirusa, doprowadzi do tak wielu hospitalizacji i przypadków śmierci, że będzie to groźniejsze dla legitymacji rządu" – mówi Craig Singleton, ekspert ds. Chin z waszyngtońskiego think tanku Foundation for Defense of Democracies.

Jak to jednak możliwe, że tak potężne państwo, które właśnie rzuca wyzwanie USA, prowadzi politykę zdrowotną tak, jakby nikt nie wymyślił skutecznej szczepionki przeciw COVID-19? Na papierze wszystko wygląda dobrze – ponad 80 proc. chińskiej populacji zostało zaszczepione. Skoro liczby wyglądają lepiej niż w Polsce, to dlaczego Chińczycy co rusz zamykani są w lockdownach, a Polacy właściwie już zapomnieli, że wciąż krąży wśród nas koronawirus? Najwyraźniej chińskie władze doskonale zdają sobie sprawę ze skuteczności własnych szczepionek, które rozdystrybuowano wśród ludności. Chińczycy bowiem właściwie nie wykorzystywali zachodnich preparatów. Skoro chińskie szczepionki są tak mało efektywne, zdecydowana większość społeczeństwa – w związku z restrykcyjną polityką sanitarną – nie nabywała stopniowo przez ostatnie lata naturalnej odporności, a ostatnie warianty koronawirusa są coraz bardziej zaraźliwe, to w rezultacie chińskie władze doszły do wniosku, że obecnie tym bardziej nie można rezygnować z „zero-COVID".

Japoński gigant finansowy Nomura szacuje, że w tym roku chiński wzrost PKB będzie ponaddwukrotnie niższy od wciąż zakładanego przez Pekin celu wynoszącego 5,5 proc. PKB. Taki wynik byłby dla chińskich władz katastrofą

Ta polityka coraz bardziej odbija się na gospodarce. We wrześniu, gdy liczba wykrywanych codziennie przypadków COVID-19 była bardzo zbliżona do obecnej sytuacji (ok. 2 tys. pozytywnych rezultatów), Goldman Sachs szacował, że chińskie miasta, które objęte były jakąś formą lockdownu, wytwarzają 35 proc. chińskiego PKB.

Japoński gigant finansowy Nomura szacuje, że w tym roku chiński wzrost PKB będzie ponaddwukrotnie niższy od wciąż zakładanego przez Pekin celu wynoszącego 5,5 proc. PKB. Taki wynik byłby dla chińskich władz katastrofą. KPCh od lat zakładała bowiem, że do utrzymania ładu społecznego potrzebny jest wzrost na dużo wyższym poziomie (w ciągu ostatnich 30 lat było to średnio ok. 9 proc. PKB rocznie). Xi Jinping zdaje sobie sprawę z tego, że chińska gospodarka dostaje zadyszki, i dlatego w czasie ostatniego zjazdu partii zupełnie inaczej rozkładał akcenty. Wzrost gospodarczy przestał już być dla niego priorytetem, a zamiast tego – jak sam twierdzi – bezpieczeństwo będzie od tej pory celem numer jeden dla jego rządu. Niestety, nie jest to dobra wiadomość dla przeciętnego Chińczyka, który może się spodziewać, że pod pojęciem „bezpieczeństwo" kryją się nie tylko czołgi i myśliwce, lecz także kolejne covidowe obostrzenia, lockdowny, a także aktualizacje obowiązkowych aplikacji, dzięki którym państwo wie wszystko o potencjalnym roznosicielu wirusa.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4708cd516e

Jacek Przybylski

„Ptak został oswobodzony" – ogłosił Elon Musk tuż po przejęciu Twittera. Najbogatszy człowiek świata przekonuje, że zakupu platformy społecznościowej z niebieskim ptakiem w logotypie dokonał nie po to, aby zarobić jeszcze więcej pieniędzy, ale „aby pomóc ludzkości". Nie zamierza jednak robić tego za darmo. Tnie więc koszty i podwyższa opłaty

Niby pieniądze szczęścia nie dają, ale nie każdy jak Elon Musk może sobie pozwolić na realizację marzeń za kilkadziesiąt miliardów dolarów.

Najbogatszy człowiek w historii tej planety w marcu tego roku bardzo ostro skrytykował cenzurę na Twitterze – serwis bezterminowo zawiesił wcześniej m.in. konto byłego prezydenta USA Donalda Trumpa – i ogłosił, że rozważa stworzenie własnej platformy społecznościowej. Szybko zmienił jednak zdanie i zamiast tworzyć konkurencyjny serwis, zaczął skupować akcje spółki, błyskawicznie stając się największym udziałowcem spółki i zapowiadając, że uwolni „niezwykły potencjał" drzemiący w Twitterze.

PŁACZ I STRACH

„Musk ostatecznie kupił TT. Bydło wszelakie, naziole, fanole, łgarze, zboki, świry, trolle, mitomani, agenci, zwykli idioci i płatni potwarcy triumfują. Serdeczne gratulacje, hołoto!" – ubolewał na Twitterze Jan Hartman. Podobnych wynurzeń, choć oczywiście o dużo wyższym poziomie kultury niż w przypadku pana profesora z Uniwersytetu Jagiellońskiego, było wiele w różnych częściach świata. Europoseł Guy Verhofstadt, jawny miłośnik cenzury prawicowych wpisów w mediach społecznościowych, również publicznie ubolewał nad przejęciem Twittera przez Elona Muska. „A więc jeden człowiek, Elon Musk, jest obecnie właścicielem największej debaty na świecie… Zapotrzebowanie na zasady i odpowiedzialność jest większe niż kiedykolwiek! Samoregulacja w mediach społecznościowych nigdy nie działała… nawet w przypadku słabszych postaci niż on" – napisał Verhofstadt na Twitterze.

Mimo próby zastosowania przez zarząd spółki „trującej pigułki", która miała uniemożliwić miliarderowi plan przejęcia kontroli nad ćwierkającym serwisem i trudnych prawniczych batalii, pod koniec października Elon Musk dopiął swego i za 44 mld dol. kupił sobie Twittera.

„Ptak został oswobodzony" – ogłosił Elon Musk tuż po sfinalizowaniu transakcji, dając jasno do zrozumienia, że od teraz na Twitterze będzie mniej ograniczeń dotyczących treści, które można publikować. Błyskawicznie wywalił również na bruk czołowych menedżerów serwisu, oskarżając członków zarządu Twittera o wprowadzanie go w błąd w kwestii liczby spamowych kont na platformie. Wśród wyrzuconych była m.in. „główna cenzorka", a więc dyrektor ds. polityki prawnej Vijaya Gadde, odpowiedzialna za „moderację treści" na platformie. To ona miała przed kilkunastoma miesiącami podjąć m.in. decyzję o trwałym zawieszeniu konta Donalda Trumpa, którą miliarder określił mianem „moralnie złej i ekstremalnie głupiej". Sam Trump zapowiadał co prawda, że na Twittera już nie wróci, i uruchomił własną platformę społecznościową o nazwie Truth Social, ale były prezydent szybko się przekonał, że media, w tym media społecznościowe, nie są łatwym kawałkiem chleba. Skoro jego własny serwis nie zyskuje popularności, to być może zmieni zdanie i na Twittera pod zarządem Muska jednak powróci.

eprasa.pl 4708cd516e

Ćwierkający Marsjanin

FOT. ANADOLU AGENCY/GETTY IMAGES

Można się więc spodziewać odblokowania kont nie tylko byłego przywódcy Ameryki, lecz także wielu innych osób, które w ostatnich miesiącach podpadły lewicującym zarządcom ćwierkającego serwisu, przez co zabroniono im ćwierkać w ogóle. Jedną z takich osób jest gwiazda Bollywood Kangana Ranaut, której konto zostało przed rokiem „trwale zawieszone" za wielokrotne naruszenie regulaminu, w tym m.in. za symboliczne wezwanie do „ścięcia głów" twórców kontrowersyjnego serialu „Tandav" „za ranienie uczuć religijnych".

O swoje posady drżą nie tylko menedżerowie, lecz także wielu z ponad 5,5 tys. zatrudnionych w Twitterze osób, bo po sfinalizowaniu transakcji kupna przez słynnego miliardera szybko rozeszła się plotka, że do wyrzucenia jest ponad połowa pracowników serwisu. Według informacji podanych przez Agencję Bloomberg Elon Musk wcale aż tak dużej redukcji etatów nie planuje, ale zwalniać będzie na pewno, aby szybko uciąć koszty.

Według „Washington Post" na pierwszej liście do masowych zwolnień znajdzie się zapewne jedna czwarta pracowników. I chociaż oficjalnej informacji w tej sprawie wciąż brak, to sama groźba masowych zwolnień już bardzo się miliarderowi opłaca.

Jak poinformował „Business Insider", od czasu przejęcia platformy przez ekscentrycznego właściciela pracownicy Twittera pracują o wiele dłużej niż dotychczas. Musk oczekuje ponoć, że przynajmniej wybrani specjaliści będą harować na 12-godzinnych zmianach przez siedem dni w tygodniu. Tygodniowy wymiar czasu pracy nagle wzrósł więc do 84 godzin. Część menedżerów wyższego szczebla, aby wykazać się przed nowym szefem wyjątkowym zaangażowaniem, ostatnie weekendy spędziła zaś, pracując niemal non stop i nocując w biurze.

Według informatorów telewizji CNBC ludzie wprowadzeni do Twittera przez Muska rozpoczęli już intensywne testy, mające na celu sprawdzenie, kto w firmie rzeczywiście pracuje bardzo ciężko. Dotychczasowi programiści dostali więc do wykonania wiele projektów kodowania, tzw. sprintów. Tradycyjnie „sprinty" trwają od jednego do czterech tygodni. W tym wypadku pracownicy nie dostali jednak ponoć żadnej informacji, czy dostaną dodatkowe pieniądze za nadgodziny lub chociaż gwarancję zatrudnienia za intensywną pracę nad nowymi zadaniami. „Financial Times" poinformował, że pracownicy wyższego szczebla dostali jasną informację, że mają pracować praktycznie 24 godziny przez siedem dni w tygodniu, zanim nie uda im się osiągnąć pierwszego dużego celu Elona Muska. Nieprzekraczalny termin na wykonanie zadań to ponoć 7 listopada. A jeśli ktoś się nie wyrobi, to akurat ten miliarder znany jest z tego, że nie ma żadnych skrupułów.

Jaki to cel? Wprowadzenie sprawnie działającego systemu weryfikacji płatnych kont, a więc potwierdzania, że dane konto jest prowadzone przez tę konkretną osobę, a nie jest jednym z wielu tysięcy spamujących kont zarządzanych przez boty lub fałszywym kontem podszywającym się jedynie pod kogoś znanego.

ZARABIAĆ NA MARUDZENIU

Biznesmen przedstawiający się jako zwolennik całkowitej wolności słowa, którą ograniczać miałoby jedynie prawo ustalane przez państwo, a nie regulamin danej aplikacji czy platformy społecznościowej, szybko odpowiedział na głosy krytyki, ogłaszając przy okazji, jak na propagowaniu wolności słowa zamierza zarabiać.

„Wszystkich narzekających proszę: narzekajcie dalej, ale będzie to kosztować 8 dol." – napisał miliarder, który chce jak najszybciej zmonetyzować swój nowy serwis. Elon Musk chce bowiem, aby dużo bardziej popularne stały się zweryfikowane konta z oferty Twitter Blue. Za 8 dol. miesięcznie (równowartość ok. 40 zł) właściciel konta obok swojej nazwy będzie miał specjalny znaczek, oznaczający, że profil należy do prawdziwej osoby, a nie jest częścią spamującej armii botów. Według oficjalnych zapewnień

eprasa.pl 4708cd516e

zwolnionych właśnie członków zarządu Twittera fałszywych kont jest nie więcej niż 6 proc., ale zdaniem Elona Muska jest ich wielokrotnie więcej. Problem wymaga więc pilnego rozwiązania. Dotychczas opłata za Twitter Blue wynosiła 4,99 dol., a z opcji weryfikacji konta korzystają już w USA, Kanadzie, Australii i Nowej Zelandii (na razie tylko tam jest dostępna subskrypcja Twitter Blue) nie tylko tysiące firm, lecz także celebryci, gwiazdy mediów etc.

Płatni użytkownicy zyskają m.in. priorytetowe traktowanie w wyszukiwaniu, odpowiedziach i wzmiankach, możliwość publikowania długich nagrań wideo i audio, a także będą widzieli o połowę mniej reklam. Jak zauważył „Financial Times", nacisk Elona Muska na szybkie zwiększenie przychodów z subskrypcji Twitter Blue nie wziął się znikąd. Miliarder został bowiem jasno poinformowany przez reklamodawców, że platforma musi być wolna od „nieodpowiednich materiałów" i ta kwestia „nie podlega negocjacjom". Reklamodawcy mają w tym przypadku potężną siłę głosu, ponieważ dotychczas wpływy od nich stanowiły aż 90 proc. przychodów Twittera. Presja na właścicieli kont, aby zmieniali bezpłatną wersję na abonament, może być skuteczna, ponieważ według cytowanych przez brytyjski dziennik krytyków pomysłu Muska firmy lub znane osoby, które nie będą chciały ponosić comiesięcznych opłat, staną się narażone na to, że ktoś będzie się pod nie podszywał.

Musk może też przywrócić Vine, czyli serwis z mikrofilmami na Twitterze, który uznawany jest za prekursora TikToka, mającego już ponad miliard użytkowników na całym świecie (Twitter ma zaledwie nieco ponad 200 mln).

BOGATSZY NIŻ... FINLANDIA

Mimo giełdowej bessy wywołanej podwyżkami stóp procentowych majątek Elona Muska pod koniec października wyceniany był na ok. 210 mld (miliardów!) dol. Dla porównania: drugi na liście najbogatszych ludzi świata Jeff Bezos może pochwalić się majątkiem szacowanym na 125,9 mld dol., Bill Gates ma fortunę wartą 102,4 mld dol., a założyciel i szef Facebooka Mark Zuckerberg zgromadził majątek wart ledwie 36,8 mld dol.

Trudne do wyobrażenia bogactwo nowego właściciela Twittera można też próbować sobie uzmysłowić, porównując jego majątek do PKB poszczególnych

Majątek Elona Muska szacowany jest na około 210 mld dol. Mark Zuckerberg – ten biedak, który założył Facebooka – ma ledwo 37 mld

państw. Elon Musk ma więc teoretycznie więcej, niż wynosi roczna wartość produktu krajowego brutto takich państw jak Chile, Finlandia czy Portugalia. Jeszcze inaczej bogactwo 51-letniego miliardera można próbować sobie wyobrazić tak: przeciętny Amerykanin, aby stać się tak zamożny jak dziś Musk, musiałby pracować mniej więcej 3 mln lat (przy założeniu, że przez cały ten czas byłby na utrzymaniu kogoś innego). Ekscentryczny miliarder nie grzeszy więc skromnością i wprost szacuje, że jedna minuta jego myślenia przekłada się na milion dolarów dodatkowego dochodu Tesli.

NIE TYLKO SAMOCHODY

Zanim szef Tesli, SpaceX i The Boring Company dał się poznać w Dolinie Krzemowej jako ambitny innowator i wyjątkowo wymagający menedżer, pierwsze kroki w biznesie stawiał w rodzinnej RPA. Prześladowany w szkole – raz oberwał od uczniów tak mocno, że stracił przytomność – już jako mały chłopak wraz z bratem chodził od domu do domu, sprzedając domowej roboty jajka wielkanocne, a jako 12-latek sam napisał już grę komputerową. Dyplom z fizyki i ekonomii zdobył na Uniwersytecie Pensylwanii. Pierwszą firmę – Zip2 – założył wraz z bratem w 1995 r. Cztery lata później sprzedał ją, inkasując 22 mln dol. Nie osiadał na laurach, tworzył kolejne firmy, w tym PayPal, na którym zyskał 165 mln dol. Od 2002 r. stoi też na czele przedsiębiorstwa kosmicznego, czyli SpaceX, a w roku 2004 zainwestował 70 mln dol. w start-up Tesla Motors. Przeprowadził tę firmę przez kryzys w roku 2008, ale sam też otarł się wówczas o bankructwo. Ostatnia dekada to już niemal pasmo samych sukcesów. Dobre pieniądze zaczęła zarabiać zarówno SpaceX, wykonując loty dla NASA, jak i Tesla, której Model X stał się przebojem rynku motoryzacyjnego.Miliarder wciąż rozwija projekty autonomicznych samochodów elektrycznych. W październiku zaprezentował również prototyp wyposażonego w sztuczną inteligencję humanoidalnego robota, który nazywa się Optimus, kosztuje 20 tys. dol. (ok. 96,6 tys. zł), potrafi przenosić pudła, podnosić metalowe pręty i machać publiczności. Według szefa Tesli robot ten za pięć lat będzie sprzedawał się lepiej niż elektryczne samochody tej marki.

Wokół Muska narosło też oczywiście wiele legend. Jedna z nich mówi np., że jego iloraz inteligencji wynosi 155. Nie ma jednak publicznie dostępnych wiarygodnych źródeł, które by to potwierdzały. Pojawiły się też oskarżenia o molestowania seksualne stewardesy. Sam zainteresowany zarzuty te odparł jako „całkowicie nieprawdziwe".

CEL ŻYCIA: KOLONIZACJA MARSA

Musk budzi też kontrowersje polityczne. Były członek rady doradczej Donalda Trumpa w 2020 r. był krytykowany za lekceważące podejście do pandemii COVID-19, panikę z nią związaną uważał za „głupią", a rządowe lockdowny określił mianem „faszystowskich". Gdy na Zachodzie był krytykowany za warunki pracy panujące w jego fabrykach, zaczął chwalić chińskich robotników, którzy na nic nigdy nie narzekają. Z kolei w tym roku po inwazji Rosji na Ukrainę drwił z Władimira Putina, wyśmiewał czeczeńskiego watażkę Ramzana Kadyrowa i niemal tuż po rosyjskim ataku skierował swoje satelity Starlink nad Ukrainę, aby za darmo dostarczać Internet ukraińskim siłom zbrojnym.

Gdy kilka tygodni temu zażądał finansowania akcji przez Pentagon, okazało się, że 85 proc. z 20 tys. terminali do odbioru Internetu zostało w całości lub częściowo sfinansowanych przez rządy Polski (Warszawa jest najważniejszym płatnikiem), USA i Wielkiej Brytanii. Według CNN różne podmioty zapłaciły też firmie SpaceX jedną trzecią ceny za łączność internetową. Ostatecznie zgodził się nadal finansować część Internetu dla ukraińskiej armii. Musk i tak zirytował jednak Ukraińców, gdy zaproponował swój „plan pokojowy", w tym pozostawienie Rosji Krymu i przyznanie Ukrainie statusu „państwa neutralnego".

Wiadomo za to na pewno, że największym marzeniem Elona Muska jest kolonizacja Marsa. I choć to marzenie wciąż jeszcze niespełnione, to jego ludzie już ciężko pracują, aby móc szybko wysłać szefa na inną planetę.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4708cd516e

FOT. PAWEŁ SUPERNAK/PAP

Z Januszem Kowalskim, wiceministrem rolnictwa, pełnomocnikiem rządu ds. transformacji energetycznej obszarów wiejskich
rozmawia Ryszard Gromadzki

Bitwa o ciepło

RYSZARD GROMADZKI: Zapowiada pan, że biomasa ma być bazowym paliwem transformacji energetycznej w Polsce. Jak pan chce zrealizować ten plan? Za farmami wiatrowymi czy solarnymi stoją potężne lobby.

JANUSZ KOWALSKI: Ten plan dotyczy nie tylko transformacji energetycznej obszarów wiejskich, lecz także zmiany energetycznego paradygmatu w całej Polsce. Biomasa pochodzenia rolniczego, która jest powszechnie dostępna, w naturalny sposób powinna być wykorzystywana w lokalnym powiatowym ciepłownictwie. Kilkaset ciepłowni w Polsce stoi dziś przed dylematem, czy nadal korzystać z węgla czy może przestawić się na gaz. Odpowiedzią na ten dylemat jest biomasa. Wszystkie biodegradowalne pozostałości i odpady wytworzone w procesie produkcji rolnej w Europie Zachodniej, w takich krajach

eprasa.pl 4708cd516e

jak Niemcy czy Dania, wykorzystywane są dla celów energetycznych. W Polsce z jakiegoś powodu nie było chęci do systemowego podejścia do tego tematu. A przecież biomasa jest de facto paliwem OZE numer jeden w Unii Europejskiej.

Jakim potencjałem dysponuje Polska w dziedzinie wykorzystania biomasy?

Dziś polską gospodarkę zabijają unijne opłaty, które płacimy za emisję CO_2. Unia Europejska dyskryminuje węgiel, a promuje gaz ziemny. Tymczasem, jeżeli porównamy koszty przestawienia typowej ciepłowni samorządowej na gaz z inwestycją instalacji na biomasę, to mówimy o zupełnie innym rzędzie wielkości. To zdecydowanie niższe koszty. Gaz importujemy, biomasa jest efektywna przede wszystkim na gruncie lokalnym. Rozproszona energetyka, rozproszone ciepłownictwo są najbardziej efektywne wtedy, kiedy surowiec dostarczany jest z niewielkich odległości. Podam kilka świeżych przykładów świadczących o tym, że samorządy zaczynają dostrzegać w biomasie potencjał. Brzeg i Sanok podjęły decyzje o budowie instalacji biomasowych opartych na biomasie leśnej. Grudziądz, blisko 100-tysięczne miasto, oparł wytwarzanie ciepła m.in. na słomie pozyskiwanej w systemowy sposób przez lokalną ciepłownię od okolicznych rolników. Takich dobrych przykładów jest więcej. Wiele inwestycji związanych w wykorzystaniem biomasy jest w trakcie realizacji, kilkadziesiąt następnych w procesie decyzyjnym. Działających instalacji spalających tylko biomasę jest obecnie w Polsce prawie 50.

Dlaczego mimo tych oczywistych profitów biomasa w Polsce była przez tyle lat w odwrocie? Czy należy to łączyć z lobbingiem zachodnich, najczęściej niemieckich koncernów inwestujących w energetykę wiatrową i fotowoltaikę?

Tak uważam. Przy inwestycjach wiatrakowych czy solarnych zyskują przede wszystkim deweloperzy farm wiatrowych czy fotowoltaicznych. Zyskują nieliczni – ci, którzy wydzierżawiają teren pod takie instalacje. Natomiast pozostali Polacy nie z tego nie mają.

Transformacja energetyczna ma być korzystna dla milionów Polaków, a nie dla zagranicznych koncernów! Opowieści totalnej opozycji o tym, że jeśli zainwestujemy w wiatraki, to będziemy mieli tańszą energię, są wierutnym kłamstwem, bo to niestabilne i bardzo kosztowne źródła energii, czego dowodem jest subsydiowanie miliardami euro rocznie tego sektora przez Niemcy. W czasie, kiedy te instalacje nie pracują w efektywny sposób, inni wytwórcy energii muszą zapewnić stabilność systemu. Rejestr ryzyka jest tu znacznie szerszy. Fotowoltaika opiera się w istotnym stopniu na wykorzystaniu metali rzadkich, co uzależnia Polskę surowcowo od Chin. Pamiętamy czas epidemii COVID i zerwane łańcuchy dostaw, które uderzyły także w ten sektor. W wypadku biomasy tego rodzaju ryzyka nie ma, jeżeli systemowo postawimy na zagospodarowanie polskiej biomasy. To interes także dla całego polskiego przemysłu, dla producentów kotłów, które mamy na światowym poziomie, dla całego przemysłu maszynowego.

Elektrownia na biomasę

FOT. ADOBE STOCK

Unia Europejska dyskryminuje węgiel, a promuje gaz ziemny. Tymczasem, jeżeli porównamy koszty przestawienia typowej ciepłowni na gaz z inwestycją instalacji na biomasę, to mówimy o zupełnie innym rzędzie wielkości. To zdecydowanie niższe koszty

Moim celem jest doprowadzenie do sytuacji, w której biomasa nie będzie dyskryminowana kosztem instalacji fotowoltaicznych czy wiatrakowych. Systemy finansowego wsparcia są dziś ustawione w sposób, który powoduje dokładnie taki efekt. Chodzi mi o to, żeby wyrównać poziom wsparcia, co powinno zapoczątkować boom na inwestycje biomasowe. Niestety, dotąd nasze państwo nie stworzyło, tak jak dzieje się to w Niemczech czy Danii, mody na wykorzystanie odpadów dla energetyki, w efekcie duża ich część się marnuje. Chciałbym stworzyć system wsparcia finansowego dla producentów roślin, które można by wykorzystywać na cele energetyczne. Dlaczego na nieużytkach, na glebach piątej czy szóstej klasy nie można by przy wykorzystaniu dopłat rozwijać takich upraw? Chodzi o stworzenie stabilnej perspektywy dla rolników indywidualnych, co ostatecznie powinno skutkować niższymi cenami ciepła i energii.

Nie wymyślamy prochu, wystarczy spojrzeć na to, co robią inni. Niemcy produkują z biomasy pięć gigawatów energii rocznie, przy efektywności na poziomie 92 proc. Kaloryczność słomy pozwala na zastąpienie jednej tony węgla importowanego przez półtorej tony słomy. W Polsce możemy produkować brykiet ze słomy, z kaczanów kukurydzy czy ze wszelkich odpadów powstających podczas produkcji rolno-spożywczej. Ale wcześniej musimy zbudować system, który pozwoli obniżyć koszty. Program, który chcę realizować, jest nastawiony na sezony 2023/2024 i 2024/2025 i będzie się opierał na inwestycjach nie tylko w zdywersyfikowane

eprasa.pl 4708cd516e

źródła i przetwarzanie biomasy, lecz także na dofinansowaniu inwestycji w peleciarki czy brykieciarki dla samorządów, ośrodków pomocy rodzinie czy ośrodków doradztwa rolniczego, rolników indywidualnych, którzy będą mogli dzięki temu zapewnić sobie energię cieplną do ogrzewania swoich domów i gospodarstw. Biomasa agro zastępuje doskonale węgiel w ogrzewnictwie indywidualnym!

Mówi pan, że program inwestycji w energię z biomasy zacznie przynosić efekty za dwa–trzy lata, ale wybory są za rok, a energia, ciepło to dziś kluczowe kwestie polityczne. Być może od tego, ile pieniędzy Polacy wydadzą na ogrzewanie swoich mieszkań i domów w tym sezonie, zależeć będzie wynik przyszłorocznych wyborów...

Rdzeń programu, za który odpowiadam, dotyczy właśnie lokalnego ciepłownictwa, czyli kilkuset ciepłowni w całej Polsce. Jeśli uda się go wdrożyć, to powinno to się przełożyć na sytuację milionów gospodarstw domowych, które zapłacą mniejsze rachunki za ciepło. W tej chwili te ciepłownie płacą horrendalne kwoty za importowany węgiel, którego w Polsce brakuje. Potrzebne są inwestycje w polskie górnictwo oczywiście, a importowany węgiel i gaz powinniśmy zastąpić biomasą. Jestem zwolennikiem podejścia, żeby polskie państwo podeszło do problemów ciepłownictwa lokalnego w sposób systemowy. Sto, dwieście ciepłowni, które powinny przestawić się całkowicie na biomasę, plus wsparcie finansowe ze strony państwa dla produkcji i przetwarzania biomasy pochodzenia rolniczego stworzą sytuację win-win, w której zyskują wszyscy – zarówno rolnicy, indywidualni odbiorcy, jak i przedsiębiorstwa oraz samorządy, które otrzymają tańsze ciepło.

Solidarna Polska miała rację we wszystkich kluczowych kwestiach dotyczących polityki energetycznej

Pana powrót do rządu oznacza, że spory między PiS a Solidarną Polską będą wygaszane?

Solidarna Polska miała rację we wszystkich kluczowych kwestiach dotyczących polityki energetycznej. Nasza krytyka polityki energetycznej państwa do roku 2040, firmowanej przez poprzedniego ministra klimatu Michała Kurtykę, była w pełni uzasadniona, postawiono na gaz ziemny jako paliwo przejściowe. Zwiększanie uzależnienia od rosyjskiego gazu było ogromnym błędem. Paliwem przejściowym powinny być węgiel i biomasa. Tymczasem w polityce energetycznej państwa biomasa była dyskryminowana, postawiono na obce technologie, nie wykorzystując potencjału obszarów wiejskich w Polsce. Mieliśmy jako Solidarna Polska całkowitą rację, jeśli chodzi o krytykę unijnego system handlu emisjami CO_2. Straciłem z tego powodu stanowisko w rządzie, a dziś reforma unijnego systemu handlu emisjami CO_2 jest głównym postulatem polskiego rządu wobec Komisji Europejskiej. Mieliśmy też rację w kwestii polskiego węgla, jego wydobycia i inwestowania w nowe pokłady. Niestety, to się nie stało. Ufam, że teraz Zjednoczona Prawica, mając namacalne dowody, że Solidarna Polska w obszarze energetycznym ma kompetencje i rację, wsłucha się w nasze głosy i zajmie jasne stanowisko, że nie jest potrzebna żadna liberalizacja zasady 10H (zapis przyjęty w ustawie o inwestycjach w energetyce wiatrowej z 2016 r., na mocy którego elektrownia wiatrowa nie może być zbudowana w odległości mniejszej niż dziesięciokrotna wysokość turbiny wraz uniesionymi łopatami od zabudowań mieszkalnych, kompleksów leśnych itp.). Zniesienie zasady 10H byłoby prezentem dla niemieckich czy duńskich lobbystów. O to walczą proniemiecka PO i postkomunistyczne PSL. Jeszcze raz powtórzę: jako prawica powinniśmy postawić na biomasę pochodzenia rolniczego, która jest korzystna, mówiąc bez ogródek, dla naszych wyborców, dla rolników indywidualnych, dla polskiej wsi. Ale na pewno nie dla zagranicznych koncernów, które chcą zarabiać gigantyczne pieniądze na liberalizacji zasady 10H.

Premier jest otwarty na pana argumenty?

Jestem przekonany, że każdy powinien być na nie otwarty, bo stoją za nimi liczby. Żadna instalacja wiatrakowa czy fotowoltaiczna nie jest tak efektywna jak instalacja biomasowa. Żadna z nich nie daje tyle dochodów rolnikom i korzyści społeczeństwu jak inwestycje biomasowe. To budowa suwerennej energetyki, szczególnie ciepłownictwa. To program taniego ciepła, a także energii dla milionów Polaków.

Ten program jest solą w oku dla potężnego lobby wiatrakowego w Polsce związanego z Platformą czy PSL, za którym stoją interesy niemieckie. Wmawia się nam, że to najtańsza energia, co nie jest prawdą. Ufam, że Zjednoczona Prawica zaaprobuje ten program, bo on otwiera drogę do energetycznej suwerenności.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

ODWIEDŹ STRONĘ filmopedia.org
I ODKRYJ MAGIĘ HISTORII POLSKIEGO KINA

Projekt współfinansowany przez Polski Instytut Sztuki Filmowej

POLSKI INSTYTUT SZTUKI FILMOWEJ

eprasa.pl 4708cd516e

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Rządowy haracz inflacyjny

Jak niedawno „wygadał się" nie kto inny, jak sam wiceminister finansów Artur Soboń, „każdy punkt procentowy wyższej inflacji, to jest 4,7 mld zł więcej dochodów w budżecie państwa, po drugiej stronie generuje to jednakowo wysokie wydatki". Choć to żadna tajemnica i wystarczy policzyć, by się o tym przekonać, wszelako w dyskursie publicznym niezwykle rzadko – za rzadko – pojawiają się tego typu porównania. Porównania unaoczniające, jak bardzo rząd Polski zyskuje na tym, na czym tak bardzo tracą – wskutek rosnącej inflacji – obywatele Polski.

Oczywiście trudno podejrzewać rząd, że mógłby w aż tak cyniczny sposób – czyli celowo nakręcając inflację – żerować na inflacyjnej niedoli Polaków; zwłaszcza tych najbiedniejszych Polaków, bo to przecież ich wzrost cen zawsze dosięga najszybciej i najbardziej. Wszelako podczas konstruowania budżetu państwa na kolejny rok i później, podczas weryfikowania poziomu jego wykonania, ktoś tam w rządzie – niekoniecznie ze smutną miną – zapewne chętnie sumował i nadal sumuje te kolejne miliardy złotych wpływające do kasy państwa wraz z każdym dodatkowym punktem procentowym inflacji. Miliardy złotych wyciągane z kieszeni polskich konsumentów, bezpardonowo nękanych przez te kolejne punkty procentowe inflacji.

Skoro bowiem każdy jeden punkt procentowy więcej inflacji – jak policzył wiceminister Soboń – oznacza 4,7 mld zł dodatkowych wpływów do kasy państwa, to przecież nietrudno porachować, że w takim razie każde 10 punktów procentowych więcej inflacji to aż 47 mld zł dodatkowych wpływów do kasy państwa. Czyli – nie inaczej – niemal 50 mld zł do wydania w każdym roku dopóty, dopóki wysoka inflacja się utrzyma.

A to już nie w kij dmuchał; za to można pozyskać głosy całej armii wyborców. A to sfinansowanym z tego inflacyjnego haraczu dodatkiem takim, a to siakim; a to specjalną podwyżką emerytur dla rolników, a to podwójną waloryzacją emerytur dla mieszkańców miast, a to dodatkiem na węgiel, a to dodatkiem na ogrzewanie się prądem, i tak bez końca – dzień za dniem, tydzień za tygodniem, miesiąc za miesiącem.

W ten sposób rząd – zamiast zatrzymać wypływ gotówki na rynek, nie powiększając wydatków państwa z pieniędzy pochodzących z inflacyjnego haraczu i nie nakręcając w ten sposób dalej inflacji – po to, by za wszelką cenę ograniczyć jej wzrost i by ludzie po prostu mogli wszystko kupować taniej, uparcie tę inflację dalej nakręca, i nakręca, i nakręca. Przez co ma coraz więcej i więcej pieniędzy z tego coraz wyższego inflacyjnego haraczu na dalsze „pomaganie" swoim wyborcom.

I naprawdę, bardzo chciałbym wierzyć, że wszystko to dzieje się jakoś tak „przez przypadek" – z powodu niewiedzy lub/i roztargnienia rządzących, a nie jest dokonywane z zimnym, pełnym wyrachowania rozmysłem. ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Panie Timmermans, cała naprzód!

Zakładam, że nie ma państwa wśród 214,3 tys. osób obserwujących profil twitterowy Fransa Timmermansa, wiceprzewodniczącego Komisji Europejskiej oraz głównego promotora szkodliwego i absurdalnego w swojej istocie pakietu „Fit for 55" (na który polski rząd się zgodził). W takim razie zrelacjonuję, co napisał Timmermans 27 października wieczorem: „Mamy porozumienie! Nic dziwnego, że pierwsze uzgodnienie w ramach »FF 55« dotyczy standardów emisji CO_2 przez samochody: tempo rozwoju w ciągu ostatnich lat było prawdziwie niezwykłe. Przemysł samochodowy UE jest gotowy, konsumenci z niecierpliwością wyczekują zeroemisyjnej mobilności. Zatem cała naprzód!". Chodziło o porozumienie między PE a Radą UE w sprawie zakazu rejestracji nowych aut spalinowych od 2035 r.

Jednego muszę panu Timmermansowi pogratulować: zmieścić w jednym tweecie tyle kłamstw – to trzeba umieć. Otóż postępy w technologii bateryjnej – a tylko o takiej teraz realnie możemy mówić w kontekście elektromobilności – bynajmniej nie były „niezwykłe". Były mikre i nijak nie zmieniły zasadniczej wady samochodów na baterię: zasięgu w realnych warunkach i czasu ładowania. Najwyżej je lekko poprawiły. Nie zmieniły także pomijanego milczeniem faktu, że może odejdziemy od uzależnienia od ropy, ale za to wpadniemy w znacznie gorsze uzależnienie od pierwiastków niezbędnych do produkcji akumulatorów. A państwa nimi dysponujące (nie ma takich w Europie) już zaczynają rozmawiać o stworzeniu czegoś na kształt OPEC.

Przemysł samochodowy również nie jest gotowy, nawet jeśli oficjalnie robi dobrą minę do złej gry. Przedstawiciele koncernów sygnalizowali wielokrotnie, również po osiągnięciu tego porozumienia, że to skrajnie wyśrubowane cele, które bardzo trudno będzie zrealizować.

Co do konsumentów – nie wiem, na jakiej podstawie Timmermans stawia swoją tezę. Nikogo o zdanie nie pytał, a wystarczy poczytać komentarze pod jego wpisem, żeby zobaczyć, że – mówiąc najdelikatniej – wiele osób się z nim nie zgadza i bynajmniej nie wyczekuje niecierpliwie urzędowego nakazu kupowania samochodów na baterię.

Unijna regulacja ma jeszcze przejść przegląd w roku 2026, a więc po kolejnych wyborach do PE, z nową Komisją. Pozostaje liczyć, że do tego czasu zwyciężą jednak zdrowy rozsądek, realny ogląd sytuacji i wolność, a pan Timmermans dostanie siarczystego kopniaka i oddali się od decyzyjnych stanowisk zgodnie z własną obecną deklaracją, całą naprzód! ©℗

eprasa.pl 4708cd516e

Poznań

Grupa Inwest®

HORYZONT
NARAMOWICE

RODZINNA INWESTYCJA

www.horyzont-naramowice.pl

WILDA CORNER

PRESTIŻOWA INWESTYCJA

www.wilda-corner.pl

NOVA ŁACINA
NIEMENA 6

MIESZKANIA INWESTYCYJNE

www.nova-lacina.pl

www.**grupainwest.pl** +48 **882 818 848**

eprasa.pl 4708cd516e

Joanna Bojańczyk

Przedsiębiorstwo rozrywkowe, moda

Pokazy mody stały się bardziej przedsiębiorstwem rozrywkowym niż przeglądem ubrań. Każda prezentacja to show zrobiony po to, by pokazać splendor i potęgę marki

Proszę nie pytać, co będzie modne zimą. Nie mam pojęcia. Jeszcze większe zaciemnienie na moim dysku mózgowym zrobiło się po obejrzeniu wieloodcinkowego spektaklu pt. „Fashion Week Mediolan, wiosna–lato 2023". Odbywa się on jakby nigdy nic, jakby nad światem lub co najmniej Europą nie wisiała groza wojny. Kółko Fashion żyje w swojej bańce, w separacji od świata zewnętrznego.

Proszę zapomnieć, że pokazy mody służą pokazaniu tego, w co w najbliższej przyszłości się będziemy ubierać. Takie rzeczy są już passé. Dzisiaj pokaz mody to gigantyczny show, zrobiony po to, żeby pokazać splendor i potęgę marki. W tym celu oczywiście ubrania występują jako część spektaklu, ale bardziej niż one potrzebne są: znana twarz, niezwykła scenografia, wydarzenie, skandal, a najlepiej wszystko razem wzięte. Dla ambitniejszych – coś ze sztuki: instalacja, performance, znane nazwisko. Walić trzeba mocno, gdyż ogólny poziom hałasu w infosferze mody jest tak wysoki, że przebić się trudno.

To wszystko jest policzalne. Liczy się tzw. MIV – Media Impact Value, algorytm, który przelicza poszczególne eventy na obecność w mediach. Każdy pokaz i każde wydane na to euro mają być efektywne, na początku medialnie, potem ma się zwrócić, gdy klienci uruchomią karty kredytowe.

Po porównaniu wyników z roku 2019 za najbardziej udane uznano trzy wydarzenia: kampanię Ralpha Laurena na 50-lecie istnienia marki, zmianę nazwy (rebranding) Celine (czyli usunięcie małego akcentu nad e, wskazującego na francuskie pochodzenie założyciela; teraz marka ma wyglądać na międzynarodową) oraz pokaz Gucciego, który odbył się w Paryżu, zamiast jak zwykle w Mediolanie. Wartość wydarzenia Ralpha Laurena marketingowcy ocenili na 38 mln dol. Jak widać, w tych wydarzeniach ubrania nie grają roli. Chodzi tylko o zamieszanie, które wywołują.

Fashion Week w Mediolanie – pokaz wiosna–lato 2023. Od lewej: Stefano Gabbana, Kim Kardashian i Domenico Dolce

FOT. SHUTTERSTOCK/EAST NEWS

eprasa.pl 4708cd516e

Zorganizowanie trwającego ok. 15 minut pokazu mody na dużą skalę to koszt, jak podaje „Forbes", od 200 tys. euro do ponad miliona. Ale marketing uważa: niech kosztuje, ile chce, byle o nas mówiono. Rywalizacja jest coraz silniejsza. Każdy z graczy wielkiej czwórki – Paryż, Mediolan, Londyn, Nowy Jork – walczy o pierwszeństwo. Nie należy myśleć, że w Paryżu prezentują się Francuzi, a w Londynie Anglicy. Nazwiska się mieszają i każda z imprez ma charakter międzynarodowy. Paryż uchodzi wciąż za najbardziej prestiżowy, choć do dawnego bezwzględnego przodownictwa już raczej powrotu nie ma.

UPADAJĄCE MODELKI

Jak wiedzą niektórzy, bardziej obeznani z popkulturą, amerykańska celebrytka Kim Kardashian jest osobą, na którą można liczyć, jeśli chodzi o clickbaity. Zaproszenie skandalizującej Amerykanki do Mediolanu na pokaz Dolce & Gabbana na pewno było dobrym ruchem biznesowym. Kim nie jest projektantką, ale dysponuje atutem, o którym inni mogą marzyć – pupą. Sprzedaje ją na różne sposoby. Ostatnio na okładce wrześniowego wydania magazynu „Interview", gdzie prezentuje wyjątkowo okazały derriere na tle amerykańskiej flagi. Bez odzieży, ma się rozumieć. Kolekcja, którą przygotowała dla D&G, była równie wulgarna i banalna, jak zawsze, ale nikt się nie spodziewał czego innego. I oczywiście wszyscy o tym napisali.

Każdy, kto zna i ceni modę włoską za jej elegancję, umiar i subtelność, się zdziwi: Po co im ktoś taki jak Kardashianka? Otóż wyjaśnienie jest następujące: marka ma dwa oblicza, jedno to kreacje festiwalowo-oscarowe, wypracowane i piękne. Drugie to oblogowana masowa drobnica: T-shirty, paski, czapki, torebki, sportowe buty itp. Pierwsze daje glorię, drugie pieniądze. I dla tego drugiego można sobie pozwolić raz na Kim Kardashian. Ona zareklamuje wyżej wymienione towary swoim licznym followersom, którzy idą w miliony. I oni to kupią.

Są też gracze bardziej ambitni. Marka Moncler w swoich początkach, w latach 50., zaczynała jako skromny producent ciepłej odzieży z południowej Francji. W roku 1968 ubrała francuską ekipę na zimową olimpiadę w Grenoble i od tej pory jest honorowym dostawcą strojów olimpijskich (notabene to ta sama olimpiada, na której polska ekipa zamieniła na twardą walutę białe haftowane kożuszki, w które została przed wyjazdem wyposażona). Pierwszy krok do międzynarodowej sławy został zrobiony, gdy w roku 2003 wziął firmę w swoje ręce włoski biznesmen Remo Ruffini. Zainwestował, wprowadził na giełdę i zrobił z niej luksusową markę o międzynarodowym zasięgu. Puchówka z logo Moncler (od tysiąca euro wzwyż) to dziś marzenie narciarzy i nastolatek z prywatnych szkół w Szwajcarii...

Nastąpił demontaż reguł, ale nie narzekajmy na to. Świat się zmienia i moda podąża za zmianą. Wciąż jest w niej wiele pięknych rzeczy, które ludzie chcą kupować

Obecnie Moncler świętuje 70. urodziny. Z tej okazji – i żeby nadać wydarzeniu większy rozgłos – w czasie Fashion Weeku zorganizowano spektakularne widowisko na placu przed mediolańską katedrą. Dwa tysiące tancerzy ubranych w białe puchowe kurtki odegrało balet przed kilkunastoma tysiącami. Ci, którym nie udało się dopchać do sceny, obserwowali pokaz na telebimach. Film zamieszczony na stronie internetowej Moncler robi wrażenie.

Na nowy poziom wzniosły modę pokazy mało znanej kolekcji AVAV. O ubrania mniejsza, zainteresowanie wzbudziły przewracające się na podium modelki. Dziewczyny po wyjściu na scenę nagle jakby potykały się o coś i padały. – Upadek ma zdemaskować powagę, którą przypisuje sobie biznes mody, ma pokazać cały jej fałsz. Pieniądze i eskapizm są w dzisiejszym społeczeństwie najważniejsze – skomentowała projektantka Beate Karlsson. Nie wiadomo, czy odbiorcy przejęli się wzniosłym tłumaczeniem, wiadomo, że filmik z przewracającymi się modelkami zdobył milion wyświetleń.

RĘKAWICZKI W KWIETNIU

Powyżej opisane zdarzenia nie informują o nadchodzących tendencjach, kolorach, fasonach itp., czyli tym, co – zdawałoby się – powinno nas interesować w modzie. Kiedy pokazy stały się bardziej przedsiębiorstwem rozrywkowym niż przeglądem mody, trudno z medialnego chaosu wyłuskać konkretne informacje. To rozjaśni się dopiero, gdy na wystawach sklepów zobaczymy pierwsze wiosenne kolekcje. Nastąpi to w marcu, ale niewykluczone, że gdy skończą się styczniowe wyprzedaże, to pierwiosnki wiosennych kolekcji pokażą się w sklepach. Kto w zimnym kwietniu będzie próbował kupić rękawiczki, zawiedzie się – powitają go letnie sukienki i szorty. Tak działa zaburzony cykl mody, który rozmija się z porami roku, bo musi być posłuszny nakazom marketingu.

Jednym z globalnych fenomenów mody ostatnich lat jest postępująca uniformizacja garderoby damskiej i męskiej. To pochodna emancypacji kobiet, chęć uwolnienia się od niewygodnych ubrań na rzecz praktycznych i wygodnych. Stąd zapewne wynika trwający od paru lat styl obszerny, luźny. Z punktu widzenia dobra planety – a o tym nie przestają mówić ludzie mody – szycie dużych ubrań pochłania o wiele więcej materiału i pracy niż szycie ubrań przylegających do ciała. Większy jest koszt produkcji, wyższa cena. Inna sprawa, że przy okazji społeczeństwa świata zachodniego są coraz grubsze i ubierać tych grubych to także koszt.

Inny fenomen to zrównanie – nie zawsze, ale często – ubrań dziennych i wieczorowych. Jeszcze całkiem niedawno, w drugiej połowie XX w., funkcjonowały pojęcia: „suknia spacerowa", „suknia dzienna", „suknia koktajlowa". Coś takiego dziś spotkamy w muzeum. Chodzimy w dżinsach w dzień i w nocy, na spacer, do pracy, do kina i wszędzie. A kto chodzi na koktajle? Celebryci na festiwale przychodzą, w czym chcą, ubrani lub nie. W filharmonii, w teatrze bluza dresowa jest na porządku dziennym (przyznaję, że mi to przeszkadza). Organizatorzy poważnych imprez w obawie, by goście nie stawili się unisono w dżinsach z dziurami na kolanach, dodają na zaproszeniach groźne „black tie".

Nastąpił demontaż reguł, ale nie narzekajmy na to. Świat się zmienia i moda podąża za zmianą. Wciąż jest w niej wiele pięknych rzeczy, które ludzie chcą kupować. Gdy zdjąć z pokazów ich pozłotkę, i na nich znajdzie się ich sporo. Na podiach każdy ciuch trzeba udziwnić i dopiero, gdy go się oczyści z nalotu, pozostaje rzecz zupełnie prosta, noszalna (Anglicy mówią wearable) i całkiem sensowna. Więc po co pokazy? Po to, żeby państwo przeczytali, a potem kupili nowy sweter, nie całkiem potrzebny. Oby świat utrzymał się do wiosny w takiej postaci, jak widzę go dziś. Żółknące liście za oknem i spokój.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4708cd516e

TEST „DO RZECZY": TELEWIZOR SAMSUNG THE FRAME 2022

Matowa matryca QLED, imponująca głębia kolorów, minimalistyczne wzornictwo, dobra jakość obrazu, moduł One Connect oraz pilot na baterie słoneczne – to największe zalety tegorocznej wersji uniwersalnego telewizora z niezwykle popularnej serii południowo-koreańskiego producenta.

The Frame to seria, w której telewizory mają przypominać obrazy. Mogą wisieć, przylegając blisko do ściany, lub stać na statywie-sztaludze (sprzedawanej osobno), wyświetlając non stop np. dzieła największych malarzy w historii lub zdjęcia z wakacji. Magnetyczne ramki telewizora są wymienne (sprzedawane osobno), dzięki czemu można łatwo dopasować wygląd urządzenia do wystroju salonu lub co jakiś czas w ciągu kilkudziesięciu sekund zmienić aranżację wnętrza. Aby nie psuć efektu tradycyjną plątaniną kabli, projektanci zastosowali w tym modelu moduł One Connect, dzięki któremu szybko i łatwo można podpiąć do zewnętrznego modułu dekoder od kablówki, soundbar, konsolę etc., a sam telewizor połączyć za pomocą cienkiego, niemal niewidocznego przewodu.

Plusem jest matryca QLED o rozdzielczości 3840 x 2160, która została pokryta matową powłoką. Dzięki niej nawet w bardzo słoneczny dzień można oglądać filmy bez trudu, bez odbicia światła, bez refleksów i… bez konieczności zaciągania na ten czas grubych zasłon. Matowa matryca poprawia również wrażenia z oglądania obrazów i zdjęć na „wyłączonym" telewizorze. Obrotowy uchwyt umożliwia również… ustawienie telewizora w pionie, dzięki czemu we własnym salonie można urządzić np. pokaz dzieł najsłynniejszych polskich plakacistów.

Niewielkie opóźnienie wejścia (poniżej 10 ms) w specjalnym trybie gry sprawia, że telewizor świetnie sprawdzi się również w grach wideo. A co z jakością obrazu podczas oglądania filmów? Jest dobra. Głębia kolorów robi niesamowite wrażenie. Kontrast mógłby być już jednak zdecydowanie lepszy. Telewizor zawodzi też nieco w naprawdę ciemnych scenach, gdzie brakuje niektórych szczegółów. Niestety, stosunkowo kiepskie są też kąty widzenia obrazu, co jest skutkiem zastosowania przez producenta matowej matrycy.

Zaletą jest też nieźle zaprojektowany biały pilot, który jest wyposażony w „panele słoneczne", dzięki czemu czerpie energię ze słonecznego oraz sztucznego światła.

Wbudowany Smart Hub umożliwia szybki dostęp do najpopularniejszych platform VOD, takich jak Netflix, Amazon Prime, HBO Max, Disney+ etc. Z Art Store można zaś ściągnąć na telewizor największe dzieła sztuki (do wyboru jest ponad 1,6 tys. arcydzieł z najbardziej renomowanych galerii świata).

Dźwięk, jak to w płaskich telewizorach, jest dość płaski i pozbawiony głębokich basów, choć w przypadku testowanego modelu i tak jest lepszy niż w wielu produktach konkurencji. Decydując się na model tej klasy, warto jednak od razu dokupić soundbar, który polepszy jakość dźwięku.

Wady? Jeśli w salonie na kanapie ma zasiąść cała rodzina, to część domowników na pewno będzie narzekać na kąty widzenia. Ze skrajnego miejsca narożnika kolory przestają być tak żywe jak na wprost. Gorszy jest też kontrast.

Mimo to do oglądania dzieł sztuki, seriali, rozgrywek piłki nożnej czy grania w gry wideo to strzał w dziewiątkę. Zagorzali krytycy filmowi mogą znaleźć na rynku coś lepszego, ale jestem przekonany, że przeciętny użytkownik i tak będzie zadowolony. Telewizor jest dostępny aż w siedmiu rozmiarach i kosztuje od 2189 zł za wariant 32-calowy do 14 899 zł za wariant z ekranem o wielkości aż 85 cali. ©℗

Jacek Przybylski

BRANSOLETKA ZAMIAST KLAWIATURY?

Firma Tap wprowadziła na rynek bransoletkę wyglądającą jak typowa opaska fitness o nazwie TapXR. Według zapewnień producenta umożliwia ona wystukiwanie wiadomości praktycznie na dowolnej powierzchni. Na pilną służbową wiadomość można więc odpowiedzieć, np. wystukując kolejne litery na „wirtualnej klawiaturze", którą stać się mogą np. kuchenny stół, spodnie, podłokietnik w samochodzie etc. Zasada działania opiera się na zestawie czujników. Urządzenie potrafi ponoć współpracować również z goglami rozszerzonej rzeczywistości i umożliwia pisanie z prędkością ponad 70 słów na minutę. Cena: ok. 1,2 tys. zł. Premierę przewidziano na pierwszy kwartał przyszłego roku.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

ECHO DOT WCIĄŻ BEZ POLSKIEGO

Amazon pochwalił się pod koniec października, że nowa, międzynarodowa wersja Echo Dot jest gotowa do wysyłki do klientów w Polsce. Kompaktowy, kulisty głośniczek ma zapewniać dwa razy więcej basu w porównaniu z poprzednią generacją. Cena: 299,99 zł. Niestety, amerykańska firma wciąż oczekuje od potencjalnych nabywców w Polsce, że po zakupie gadżetu będą z Alexą rozmawiali wyłącznie po angielsku. Oczywiście można pytać w języku Szekspira o polskie wiadomości czy prognozę pogody dla Szczebrzeszyna, ale skoro konkurencja już nauczyła się języka Mickiewicza, to może i Alexa kiedyś zmądrzeje. Przy okazji promocji kolejnej edycji Echo Dot nad Wisłą jedyne pytanie do marketingowców Amazona, które ciśnie się na usta, brzmi więc krótko: „WTF?". ©℗

Jacek Przybylski

eprasa.pl 4708cd516e

JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Bar – rezydencja hetmanów

Okrzyk „Bar wzięty!", kończący pierwszy tom „Trylogii" Henryka Sienkiewicza, wszedł już dawno do potocznej polszczyzny, oznaczając przerażające zdarzenie albo – przeciwnie – kpinę z mało znaczącego wydarzenia podniesionego do rangi katastrofy narodowej. Często oznacza niespodziewane pojawienie się dna w beczce lub flaszce, podczas gdy wkoło towarzystwo bawi się świetnie na bankiecie.

Prawdziwy Bar historię ma jednak niezwykłą. Dość powiedzieć, że w XV w. była to zwykła wioska, aczkolwiek położona strategicznie na szlaku kuczmańskim, którym chadzali na wyprawy Tatarzy; pomiędzy Bohem a Dniestrem. Osada zwała się wówczas Rów, należała do Stanisława Odrowąża, był tu też zamek wzniesiony jeszcze pod koniec XIV w. przez Koriatowiczów, jak większość umocnień na dalekich Kresach drewniano-ziemny, wielokrotnie palony przez Tatarów. W 1452 r. Orda zdobyła go i zrujnowała, biorąc do niewoli miejscowego starostę – Reja Stogniewa i jego żonę.

RYS. MART

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Pod koniec stulecia Rów został wykupiony od Stanisława Odrowąża przez królową Bonę. Od razu zmieniła nazwę na Bar, na pamiątkę swojego dziedzicznego księstwa we Włoszech – Bari. Następnie zainicjowała rozbudowę miasta i umocnień. Pierwszy starosta – Wojciech Starzechowski – do 1540 r. rozbudował zamek nad rzeką Rów, wznosząc mury z miejscowego kamienia zaopatrzone w pięć baszt i tworzące kwadratowy narys budowli. Do twierdzy sprowadzono liczną artylerię.

Następcą starosty był legendarny wojownik i zagończyk – Bernard Pretficz, za którego rządów Bar stał się jedną z głównych twierdz i gniazdem oporu przeciwko Tatarom, a starosta zasłynął jako pogromca Ordy. Na zamku utrzymywał oddziały kozaków, miasto stało się obozem wojskowym i szkołą wojskową. Ściągali tutaj z Korony ludzie, którzy chcieli nauczyć się wojennego rzemiosła, służąc pod sławnym Pretficzem, zwanym Murem Polskim i Postrachem Tatarów. Po Pretficzu starostami byli kolejno: Mikołaj Buczacki i Mikołaj Herburt. Następnie Stanisław Golski i wreszcie – od 1613 r. – sławny hetman Stanisław Żółkiewski, który założył tutaj kolegium jezuickie – przetrwało do końca XVIII w. Od jego czasów przyjęto, aby starostwo barskie nadawać hetmanom albo zasłużonym oficerom armii koronnej, dlatego zaczęto je nazywać rezydencją hetmanów koronnych. Za czasów Stanisława Koniecpolskiego wzniesiono arsenał, a zamek zmieniono w twierdzę bastionową – dodając obmurowane wały, dwa pełne bastiony od strony wschodniej i dwa półbastiony od rzeki. Pracami kierowali dwaj najwybitniejsi ówcześni inżynierowie przebywający na służbie króla Władysława IV – Andrzej dell'Aqua i Wilhelm de Beauplan. Do twierdzy przytykało miasto podzielone na trzy dzielnice – Lacką, Czeremysy i Ruską.

Kres świetności Baru położyło powstanie Chmielnickiego. Niespodziewanie dla wszystkich – 1 sierpnia 1648 r. – oddziały kozackiej czerni dowodzone przez Maksyma Krzywonosa zdobyły szturmem miasto, podchodząc pod wały pod osłoną mgły. Pozostał tylko zamek, w którym broniła się załoga pod dowództwem Andrzeja Potockiego, schroniło się tam wielu Żydów i mieszczan. Polacy rozpoczęli negocjacje, w czasie których Kozacy zgodzili się na wolne wyjście obrońców. Kiedy jednak zaczęli oni opuszczać mury twierdzy, zostali zaatakowani, część z nich zatem się cofnęła i broniła jeszcze przez trzy dni – dopóty, dopóki 4 sierpnia twierdza nie padła w wyniku zdrady. Gdy Rusini wskazali Kozakom tajne przejście pod murami.

Bar został odbity kilkanaście miesięcy później przez oddział Piotra Potockiego, potem przechodził z rąk do rąk. W 1659 r. został oddany Janowi Wyhowskiemu, wojewodzie kijowskiemu i hetmanowi kozackiemu. Od roku 1672 był pod panowaniem tureckim, a na początku listopada 1674 r. został zdobyty przez wojska Jana III Sobieskiego, gdyż dowodzący obroną Hussejn Murawski przeszedł wraz z Lipkami – polskimi Tatarami – na stronę Rzeczypospolitej. Niestety, wkrótce został znowu zdobyty przez Turków i odzyskany po traktacie w Karłowicach w 1699 r.

Powtórnie Bar wrócił na arenę historyczną 29 lutego 1768 r., kiedy zawiązała się tutaj konfederacja barska, ostatni bunt szlachty przeciwko moskiewskim gwałtom i próbom narzucenia protektoratu Rzeczypospolitej. Miasto stało się jednak celem ataku wojsk rosyjskich i zdobyte zostało 19 czerwca tamtego roku. Dziś tylko ruiny zamku widoczne w parku wzdłuż ulicy Wiktora Buniakowskiego przypominają nam o dawnej chwale tego miejsca. ©℗

eprasa.pl 4708cd516e

ANNA POPEK Z D. CHRUZIK I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Gęsina na Świętego Marcina

Niezależność i niepodległość była, jest i zawsze będzie dla Polaków ideą najważniejszą. 11 listopada upamiętniamy odzyskanie niepodległości po 123 latach zaborów.

Ten szczególny dzień celebrujemy wyjątkowo, na ulicach odbywają się liczne uroczystości, biegi, pikniki, marsze, w oknach pojawiają się flagi biało-czerwone, pozostajemy w uroczystym nastroju.

Świętujemy rodzinnie, tradycyjnie organizując wspólny uroczysty obiad w domu. Tak przynajmniej obchodziliśmy ten wyjątkowy dzień w naszym domu rodzinnym. Tego dnia również wspominamy św. Marcina – był zamożnym legionistą, który spotkał na swojej drodze ubogiego człowieka, z którym podzielił się wszystkim, co miał. Postanowił wejść na drogę duchową. Gdy wybierano go na biskupa miasta Tours, jako skromny człowiek nie chciał przyjąć tego zaszczytu i schował się przed wysłannikami papieskimi do gęsiarni. Gęsi jak to gęsi – zaczęły gęgać i wydały kryjówkę. Święty Marcin został biskupem, a tradycją stało się, że tego dnia zajadamy pieczoną gęsinę – w końcu „Na Marcina gęś do komina".

Na polskich szlacheckich stołach gęsina gościła zawsze jako rarytas i podawana była na szczególne okazje. Obecnie słyniemy z produkcji gęsiny, jesteśmy największym eksporterem tego mięsa (największym odbiorcą są Niemcy). Mięso to bogate jest w pełnowartościowe białko i witaminy z grupy B, A i PP oraz kwasy omega-3 i omega-6, a także tłuszcz. Choć nie jest mało kaloryczne, to nie należy się go obawiać. Jest bardzo zdrowe i uznane za najszlachetniejszy gatunek mięsa.

Hodowlę gęsi zaczyna się wczesną wiosną i kończy się właśnie w okolicach św. Marcina. Tradycja hodowlana jest bardzo silnie zakorzeniona szczególnie w Wielkopolsce – tu produkcja jest największa, tu też powstał Gęsinowy Szlak Kulinarny po to, by przywrócić staropolską tradycję serwowania gęsiny. W Wielkopolsce organizowane są festiwale i konkursy kulinarne związane z gęsiną.

Pieczona gęś

• 1 świeża lub mrożona gęś • przyprawy: sól, pieprz, tymianek, majeranek, kminek, czosnek – wszystkiego po 1 łyżeczce • 1 kg jabłek lub 4 duże jabłka • 1 pomarańcza • 1 szklanka soku z jabłek

Gęś należy wyjąć wcześniej z lodówki, aby mięso się ogrzało i nabrało temperatury pokojowej. Płuczemy, osuszamy i nacieramy przyprawami. Do środka gęsi wkładamy pokrojone jabłka, przekładamy do naczynia żaroodpornego i wkładamy do pieca nagrzanego do 130 st. C.

Piekąc, podlewamy gęś sokiem z jabłek i pieczemy tyle godzin, ile waży (czyli jeśli waży 5 kg, to pieczemy ok. 5 godzin). UWAGA – nigdy dłużej, bo możemy przesuszyć. Na ostatnie 30 minut zwiększamy temperaturę do 200–220 st. C tak, aby skórka się zarumieniła. Dobrego świętowania! ©℗

FOT. ADOBE STOCK

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Cena jak Himalaya

Kobieta może być za stara na modną fryzurę, za gruba na modną sukienkę, ale na elegancką torebkę nie może być ani za stara, ani za gruba, może być najwyżej za biedna. I tu jest właśnie problem. Myślałam, że szaleństwo drogich i coraz droższych toreb jednak minie. Że okoliczności: kryzys, klimat, inflacja, oszczędności itp. czegoś nauczą. Ale nie, niczego nie nauczyły.

Gdy przejrzałam ceny na jednym z tzw. luksusowych second-handów (nie, nie chodzi o sklep pani Kasi Tusk), przecierałam oczy ze zdumienia. Mała torebka na ramię Louis Vuitton – używana – kosztuje 5 tys. zł. Mała i używana.

Jednak tę sumę uznają państwo za skromną, jeśli dowiedzą się, za ile sprzedano – uwaga! – najdroższą torbę świata. Tak pisze o niej francuski dziennik „Le Figaro", zapowiadając aukcję, która odbędzie się w domu aukcyjnym Christie's. Piszę to przed finałem aukcji, więc nie wiem jeszcze, za ile poszła. Estymacja torebki Kelly 25 Himalaya wynosi między 120 a 160 tys. euro. Pomnik luksusu długości 25 cm, wyprodukowany zaledwie w kilku egzemplarzach, opuścił atelier firmy Hermès w tym roku.

W roku ubiegłym i dwa lata temu Hermès również wypuszczał na rynek po kilka egzemplarzy tego cuda. Jak widać, nie ma lepszego sposobu na sprzedaż niż ograniczenie dostępności. Kroplówka – to genialny pomysł marketingowców. Trudne do zdobycia dobro może nabywczyni zapewnić coś więcej niż

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

epatowanie na przyjęciach. Ze względu na stosowane w nim rzadkie materiały ma również wartość inwestycyjną. Biała skóra pochodzi z gada o nazwie *crocodylus niloticus,* żyjącego nad Nilem, a elementy dekoracyjne wykonane są z... Myślą państwo: brylanty, szmaragdy, szafiry? Nie, to byłoby za proste. Chodzi o pallad, metal, który występuje w naturze głównie jako zanieczyszczenie rud miedzi i cynku, ale w postaci czystej przypomina platynę. Szwy widoczne na zewnątrz to popis umiejętności rzemieślników Hermèsa i coś, co różni Kelly 25 Himalayę od innych produktów firmy.

Ceny markowych toreb wzrosły ostatnio lawinowo. Chanel 2.55 podrożała w ciągu 10 lat czterokrotnie. Drożeją materiały, praca ręczna, jest inflacja – to jasne. Jednak głównie chodzi o to, że luksusowe domy mody dążą do podkreślenia ekskluzywności i niedostępności. Wspinanie się po drabinie cen jest na to najlepszą metodą. Klientek i tak nie zabraknie. Torebka 55 stała się już rodzajem lokaty kapitału.

Więc jeśli ktoś nie urodził się co najmniej Joanną Przetakiewicz, to pozostaje mu umieścić własny monogram na torebce z najbliższego centrum handlowego. ©℗

eprasa.pl 4708cd516e

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Wielkie grypowe pomieszanie

W Internecie ciekawy wykres dr. Marka Sobolewskiego – to jeden ze Statystyków Wyklętych, który na podstawie oficjalnych danych prezentuje zestawienia wskazujące często na coraz większy bezsens oficjalnej narracji covidowej. Z wykresu wynika, że mamy odwrócony fenomen. Tak jak grypa zniknęła w czasie COVID, „robiąc mu miejsce" – 3–4 mln zakażonych rocznie, a w roku covidowym poniżej miliona – co jest niemożliwym epidemiologicznym zjawiskiem, tak teraz następuje zmiana. To tak, jakby grypa na zmianie sztafety przekazała pałeczkę COVID, odsapnęła na jedno jego okrążenie i teraz odbierała od niego pałeczkę na tzw. drugi krąg. Tak samo jak w sporcie – niemożliwe.

A grypa nagle wraca. Dokładnie wtedy, gdy koronawirus znika (a może tylko odsapuje na następne okrążenie?). Gdy się porówna obie krzywe, widać, że spadająca liczba zakażeń koronawirusem jest „wypełniana" grypą. Skąd to się bierze? Po pierwsze – grypę do tej pory diagnozowało się u lekarza na podstawie objawów, nikt nikomu niczego do nosa nie pchał, nie izolował rodzin i nie posyłał na obowiązkową kwarantannę, nie zamykał zakładów pracy. Cały cyrk zaczął się od tego, że zaczęliśmy się – na „koronę" – testować. I widać już, że te testy – nie ma innego wytłumaczenia dla wyparcia jednej choroby przez drugą – po prostu mieszały je obie. Stąd ten cały fenomen i… całe „nieporozumienie" z pandemią.

Bo, po drugie, chodzi o same testy. Te nie tylko często nie rozróżniały poczciwej grypy od śmiertelnego koronawirusa, ale w dodatku – wedle wielu badań – dawały w ponad połowie przypadków fałszywie pozytywne rezultaty. A więc w młyny pandemiczne trafiały często osoby całkiem zdrowe, często lądowały na oddziałach covidowych – szczególnie przy testowej selekcji w szpitalach – i dopiero tam… naprawdę już zakażały się wirusem.

Analizuję pandemię już od prawie tysiąca dni, bo to tyle czasu już mija, odkąd „zamknęliśmy się na dwa tygodnie". I widzę coraz bardziej, że gdyby nie te testy, to nic wielkiego by się nie działo. Ale zareagowaliśmy nadmiarowo i potem widzieliśmy już efekty nie wirusa, ale ludzkiego kombinowania z dostępem do służby zdrowia. I potem – jak test PCR z grypą i COVID – sami myliliśmy dwie różne materie: efekty samego wirusa i efekty kardynalnych błędów, kiedy zdecydowano, że medycyna nie będzie leczyć pacjentów. Gdy dodano do tego jeszcze pośrednio zorganizowaną masową utratę odporności (stres, odseparowanie od witaminy D pochodzącej ze słońca, brak wietrzenia się na spacerach, za to wentylowanie się własnymi spalinami w obiegu zamkniętym maseczek), to mieliśmy takie efekty, jakie mamy. Pierwsze miejsce w niecovidowych ponadnadmiarowych zgonach. Na świecie. No, może z wyjątkiem Bułgarii. Ale przecież szlusujemy do najlepszych, co nie? ©℗

JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Kamuflaż, sztuczki i semantyczna mgła

Opublikowany niedawno „Dokument roboczy dla fazy kontynentalnej" jest efektem zakończenia etapu prac „Synodu o Synodalności". Wiadomo nie od dziś, że nad pracami Sekretariatu Synodu czuwa kard. Jaen-Claude Hollerich, zwolennik włączania duszpasterskiego mniejszości LGBTQIA, diakonatu kobiet. W dokumencie obok nowego podejścia do rozwodników znalazła się problematyka poligamistów i – uwaga – kwestia potrzeb seksualnych kapłanów.

Czytam dokument, mając pod ręką książkę Marguerite A. Peeters „Globalizacja zachodniej rewolucji kulturowej", która odpowiada na pytanie, jak to się stało, że mniejszość zdołała narzucić swoje idee większości. Jak, posługując się seksualnością, dokonano za Zachodzie rewolucji kulturowej. Co sprawiło, że bez rozlewu krwi, bez większego oporu, posługując się inżynierią społeczną, zdołano przejąć instytucje, zmieniono porządek społeczny, zmieniono język, stworzono nową etykę, moralność i zdekonstruowano rodzinę. Ale jak to się ma do dokumentu roboczego Synodu? Peeters wymienia istotne czynniki, które przesądziły o sukcesie kulturowej rewolucji. Są nimi m.in. język i taktyka kamuflażu. Samo pojęcie „Synodu o Synodalności" nie jest klarowne, nie zostało zdefiniowane. Kilka lat temu Międzynarodowa Komisja Teologiczna próbowała to zrobić, ale bez rezultatu.

Oto mała próbka języka dokumentu w kwestii władzy w Kościele: „Ważne jest tworzenie synodalnego modelu instytucjonalnego jako kościelnego paradygmatu dekonstrukcji władzy piramidalnej, która uprzywilejowuje jednoosobowe zarządzanie". Kolejny przykład postmodernistycznego języka; tym razem chodzi o relacje międzywyznaniowe: „Przesłanie naszej synodalnej drogi jest proste: uczymy się razem chodzić i razem zasiadać do łamania jednego chleba, w taki sposób, aby każdy mógł znaleźć swoje miejsce. Każdy jest wezwany do udziału w tej drodze, nikt nie jest wykluczony". Nie wiemy, czy „łamanie chleba" oznacza tu Eucharystię? Czy chodzi o interkomunię, czyli dopuszczenie protestantów do przyjmowania Najświętszego Sakramentu? Zaglądam do książki „Globalizacja zachodniej rewolucji kulturowej" i tam na stronie 56 czytamy: „Postmodernizm ucieka od jasnych i wyraźnie odróżnianych idei – znajduje upodobanie w semantycznej mgle. Zamiast opisu rzeczywistości jesteśmy karmieni wytworami socjolingwistyki. Postmodernizm tworzy nowy język, którego celem jest przekształcenie tego, co istnieje, w tekst wymagający interpretacji. Dlatego żaden z nowych paradygmatów globalnej rewolucji kulturowej nie jest jasno zdefiniowany. Klarowne definicje, jak mówią eksperci, ograniczają wybór interpretacji, a narzucając jedną interpretację, sprzeciwiają się głównej normie tej nowej kultury, którą jest prawo wyboru". ©℗

eprasa.pl 4708cd516e

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Tematy w sumie ciekawe

Są na tym świecie rzeczy niezawodne. Stop. Do takich należą reakcje Janiny Ochojskiej. Stop. Znana miłośniczka wpuszczania do Polski inżynierów z Afryki przez Białoruś nie zawiodła i tym razem. Stop. Kiedy minister Mariusz Błaszczak poinformował o budowie tymczasowej zapory na granicy z Rosją, widownia odliczała: „Trzy, dwa, jeden" i oto... Stop. Mamy to, Janina zabrała głos: „Czy Pan i rząd PiS zostaliście pozbawieni rozumu? Wydaliście 1,6 mld zł na zaporę na granicy polsko-białoruskiej po to, by mieć furtki do dalszego łamania prawa, na pushbacki, a teraz chcecie zbudować następną? Przestrzegajcie prawa i procedur. To tańsze i skuteczniejsze". Stop. Możemy się oczywiście z Janiną pośmiać wmiestje, tugeder, ale niech wyobrażą sobie państwo, że Janina i jej świta zaczynają rządzić... Stop. Hasło „Dwóch afrykańskich inżynierów w każdym polskim domu" staje się rzeczywistością. Stop.

Ja bardzo przepraszam, ale ja nie wiem, o co chodzi. Stop. Ja się jeszcze nie zwracałem do czytelników z prośbą o objaśnienie zjawiska, ale tym razem byłbym zobowiązany. Stop. Oto Marianna Schreiber czekała przy trzepaku, a nawet na trzepaku na mecenasa Romana Giertycha. Stop. Czemu umawiała się z Giertychem przy trzepaku, nie wiem. Stop. Czemu jej to przyszło do głowy, nie wiem. Stop. Czemu była niezwykle elegancko ubrana na trzepak, nie wiem. Stop. Mecenas nie przyszedł, Marianna fiknęła koziołka do tyłu na trzepaku, co pokazała na filmiku. Stop. Gdyby długaśny mecenas tak zrobił, przydzwoniłby głową o beton. Stop. Może dlatego nie przyszedł. Stop. Może dlatego Marianna chciała, żeby przyszedł? Stop. Czekam na listy czytelników. Stop.

Pierwszą elektrownię jądrową będziemy mieli w Polsce w 2024 r. Stop. Dobra, żartowałem. Stop. Dobra, to nie ja żartowałem, tylko Aleksander Grad tak sobie żartował w 2013 r. Stop. Aleksander Grad był wtedy prezesem PGE Energia Jądrowa. Stop. Rządziła koalicja PO-PSL. Stop. W 2019 r. okazało się, że PGE Energia Jądrowa pochłonęła z budżetu państwa prawie 450 mln zł i w zasadzie nie zrobiła nic. Stop. Większość pieniędzy szła na wynagrodzenia. Stop. Prezesi zarabiali po ok. 50–100 tys. zł miesięcznie. Stop. Nie udało się przez te wszystkie lata ustalić nawet, gdzie ma być usytuowana elektrownia. Stop. Co nagle, to po diable. Stop.

Na koniec żenujący żart z Twittera. Stop. Koleś dostaje w nocy SMS o treści: „Mamy twoją żonę. Damy ci znać, gdzie masz zostawić 20 kafli. Masz czas do jutra, inaczej ją załatwimy". Stop. Koleś odpowiada: „Jest 3 w nocy. Żona śpi obok mnie, ale zdzwońmy się rano, bo temat w sumie ciekawy". Stop. ©℗

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

MAŁGORZATA WOŁCZYK

PIÓRKIEM I PAZURKIEM

Trup Powszechny

Małgośka, mówią mi, kiedyś za to twoje „Piórkiem i pazurkiem" lewacy zrewanżują ci się młotkiem.

Właściwie to już od pewnego czasu moi przeciwnicy badają mój odruch kolanowy młoteczkiem obelg – mając nadzieję, że wreszcie zareaguję gniewnie i wyślę pozew, zamiast ich ignorować. Do grona dołączyła nawet pewna pani z „Tygodnika Powszechnego", bo zgodnie z jej katechizmem popełniam grzechy myślozbrodni wołające o pomstę do nieba, czyli praktykuję ponoć „homofobię" i „rasizm". Zdiagnozowała mnie na podstawie jednego felietonu, bo – jak widać – narybek w „Tygodniku Powszechnym" nie miał jeszcze szkolenia, czym się różni filuterny felieton od innych gatunków dziennikarskich.

Bądźmy jednak dobrej myśli, bo skoro czytają tam „Do Rzeczy", to jest szansa, że czegoś się nauczą. Należy im zresztą wiele wybaczyć. Bo może niektórzy rekompensują sobie upokarzającą wyprowadzkę z Wiślnej, stacjonując na Twitterze i hejtując? Gdyby mnie życie zmusiło do publikowania na łamach „Wysokich Obcasów" i obecnego „Tygodnika Powszechnego", to kto wie, może podobnie miałabym pokusę wyżywać się na Twitterze na tych, do których los się uśmiechnął i przydzielił do zacniejszej ekipy.

I pomyśleć, że zamknięcie „Tygodnika" w 1953 r. i przejęcie przez PAX wydawało się kiedyś największą tragedią w dziejach pisma... A teraz kto by zliczył te przejęcia w objęcia wrogów Kościoła? I czemu wreszcie tenże tygodnik nie siądzie z „Wyborczą" do okrągłego stołu i nie zrobi transformacji w jedno ciało redakcyjne? Tak dla dobra klimatu, żeby oszczędzić na emisji CO_2, bo tam, gdzie dwóch śpiewa na jedną nutę, wystarczy jedna gęba.

Jako ktoś, kto wychował się także na „Tygodniku Powszechnym", czułam się okradziona z niego już lata temu. Jego wielki format sprawiał, że nie tylko na wietrze zachowywał się jak żagiel. Prowadził mnie w moich pierwszych intelektualnych i duchowych poszukiwaniach, gdy wciąż otaczał go nimb pisma, które dało schronienie najlepszym. Niestety, spadkobiercy tytułu własnoręcznie zaciukali ducha „TP". Wciąż trzymam nawet notesik z cytatami z moich ulubionych niegdyś felietonistów. Andrzej Dobosz przytoczył kiedyś intrygujące słowa jakiejś hrabiny do Jana Kossakowskiego: „Dhogi Janku, rhęka, która dotykała thupa, nie będzie dotykać mojej klamki". Dlatego dziś, parafrazując hrabinę, mam ochotę zwrócić się do owej redaktorki z „TP" z następującą odezwą: „Dhoga pani, rhęka i głowa, która przykhłada się codziennie, aby stahannie ukathupić i tak zimnego thupa, nie może mnie obrazić". ©℗

eprasa.pl 4708cd516e

GRZEGORZ KUCHARCZYK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Pani profesor, ale ja nie biegam!

Kto jak kto, ale romantycy wiedzieli, jak realnie podchodzić do problemów życiowych. Mniejszych i większych. Autor „Nie-Boskiej komedii" tak np. radził jednemu ze swoich przyjaciół, jak radzić sobie z paszkwilami (mniejszymi i większymi): „Zatwardzaj się coraz bardziej w cnocie trzymania języka za zębami […]. Nie ma albowiem szerszej i twardszej tarczy na obronę własną. Świat pełen jest ciągłych plotek, kłamstw, potwarzy. Ludzie to są paplające świnie. Kto zaś wśród nich staje z potęgą przemilczań na ustach, ten podobny do wyższej istoty, której dano będzie panować nad tłumem" (Zygmunt Krasiński do Jerzego Lubomirskiego, 5 sierpnia 1841).

Potęga, o której pisał wieszcz, w naszych czasach jest tym bardziej wskazana, gdy droga sądowa – a wiemy to dzięki posłowi S. Neumannowi – po roku znajduje finał w czymś, co kończy się na literkę „j". Poeta pełen goryczy pisał o „paplających świniach". Nie mam wieszczej zdolności widzenia więcej i dalej, ośmielę się więc stwierdzić – gruba przesada. Zwłaszcza w odniesieniu do mediów, którym nie od dziś nie jest wszystko jedno.

Z pewnością nie można mówić o „paplających świniach" w odniesieniu do redakcji „Gazety Wyborczej", która cierpliwie odczekała 11 lat (od publikacji w 2011 r. mojej książki „Strachy z gazety"), by z troską pochylić się nad moją twórczością naukową i publicystyczną w kontekście zagrożeń, które niesie ona dla rozwoju polskiej humanistyki. Mną niegodnym zajęła się w jednym z październikowych wydań weekendowych „GW" pani prof. Anna Wolff-Powęska z UAM.

Tylko jakiś niegodziwiec mógłby twierdzić, że prof. Wolff-Powęska zgodziła się odgrywać rolę „cyngla" „GW". To byłaby wysoce krzywdząca supozycja, zważywszy na to, że od 30 lat prowadzi ona intensywne badania nad przejawami faszyzmu, klerykofaszyzmu i różnych symptomów nietolerancji i ciągot totalitarnych we współczesnej Polsce. I jako taka stała się jedną z bohaterek mojej książki o sumie wszystkich strachów „GW".

Tylko jakiś niegodziwiec mógłby twierdzić, że prof. Wolff-Powęska zgodziła się odgrywać rolę „cyngla »GW«". To byłaby wysoce krzywdząca supozycja

Odniosłem się wtedy do obszernego artykułu prof. Wolff-Powęskiej z 1992 r. zamieszczonego na łamach „GW", w którym wprost sugerowała, że partia o nazwie Zjednoczenie Chrześcijańsko-Narodowe – formacja Marka Jurka, Stefana Niesiołowskiego, Ryszarda Czarneckiego, Konrada Szymańskiego, na której czele stał wówczas marszałek Sejmu prof. Wiesław Chrzanowski – nosi wszelkie znamiona partii o ciągotkach jednocześnie hitlerowskich i komunistycznych. Do tego wniosku badawczego pani profesor doszła po wnikliwej lekturze programowego pisma ZChN „Sprawa polska".

Stosując wyrafinowane metody heurystyczne, poznańska uczona 30 lat temu doszła do wniosku, że współrządząca Polską partia, z której pochodziło dwóch marszałków Sejmu (aktualny – W. Chrzanowski i przyszły – M. Jurek), zdradza wszelkie podobieństwa ideowe do „niemieckiego ruchu młodzieżowego w Republice Weimarskiej i III Rzeszy". Ponadto posługuje się ZChN – na co są „niezliczone przykłady" – „słownictwem i instrumentarium komunistycznego aparatu partyjnego".

Wnikliwa badaczka przeniknęła poza zwykłą polityczność. Już w 1992 r. nie unikała trudnych pytań badawczych i miała odwagę udzielać na nie jednoznacznej odpowiedzi: „Cóż czeka młodzież, która zadeklaruje współpracę z ruchem chrześcijańsko-narodowym? Musi to być przede wszystkim młodzież wyselekcjonowana, pełna sił fizycznych". Przenikliwa poznańska uczona ostrzegała trzy dekady temu na łamach „GW", że „zachęta dla współczesnej polskiej młodzieży do uprawiania turystyki nie odbiega od przesłania narodowo-socjalistycznych organizacji". Teraz inaczej trzeba spojrzeć na rosnące w ostatnich latach grono biegaczy w Polsce. Zawsze myślałem, że jest to ogólnopolskie towarzystwo przyjaciół polskiej ortopedii (stawy kolanowe). A tymczasem…

Z podobną metodologiczną ścisłością i heurystyczną dociekliwością pani prof. Wolff-Powęska pochyliła się nad wpływem twórczości (naukowej i publicystycznej) piszącego te słowa na kondycję całej polskiej humanistyki. Towarzyszy temu analogiczna trafność wnioskowania. Jedno mam na swoje usprawiedliwienie: nie biegam i nie jeżdżę na rowerze. ©℗

eprasa.pl 4708cd516e

CENZOR WC

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Mam Szwagierkę. Jest matką moich Chrześniaków i z tego powodu utrzymuję z nią znajomość. To jedyny powód. Jest to także jedyny powód, dla którego ona utrzymuje jakiekolwiek kontakty ze mną. Szwagierka ma do mnie stosunek taki, jak – powiedzmy – Partia Zielonych: traktuje mnie jak szkodliwe, irytujące zjawisko; jak wysypkę w miejscu, po którym nie wypada się drapać przy ludziach. Gdyby nie Chrześniacy, Szwagierka organizowałaby pod moim domem protesty.

Kilka dni temu spotkaliśmy się na cmentarzu. Żadne z nas absolutnie tego nie chciało. Pomimo usilnych starań obu stron, by się omijać, nastąpiła konfrontacja twarzą w twarz.

Stoimy nad grobem, a Szwagierka do mnie tak:

– Jeszcze żyjesz?

– Powinnaś się cieszyć. Gdybym cię nawiedzał jako duch, byłoby gorzej – odparowałem.

– Jest mi to obojętne. Straszysz ludzi już za życia.

– Nawzajem.

***

Nasze rozmowy są dobrym przykładem kulturalnej pyskówki. Sztaby wyborcze mogłyby zamawiać u nas riposty, które da się cytować bez pików. Jesteśmy dowodem, że najgorętsze emocje można wymieniać tonem chłodnym, bez wulgaryzmów i rękoczynów.

W USA do kampanii wyborczej wykorzystuje się teraz scenki takie, jak bijatyka dwóch golasów młotkami po głowach. Na Ukrainie parlamentarzyści regularnie okładają się pięściami w trakcie obrad – w sieci łatwo znaleźć filmy pochodzące z lat: 2021, 2018, 2014, 2010. Świat stacza się w chamstwo i chaos. W Polsce też – politycy mówią o przeciwnikach takie rzeczy, że gdyby to samo powiedzieli na weselu, trzeba by strzelić w pysk.

***

Szwagierka jest przypadkiem pouczającym i dlatego czasami o niej piszę. Gdy dostaje cokolwiek darmo, traci rozum (traci niewiele, ale za to całość). Nie wolno jej zabierać na żadne targi ani wystawy, gdzie rozdają gratisy. No np. foldery, długopisy i smycze – gdyby Szwagierka trafiła w takie miejsce, gdzie coś dają, to by szalała w amoku, a potem nie mogła wrócić do domu. Bo jak zabrać tonę uzbieranych folderów, gdy człowiek upiera się wracać tramwajem, a nie wynajętą ciężarówką?

Niedawno Szwagierka dostała darmowy podręcznik szkolny dla moich Chrześniaków. Ucieszyła się bez czytania. Ja mniej – czasy takie, że nie wolno dawać dzieciom niczego w ciemno.

Posłuchajcie…

Chrześniak nr 2 to ten, który w wieku lat pięciu przeczytał wszystkie tomy „Mikołajka". Najpierw prosił, bym ja mu czytał. Czytałem, ale mało, bo „Mikołajka" nie trawię. Za każdym razem, gdy kończyłem po pierwszej kartce, protestował. Powiedziałem mu więc, by się nauczył liter i sam sobie czytał, ile tylko chce. Tak zrobił. Czytał płynnie, zanim poszedł do szkoły, co potem bardzo irytowało panią nauczycielkę, bo ona miała za zadanie nauczyć czytania, a skoro Chrześniak nr 2 już umiał, to siedział sobie w ostatniej ławce, czytał grube książki i naruszał dyscyplinę.

Nauczycielka wezwała rodziców. Szwagierka wysłała mnie, jako ojca chrzestnego, bo to moja wina, że on „za wcześnie" umie czytać. Poszedłem. Zapytałem nauczycielkę, czego by chciała. Czy dziecko ma nie przychodzić na niepotrzebne lekcje albo czy ma siedzieć nieruchomo i się nudzić, czy może powinien poprowadzić te lekcje, bo skoro sam bez pomocy nauczył się czytać, to na pewno potrafi nauczyć też swoich równolatków?

Pani nauczycielka nawrzeszczała na mnie, co zniosłem ze spokojem, robiąc notatki.

– Co pan tu zapisuje?!

– Zapisuję wszystko, co pani do mnie krzyczy.

– Jakim prawem?!

– Nie chcę czegoś przegapić. Pani przed chwilą krzyczała, że „mam to sobie dobrze zapamiętać".

Wyszła, trzasnąwszy drzwiami. Powiedziałem Chrześniakowi, że może bezpiecznie czytać na lekcjach, bo w tej sprawie już raczej nie będę wzywany ani ja, ani nikt inny.

***

Chrześniak nr 2 miał też kłopoty na innych zajęciach. Problemem zawsze było to, że on już coś umie, więc siedzi z tyłu i uczy się czegoś innego, czyli łamie dyscyplinę. System szkolnictwa państwowego nie lubi takich uczniów. Szkoła państwowa najbardziej lubi średniaków, dobrze znosi głąbów, ale nie wie, co ma robić ze zdolnymi. Oni drażnią system.

***

Przyjechałem na Zaduszki, więc Chrześniak nr 2 miał się u kogo poradzić, a sprawa była „osobista i dyskretna". Chodziło o ten darmowy podręcznik, który Szwagierka przyjęła z entuzjazmem. Chrześniak znalazł tam coś niepokojącego i pyta, czy wolno wyrwać kartkę, na której są „złe rzeczy"?

Powiedziałem mu tak:

– TOBIE absolutnie nie wolno wyrywać kartek z książek, ale… mnie wolno, więc ja ci wyrwę.

– A czemu mnie nie wolno?

– Bo książki należy szanować. Ktoś się napracował, ktoś ci kupił, podarował.

– To czemu tobie wolno?

– Bo ja jestem władza wyższa. W zasadzie... reprezentuję lub zastępuję Pana Boga. Jestem twój Ojciec.

– Chrzestny!

– Tak, ale nadal Ojciec.

– Tak jak papież?

– Tak.

– A papież też wyrywa niedobre kartki z książek?

– Nie każdy. Obecny raczej nie. Ale ogólnie każdy papież ma takie prawo. Istnieje coś takiego jak „Indeks ksiąg zakazanych". Czyli papież lub ja możemy ci nakazać, byś czegoś nie czytał, bo to nie jest dobre. Na podobnej zasadzie, jak mamusia mówi ci, żebyś czegoś nie jadł, bo niezdrowe.

– Aha. To wyrwij tę kartkę – pokazał mi, którą konkretnie. – I jeszcze tę.

– Dlaczego? Co tam jest?

– Nieprawdy.

– No to wyrwę ci te „nieprawdy" i czytaj dalej.

– Ale... mówiłeś, że ktoś się napracował, ktoś kupił, ktoś podarował. To może lepiej wyciąć żyletką, żeby nie było śladu wyrywania?

– NIE! Trzeba koniecznie wyrwać i zrobić to BRZYDKO. Wyszarpać. Zaznaczyć zniszczenie.

– A czemu, Stryjaszku?

– Bo ma być widać z daleka, że w tym miejscu było coś niedobrego. To takie ostrzeżenie dla następnego czytelnika.

***

Wyrwałem na chama. I zachowałem sobie te dwie wyrwane kartki. Wsadziłem je do koperty, zakleiłem i napisałem datę.

– Stryjaszku, a czemu nie spaliłeś tych kartek albo cuś?

– Chcę ci je pokazać za 10 lat.

– A to czemu? Przecież tam wydrukowano nieprawdy.

– Chcę, żebyś za 10 lat wiedział, jaki byłeś mądry dziś. ©℗

eprasa.pl 4708cd516e

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY"

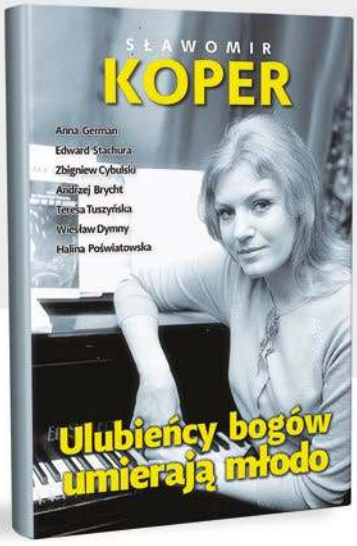

W PREZENCIE
KSIĄŻKA
SŁAWOMIR KOPER: „ULUBIEŃCY BOGÓW UMIERAJĄ MŁODO"
ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~924~~ ZŁ

341,00 ZŁ
OSZCZĘDNOŚĆ 583 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania
| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 4708cd516e

ROAMER
OF SWITZERLAND
7 YEAR WARRANTY